

SIEDEM GRZECHÓW GŁÓWNYCH

Danuta Noszczyńska

CZY MOŻNA NAUCZYĆ SIĘ MIŁOŚCI?

# Nieświęta rodzina

Prószyński i S-ka

Danuta Noszczyńska

# Nieświęta rodzina

Prószyński i S-ka

*Dla Agi*

## ROZDZIAŁ I

### Dom na wzgórzu

Śnieg padał i padał, tworząc coraz grubszą warstwę puchu na ziemi, drzewach i widocznych w oddali dachach. Z okna naszego domu, znajdującego się na najwyższym chyba wzniesieniu w okolicy, Maciuś już od południa obserwował zjeżdżające na sankach dzieci, które każdej zimy bez skrępowania korzystały ze sprzyjającego takim zabawom ukształtowania mojej posesji, a ja im nie zabraniałam. Dom stał na pochyłej działce, a kawał ogrodu przed nim ciągnął się hen w dół, aż do głównej ulicy. Gdy się tu wprowadziłam razem z synkiem i tatą, nie było jeszcze ogrodzenia, ale do dziś, mimo iż dookoła stanął solidny płot oraz brama, mali amatorzy zimowych sportów zupełnie się tym nie przejmowali, goszcząc u mnie każdej zimy.

– Weź no, Tedi, wyjdź z nim na te sanki w końcu – poprosiłam męża, który już od co najmniej dwóch godzin obiecywał Maciusiowi, że pójdzie z nim pojeździć.

Mój synek był jeszcze o wiele za mały, by mógł wyjść z domu bez opieki dorosłych, nawet gdybym mogła przez cały czas widzieć go z okna.

– Zaraz – odparł Tedi. – Jem.

– Godzinę temu też jadłeś – odparłam, nie chcąc okazywać zbytniego zniecierpliwienia, bo mój mąż gotów był się jeszcze obrazić i z Maciusiowych sanek nici...

– Na głodnego nie pójdę – burknął Tedi. – A w ogóle to... jak skończę jeść, podjadę do sklepu po prawdziwe sanki dla niego, drewniane. Te, które ma, są całkiem bez sensu. Co to w ogóle jest? Ni to rynna, ni nocnik, w dodatku z plastiku. Dla bab i dziewczuch co najwyżej. Nasz syn będzie jeździł jak prawdziwy facet, solidnym pojazdem, i to z kierownicą.

– Dobrze, ale jutro mu go kupisz, spójrz, jak on tęsknie patrzy na te dzieciaki...

– Maciuś! – zwrócił się Tedi do chłopczyka. – Ty się nie patrz tęsknie. Normalnie się patrz, chłopu nie wypada się tęsknie patrzeć. Zaraz wrócę, a wtedy cała ta banda będzie się tęsknie patrzeć na ciebie.

Mój mąż – jak na niego dość szybko – się zebrał i wyszedł. Nie zdążyłam nawet, a może i nie chciałam, go uświadomić, że ma na brodzie sporej wielkości gluta z keczupu. A idź w cholerę z tym glutem – pomyślałam i też zaczęłam zbierać się do wyjścia. Od dwóch dni byłam na zwolnieniu lekarskim. Grypsko, które mnie dopadło, od tygodnia leczone domowymi sposobami i od przedwczoraj

antybiotykiem, za cholerę nie chciało odpuścić. Ale co było robić, okutałam się porządnie, Maciusia wbiłam w lekko przyciasny już kombinezon i poszliśmy pojeździć. Jego radość natychmiast sprawiła, że przestałam zwracać uwagę na obolałe kości, pękający z bólu łeb i nieprzyjemne dreszcze.

Tedi wrócił dobrze po dwudziestej. Sanki, jakie ze sobą przytaskał, były najzwyczajniejsze, nie miały żadnej kierownicy, tyle tylko, że były drewniane.

– No, mały, pośpiesz się, idziemy! – krzyknął od drzwi. – Ja już się nie będę rozbierał. Aga, ubierz go prędko, zanim się zapoczę na śmierć!

Podeszłam do Tediego powoli, oparłam się o framugę drzwi i patrząc w tę jego obmierzłą, bezmyślną gębę, powiedziałam:

– Maciuś już śpi.

– Jak to... śpi? Nie zaczekał na mnie? – obruszył się Tedi.

– Czekał, ale się nie doczekał...

Odwróciłam się i wolno, z pozornym spokojem wróciłam do salonu, by dopić którąś już z rzędu gorącą herbatę z cytryną i miodem. Pobyt na mroźnym powietrzu zrobił swoje i wszystkie dolegliwości odczułam teraz ze zdwojoną siłą.

– Mięczak! Chowasz go na mięczaka! – Mój mąż usiadł obok mnie i zaraz potem wypił moją herbatę.

– Zarazisz się...

– Czym? – prychnął Tedi. – Symulowaną gripą? Daj spokój, Aga, nie bądź dziecinna...

Włączyłam telewizor i udawałam, że skupiam się na programie.

– On na pewno śpi? – upewnił się Tedi.

– Tak.

– To weź się przytul...

Przyciągnął mnie do siebie gwałtownym ruchem i włożył mi rękę w dekolt, drugą usiłując wsadzić mi w spodnie od dresu. Ścisnął moje piersi, każdą po kolei, w międzyczasie skutecznie już dobierając się do dolnych partii.

– Chodź... – mruczał mi do ucha podniecony. – Pobaraszkuje sobie trochę...

Poszłam za nim do sypialni jak automat. Tadek zdjął ze mnie tylko spodnie i majtki, nie mając najwyraźniej cierpliwości do reszty. Leżałam teraz pod nim i zastanawiałam się, na czym polega mój problem. Mój cholerny życiowy problem, pech, przekleństwo. Ten najbardziej aktualny polegał na tym, że wyszłam za Tediego. On nie był ojcem Maciusia. Maciuś, moja największa miłość i największe szczęście, był owocem, czy – jak by to inaczej ująć – krwią z krwi innego mojego problemu o imieniu Czarek. Czaruś – to imię w zasadzie mówi wszystko... Z całej siły starałam się odwrócić myśli od Czarka, jak zawsze, gdy znów próbował w nich zagościć.

– Ej, jakaś taka... nieobecna jesteś... – dotarło do mnie jakby z oddali, lecz

pozwoili odwrócić moją uwagę od wszystkiego, co z Czarkiem związane.

Spojrzałam w stronę, z której dochodził ten głos, i ujrzałam nad sobą czerwoną twarz Tadeka, unoszącą się nade mną rytmicznie. Trochę się wyłączyłam i całkiem zapomniałam, że właśnie uprawiam z nim seks. Nie odpowiedziałam, w sumie nie było po co, bo po tych słowach Tadek zaraz skończył. Skończył i zasnął. Wyszłam cicho z łóżka i wzięłam gruntowny prysznic. Zrobiłam sobie potem jeszcze jedną herbatę i na powrót usiadłam przy telewizorze. Ściszyłam głos, by Maciuś, a już nie daj Boże Tadek, się nie obudził. Znów zamyśliłam się tak głęboko, że nawet nie usłyszałam, kiedy do salonu wszedł tata. Dopiero gdy podszedł do mnie i ucałował mnie w policzek, ponownie odzyskałam świadomość.

– I jak, córeczko?

Tata pytał o moje samopoczucie w związku z chorobą, ale ja odpowiedziałam zdecydowanie bardziej ogólnie.

– Do dupy, tatuś. Całkiem do dupy i się nie zanosz, żeby było inaczej. Powiedz mi, czemu jednym udaje się wszystko, czego się dotkną, a ja, a my... – dodałam, bo ten swoisty życiowy pech dotyczył również mojego ojca – cokolwiek byśmy zrobili, zawsze jest do dupy?

– I ja się nieraz nad tym zastanawiałem. – Tata przytulił mnie do siebie. – Ale tak widać musi być... Jak to najstarsi górale mawiali, dupą wojujesz, od dupy zginiesz...

– Myślisz? – spytałam z pewną wątpliwością.

– Myślę. Sama wiesz, już zresztą o tym gadaliśmy. Takie geny kurewskie, przekazywane z pokolenia na pokolenie.

– Od zawsze? – spytałam, bo nieraz mnie to nurtowało. To znaczy, kto był, że tak powiem, protoplastą tego wielopokoleniowego kurewstwa.

– No ja nie wiem, czy od zawsze, bo ileż to się można w te pokolenia cofnąć. Ale jak jesteś ciekawa, to możesz spytać dziadka Grzeška, póki jeszcze żyje.

– A wiesz, jednak wolę nie – odparłam z wahaniem, bowiem wyczyny dziadka i jego potomnych były dla mnie wystarczającym balastem przez całe dotychczasowe życie.

– Kładź się spać, córeczko. – Tata poklepał mnie po ręce. – Późno już, szkoda tak forsować chore ciało.

– I duszę, tatku. – Ucałowałam go na dobranoc i ze sporą niechęcią udałam się do sypialni.

Tadek spał twardo, chrapał, ciamkał i pochrumkiwał, a to były trzy główne oznaki, że choćby z armaty strzelać, on się nie obudzi. Mnie jednak sen nie chciał utulić w swych kojących ramionach. Zastanawiałam się długo w noc, nie pierwszy zresztą raz, jak mogłam dopuścić do sytuacji, by w wieku dwudziestu kilku lat, z wyglądem, który sprawiał, że oglądali się za mną prawie wszyscy heteroseksualni faceci, i wykształceniem (niepełnym wyższym) – z własnej nieprzymuszonej woli

co noc leżeć obok najzwyczajniejszego wieprza. Bez urody, ogłady, o IQ nieco wyższym od mrówkojada. Albo i nie...

Zazwyczaj sama zapędzałam się takimi rozważaniami w kozi róg, bo to przecież mój tato, drugi po Maciusiu najukochańszy facet w życiu, mnie w tę sytuację wmanewrował z najszlachetniejszych pobudek i w najlepszej wierze. Jak więc miałam mu to mieć za złe? Sobie, owszem, bo przecież mogłam się nie zgodzić, ale skoro już się zgodziłam, ja byłam winna. Otóż pewnego razu mój wspaniały, ale równie naiwny jak ja ojczulek wparował do domu z przypadkowo spotkanym kolegą. Nieco młodszym od siebie i dużo starszym ode mnie. Tak zwanym kawalerem z odzysku. Opowiadał, że tak mu się życie pechowo ułożyło, a raczej nie ułożyło, że ze względu na charakter swojej pracy nie założył nowej rodziny, dlatego teraz, gdy nagle skroił mu się nadspodziewanie długi urlop, zwyczajnie nie może sobie miejsca znaleźć. A że nawinął się akurat tacie pod rękę, ojczulek, jak to on, zaprosił go do nas. Natychmiast zaangażował go do pomocy przy pracach gospodarczych w ogrodzie, karmił, poił i dotrzymywał wieczorami towarzystwa. Tatuś do dziś idzie w zaparte, że nawet przez myśl mu wówczas nie przeszło, by mnie z nim wyswatać, a ja mu wierzę. To znaczy wówczas mu nie przyszło, ale gdy już się zorientował, jak bardzo wpadłam Tediemu w oko, przyszło mu natychmiast. Oczywiście do niczego mnie nie przymuszał, nie naciskał, roztaczał tylko przede mną wizję, jak bardzo Tedi mógłby polepszyć naszą życiową sytuację.

Tatko był wówczas bez pracy, to ja utrzymywałam dom, mojego synka i jego, na szczęście zarabiałam bardzo dobre pieniądze. Niewystarczające jednak, by żyć całkiem bezproblemowo, zwłaszcza że mieliśmy do spłacenia kredyt wzięty na kupno naszego domu. Czas robi swoje, pranie mózgu też, więc w końcu i mnie się zaczęło wydawać, że małżeństwo z Tadeuszem mogłoby być dla nas całkiem korzystne, to znaczy zyskowne dla naszej sytuacji materialnej, być może całkiem niezłe dla mojego synka, dla mnie natomiast nieszczerólnie przykre. Tedi pracował jako kierowca tira, w związku z czym w domu mógł być jedynie w weekendy, a kolosalne pieniądze, które zarabiał, mogły nam pozwolić bardziej bezstresowo wyjść z długu. Tak więc przestałam w końcu odrzucać jego awanse, robiłam to dla mojej rodziny, taty, synka, i być może dla osiągnięcia jako takiego poczucia bezpieczeństwa. Dziś wiem, że była to największa głupota w moim życiu. No, może na równi z wdaniem się w romans z Czarkiem, ale dzięki temu miałam przynajmniej Macusia. Dzięki małżeństwu z Tedim miałam wyłącznie niesmak, stany lękowe i wiecznie nawracającą grzybicę pochwy.

Ślub z Tadeuszem wzięliśmy pod koniec sierpnia, w ulewne, pochmurne popołudnie. Nie miałam na sobie ani białej sukni, ani welonu, chociaż moja teściowa bardzo na to nalegała. Tatkowi też by się to podobało, ale się zaparłam i już. Wówczas ciągle jeszcze miałam ogólną niechęć do facetów po tym

wszystkim, co spotkało mnie ze strony Czarka – bawidamka i kurwiarza jak mój dziadek, i jak on niespecjalnie przystojnego i godnego zaufania. Ale miał w sobie to coś, co tak bardzo pociągało wszystkie kobiety w mojej rodzinie, ten błysk w oku, pod wpływem którego dech zapierało mi w piersi i miękkie nogi, a potem już mógł robić, co tylko chciał. Taka karma? W każdym razie gdy stałam przed urzędnikiem stanu cywilnego z facetem, który chyba jeszcze niczego nie jadł, a już był upačkany na gębie i z którym za moment miałam zacząć stanowić podstawową komórkę społeczną – błagałam w duchu wszystkie niebiańskie i piekielne moce, aby się nagle otworzyły drzwi i stanął w nich ktokolwiek, kto by (jak w amerykańskich filmach) wykrzyczał, że zna powody, dla których nie mogę się związać z tym oślizłym typkiem, a ja rzuciłabym mu ślubny bukiet pod nogi i zwiąta, gdzie oczy poniosą...

Nic podobnego się nie wydarzyło. Zostałam żoną pospolitego wieprzka i jestem nią do dziś. Niestety, tę jakąś irracjonalnie absurdalną, denną i beznadziejną życiową głupotę w całości odziedziczyłam po babci Kundzi. Gdybym była bardziej podobna do dziadka, to ja bym wybierała, z kim chcę być, kiedy i na jak długo.

## ROZDZIAŁ II

Wszystko zaczęło się od dziadka

Dziadek Grzesiek, można by rzec, był – i jest, ale już jakby mniej – postacią tragiczną. Głównie dla kobiet swojego życia, a już najbardziej dla mojej rodzonej babci. Babcia Kundzia kochała go od zawsze miłością ogromną, bezkrytyczną i chyba raczej bezwzajemną, choć kto wie, podobno faceci jego pokroju potrafią kochać wszystkie swoje kobiety jednocześnie. Gdyby nie ta miłość – wielka, romantyczno-tragiczna – być może babcia odegrałaby w moim życiu jakąś większą rolę, ale w jej sercu poza dziadziusem nie było już miejsca dla nikogo: ani dla swojej córki, a mojej matki, ani dla syna, a tym bardziej dla hałaśliwej drobnicy zwanej wnukami. Babcia za młodu była kobietą tak piękną, że nawet jej wizerunek na fotografii z tamtych czasów mógłby wprawić mężczyznę w głęboki erotyczny niepokój. Z pewnością tak było niegdyś z dziadkiem, który nie odpuścił, póki jej nie zdobył, a potem, nie wiem czy z równym entuzjazmem, się z nią ożenił.

Dziadek nie należał do przystojnych facetów; niezbyt wysoki, nieszczególnie zgrabny i na twarzy też niespecjalny. Miał jednak w sobie to coś, co umożliwiło mu zdobycie każdej, ale to dosłownie każdej kobiety. Przede wszystkim był uroczy i szarmancki, miał też jakąś nadprzyrodzoną cechę, dzięki której wiedział nie tylko, czego ogólnie rzecz biorąc kobietom potrzeba, ale i czego potrzebuje ta konkretna, jedna jedyna, na którą aktualnie zagiął parol. Poza tym dziadek był artystą, z zawodu jubilerem złotnikiem, a to już z pewnością potrafiło przekonać do niego wszystkie, jeśli wrodzony urok nie wystarczał. Dziadzius miał własną pracownię jubilerską i sklep, w którym sprzedawał wyłącznie biżuterię własnego projektu, jakiej gdzie indziej nie można było dostać. Wszystkie jego wyroby były niepowtarzalne.

Były to czasy, gdy w naszym kraju nie każdy mógł sobie pozwolić na tego rodzaju precjoza, ale tych „niekażdych” było całkiem sporo: badylarzy, rzadkich, aczkolwiek bardzo forsiastych prywatnych przedsiębiorców, drobnych ciułaczy. Wszyscy oni bardzo radzi inwestowali w złoto, zyskując przy tej okazji status dobrych mężów, gdyż nie były to żadne sztabki, tylko najniezwyklejsza damska biżuteria. Dzięki temu dziadzio obracał się wśród przedstawicieli elit nie tylko ze sfer prywatnych, ale i państwowych, którzy dzięki wykonywanym zawodom żyli nie tyle z uczciwej wypłaty, co ze szczodrych dowodów wdzięczności – czyli przede wszystkim prawników i lekarzy.

Ale wracając do babci Kundzi: to była inteligentna kobieta, choć mówi się, że te ładne są zazwyczaj głupie. Babcia jednak doskonale zdawała sobie sprawę

z tego, że dziadek zdradza ją na lewo i prawo, ale niestety kochała go zbyt mocno, by zgłaszać w tej sprawie jakiegokolwiek reklamacje typu „miłość, wierność i inne ble-ble do usranej śmierci”. Taki instynkt samozachowawczy: a nuż by się poczuł urażony i odszedł do aktualnej flamy? Nie, babcia Kundzia była na to zbyt mądra, dlatego kochała i cierpiała, nieco później zaś kochała, cierpiała i piła... A gdy dziadek po dziesięciu latach małżeństwa wymienił ją na nowszy model, kochała go nadal, więc jeszcze więcej cierpiała i jeszcze więcej piła. Nic dziwnego, że dzieci stały się dla niej od tej pory przeszkodą, bo nie dość, że przeszkadzały jej w totalnie pochłaniającym kochaniu dziadka i ograniczały możliwość picia, to jeszcze na każdym kroku jej go przypominały. Moja mama co prawda – na szczęście lub nie – odziedziczyła urodę po babci Kundzi, jej brat natomiast po dziadku, ale choć bardzo się starał, talent do uwodzenia mu tej „urody”, jak w przypadku dziadka, nie rekompensował. Pewnie dlatego w którymś momencie zraził się do kobiet i został gejem, ale o tem potem.

\* \* \*

Być może gdyby dziadek zszedł babci z oczu raz na zawsze oraz nieodwracalnie, potrafiłaby w końcu zapomnieć o nim na tyle, by zacząć normalnie żyć. Ale mąż i ojciec jej dzieci miał pełne prawo do spotykania się z nimi, kiedy tylko miał na to ochotę. Babunia świetnie umiała to wykorzystać i sprowadzała dziadunia do domu tak często, jak jej się udawało. Z wielką zawziętością i mściwością przygotowywała wówczas wszystko, co dziadek lubił jeść, a nawet, jako koneser nie tylko kobiet, ale i kulinariów, był gotów dla takich na przykład flaczek z jagnięcych z parmezanem wiele poświęcić... I tu babunia była górą, bowiem jego nowa żona poza dużymi zgrabnymi cyckami i buźką niedorozwiniętej łani nie prezentowała sobą (zdaniem babci) niczego więcej.

– Poza sypialnią, rzecz jasna, bo nogi to każda rozłożyć umi – mawiała do mnie w czasie, gdy mój wiek kompletnie nie pozwalał mi pojąć, do czego rozłożone nogi miałyby w małżeństwie służyć.

Tak więc dni, w których moją matkę i jej brata odwiedzał ich tatuś, były dniami szczególnymi, bo oprócz tego, że mieli przez chwilę ojca, mieli również i matkę. I jedzenie było takie normalne, gotowane, i pełną parą brali udział w rodzinnym życiu, które polegało na przekazywaniu ojcu słów matki i *vice versa*, mimo iż siedzieli naprzeciw siebie. Ot, taka gra towarzyska, która weszła do tradycji na tyle mocno, że trwała i trwała mimo zmieniających się dziadkowych żon. Bo babcia biła je wszystkie na głowę w gotowaniu i pieczeniu.

Mój dziadek, dżentelmen, mimo iż zenił się wyłącznie z wybranymi kobietami, pozostałym, którym ze względu na swój zajęty stan nie był w stanie zaoferować małżeństwa, dawał inne dowody miłości. Zaprojektował kiedyś niezwykle oryginalną zawieszkę do łańcuszka, przedstawiającą dwa kopulujące na

listku koniczyny żuczki. Bardzo podobała się ona wszystkim kobietom, w sumie nie wiadomo czemu, bo w zasadzie niczym szczególnym nie olśniewała. Wydumał więc sobie chłopina, że aby wilk (czyli kolejna panienka) był syty i owca (czyli niepowtarzalność jego wytworów) cała, każdorazowo dodawał koniczynie jeden listek, a żuczkom nóżkę.

Pierwszą obdarowaną w ten sposób była babcia Kundzia, a ponieważ trzeba było być naprawdę głupim, ślepym lub jedno i drugie, by nie rozpoznać w arcydziele jubilerskim ręki dziadka, znalazła sobie oprócz dogadzania jego podniebieniu jeszcze jedno zajęcie, które nazywała polowaniem na ladacznice. Z lubością całymi dniami snuła się po mieście, ale szczególnie chętnie zapuszczała się w ulubione miejsca kobiet, takie jak zakłady fryzjerskie, kosmetyczne, drogerie, sklepy z fatalaszkami. I całkiem nierzadko zdarzało jej się na szczęśliwą posiadaczkę takiej koniczynki z żuczkami trafić... Wówczas babunia zabierała się do roboty: w sobie tylko wiadomy sposób zdobywała tożsamość i adres owej damy, a następnie skupiała się na smarowaniu anonimów. Najlepiej było, jeśli delikwentka posiadała męża. Jeśli nie, babcia pisała do jej rodziców, przełożonych w zakładzie pracy, a od biedy wieszała bardzo konkretny paszkwil w klatce bloku, w którym nieszczęsna mieszkała. Albo na słupie, albo na przykościelnej tablicy ogłoszeń. Myślę, że w ten sposób robiła nawet dziadkowi przysługę, bo on, jako dżentelmen, nigdy nie potrafił zrećźnie zakończyć romansu, a że dość szybko się nim nudził, była żona wyręczała go w tym bardzo skutecznie.

Druga żona dziadziusia była od niego dziesięć lat młodsza. Osobiście niewiele o niej wiem, ale w rodzinie od czasu do czasu można usłyszeć opowieść, jak któregoś dnia pod nieobecność babci oboje z dziadkiem dokonali podziału majątku. Dzielili tak gorliwie, że ta jakaś tam... nawet nie pamiętam jej imienia, zabrała kolejkę elektryczną brata mojej mamy. I tu powstała druga hipoteza związana z jego zmianą orientacji: otóż wujek Goguś (od Grzegorza, po dziadku) zaczął wówczas z braku laku bawić się lalkami swojej siostry i od tej pory powoli ponoć tracił zainteresowanie męskim światem. Dość długo tłumił w sobie coraz bardziej nasilające się gusta ku płci tej samej, aż wreszcie przypadek sprawił, że ugruntowały się one w nim na dobre. Jak już wspomniałam, nie bardzo szło wujkowi Gogusiowi wyrywanie lasek, choć starał się jak mógł. W jego przypadku nawet upominki w złocie nie pomagały. Któregoś razu jednak wrócił do domu z nocnych sobotnio-niedzielnych wojaży z niezwykle interesującą, młodziutką brunetką. Babcia Kundzia obojętna na wszystko, co nie było związane z jej mężem, nawet się nie skrzywiła. Goguś spędził z brunetką tak upojną noc, że rano oznajmił swojej niezbyt zainteresowanej tematem matce, iż będzie się żenił. I to pilnie.

– Weź sobie wobec tego jakiś pierścionek z mojej kasetki. – Babcia machnęła ręką w stronę swojej toaletki. – Poproś ją o rękę i daj mi, do jasnej cholery, wreszcie spokój, gdyż gołąbki muszę zacząć robić. Grzesiu dzisiaj

przychodzi...

No i właśnie, gdyby nie wizyta dziadka, wujek Goguś długo jeszcze pozostawałby w nieświadomości co do swojej pierwszej ukochanej, gdyż był chłopcem wrażliwym, naiwnym i tyle co przestał być prawiczkim. Narzeczona wujka, Rafaela, została na obiedzie, bo w końcu była już niemal członkiem rodziny. Dziadek w obecności giętkiej, urokliwej czarnulki przeżył się, nadymał i błyskał dowcipem. Nie zważając kompletnie (bo to było od niego silniejsze), że ma do czynienia z przyszłą synową, roztaczał swój czar i tylko czyhał na jakieś małe sam na sam. Gdy Rafaela udała się do toalety, pod pretekstem postawienia wody na kawę podążył za nią. Wrócił w mgnieniu oka.

– Czy ty możesz mnie, Goguś, objaśnić, czemu twoja narzeczona szcza na stojąco? – spytał lekko skonsternowany.

– Nie wiem. – Goguś wzruszył ramionami. – Kibla nie zna, może się boi, że się czymś zarazi.

– To niemożliwe. Nie dałaby rady szczać, stojąc pół metra od sedesu. Ona tam musi coś na przodzie mieć...

– Co ty bredzisz, Grzesiu? – obruszyła się babcia. – Już ty dobrze wiesz, co baby na przodzie mają.

– No właśnie dlatego się dziwię, że wiem.

Rafaela wróciła do stołu, obciągnęła skromnie swoje króciutkie mini i usiadła, zakładając nogę na nogę. Przy stole na moment zapanowała cisza, ale babcine gołąbki dość szybko pomogły wszystkim zapomnieć o sprawie. Wujek Goguś, mimo iż się z samego rana oświadczył, o ślubie nigdy już nie wspomniał. Żył i żyje sobie z Rafaelą do dziś, a cała reszta jest po prostu milczeniem...

\* \* \*

Trzecia żona dziadka była rodowitą Angielką, o typowej... angielskiej urodzie. Jej niewątpliwą zaletą, poza być może jakimiś ukrytymi talentami, było to, że miała w tej Anglii duży dom i spory majątek. Komuna jeszcze u nas nie kwapiła się, by odpuścić, a złąkniona męskiej adoracji Helen Baker była świetną przepustką dla dziadka do rozkosznej zgnilizny Zachodu. Po dość gwałtownym rozwodzie z drugą żoną dziadzius wziął z Helen ślub, już w jej ojczyźnie. Obwieszona złotem i rzecz jasna wisiorkiem z kilkunastolistną już koniczynką, tudzież żukami o nieprawdopodobnej liczbie nóg, oblubienica z zamglonymi ze szczęścia oczami powiedziała przed ołtarzem „I do” – i tak zaczęło się nowe życie dziadka Grzesia.

Dzięki połączonym kapitałom, czyli temu, co w nieruchomościach, ruchomościach oraz żywych funtach wniosła w małżeństwo Helen, a także temu, co dziadzius przytachał na obczyznę w walizce, otworzyli do spółki w jej rodzinnym mieście ogromną jubilerską firmę z licznymi oddziałami, sklepami i sklepikami. Ojciec Helen, bogaty przedsiębiorca, który poza jedyną córką świata

nie widział, wspierał ich jak mógł, nie żałując niczego. Nie wspomniałam jeszcze, że tym razem to małżonka była o dziesięć lat od dziadka starsza, będąca w okresie, że tak powiem, poprokrecyjnym. Bolał nad tym bardzo jej ojciec, bo niestety nie zanosilo się na przedłużenie rodu w linii jakiegokolwiek. Dziadek ubolewał razem z nim, roniąc gorzkie łzy i drąc szaty podczas rodzinnych, mocno zakrapianych kolacji. Wiedział bowiem, że choćby nie wiadomo jak ronił i jak darł, bycie ojcem mu na szczęście nie grozi. Mógł za to ten fakt śmiało wykorzystać w przyszłości, gdyby mu się życie u boku Helen znudziło. O dziwo, dziadek wytrzymał z nią całe siedem lat, ale chyba nie cierpiał z tego powodu zbytnio, bo gdy już w końcu wrócił do kraju, pokazał mi swój najnowszy autorski wyrób: zawieszkę w kształcie stokrotki z dwiema kopulującymi na niej stonogami...

Ale to tak na marginesie, gdyż temat jeszcze się nie wyczerpał. Po siedmiu latach współżycia z angielską małżonką dziadek zaczął „czuć pustkę”. Polegała ona na tym, że nagle w sposób nieprawdopodobnie bolesny z dnia na dzień uświadamiał sobie, że nigdy w tym wielkim domu nie usłyszy „tupotu małych stópek”. I coraz bardziej dramatycznie dawał temu wyraz.

– Ale ty pszczecz masz już jakieś bejbis. – Myślę, że tak wówczas mogła mu powiedzieć Helen.

– Owszem. Ale one nie mają już małych stópek. – Jak znam mojego dziadka, to właśnie coś w tym stylu jej odpowiedział.

A kiedy zmarł jego angielski teść, bez najmniejszych już oporów sprzedał cały wspólny majątek i wrócił do kraju. Przybita wyrzutami sumienia z powodu swojej nieplodności angielska żona nie zaprotestowała nawet jednym słowem.

\* \* \*

Jestem pewna, że decyzję dziadka o odejściu od Helen przyśpieszyło pojawienie się w jego życiu przyszłej czwartej żony o wdzięcznym imieniu Ilona. Ta chuda i nieprawdopodobnie wysoka turystka z Polski zjawiała się w dziadkowej pracowni zupełnie niespodziewanie. Przeczytała na tabliczce nazwisko właściciela i niezmiernie się ucieszyła, że oto w chwili dla niej tak niekomfortowej i przykłej Bóg zesłał jej w swojej opatrności rodaka. Ilonka zgubiła dokumenty, a nie bardzo umiała się porozumiewać po angielsku, więc ktoś taki jak mój dziadek był w tym momencie na wagę złota. Dosłownie i w przenośni... Dziewoja opowiedziała mu o swoim nieszczęściu, robiąc przy tym różne sprytne wygibasy błękitnymi oczami, które zaraz potem rozpaczliwie utkwiała w oczach dziadka. Nieco już wyblakłych, z sinawymi worami, których z czasem nabawił się od ślęczenia przy lupie. Dziadek miał jednak dar odradzania się jak Feniks z popiołu, jeśli miał ku temu odpowiednią inspirację. Co z tego, że Ilona była o połowę młodsza, co z tego, że o pół metra wyższa, gdy jak mniemał, oboje nagle poczuli do siebie „to coś”? W jednej sekundzie zniknęły wory spod jego oczu, usta nabrzmiały niebezpiecznie,

natychmiast też stracił na wadze i zyskał na wzroście. Nie wiem, jak on to robił, ale widziałam takie numery na własne oczy. Jak się można domyślać, podstarzały amant nie kwapił się za bardzo, by pomóc nieznajomej w powrocie do kraju; przeciwnie, wynajął jej pokój w najlepszym hotelu i stał się bardzo częstym gościem, by rzecz jasna zdawać jej na bieżąco sprawozdanie z postępów swoich starań. Tak czy inaczej, dziewczucha zakotwiczyła w tym hotelu na dwa miesiące, a gdy się z niego wyprowadzała, z konieczności towarzyszyło jej czterech bagażowych. I dziadek, niosący za nią torebkę z najprawdziwszego krokodyla.

Za pieniądze wyszarpane od Helen dziadziusь urządził w Polsce super-hiper wypasione wesele, wprowadził się do bardzo nowoczesnego jak na owe czasy domu (nabytego od jednej z moich ciotek, ale na razie nie będę komplikowała wątku) i oczywiście otworzył pracownię złotniczą oraz kilka sklepów jubilerskich. Zdobył się też na nieprawdopodobny gest względem swoich „bejbis” o całkiem już sporych stópkach, a mianowicie kupił mojej matce i jej bratu ogromniastą willę w sąsiednim mieście. Tak wielką i urządzoną z tak ogromnym przepychem, jakby była budowana specjalnie dla niego. Bo tak się złożyło, że jej poprzedni właściciele, nieustępujący w niczym majątności dziadkowi, mieli podobne jak on upodobania. W tym domu przyszło mi spędzić sporą część dzieciństwa i wczesnej młodości, bo moja matka w międzyczasie wyszła za tatę i tam ja zostałam poczęta.

Dom Ilony i dziadka był zdecydowanie od naszego mniejszy, co jej o dziwo zupełnie nie przeszkadzało. Zresztą... fakt, był dużo mniejszy, ale co z tego, skoro gdy nasz miał aż czternaście pokoi, ich miał „tylko” osiem? Więc w sumie Ilona nie miała na co się skarżyć, zwłaszcza że dziadek tę lokalową skromność rekompensował jej wszelakimi innymi dobrami: autami, futrami, biżuterią, zagranicznymi wozami w miejsca dowolnie przez nią wybrane. Po latach okazało się jednak, że dziadek tego ich domu wcale nie kupił, tylko wynajął. Może tu wspomnę, ale tymczasem tylko wspomnę, że jest to ten sam dom, w którym mieszkam dziś z tatą, synkiem i małżonkiem.

Ilona była albo na tyle przebiegła, albo na tyle głupia, że w rok i sześć miesięcy po ślubie obdarowała dziadka potomkiem. Gdy została matką, przestała robić w domu cokolwiek, choć do tej pory również robiła niewiele. Nie sprzątała, nie prała, nie gotowała. Jediną rzeczą, na którą dziadek mógł z jej strony liczyć, była poranna kawa i dbanie o to, by w domu nigdy nie zabrakło papierosów i żołądkowej gorzkiej.

Jasiek urodził się jako wcześniak i być może dzięki temu albo po prostu dzięki podobieństwu do matki zawsze był nieprawdopodobnie chudy, długi i blady. Zapewne nie bez wpływu na jego rozwój były też specyficzne metody wychowawcze i sposób odżywiania go przez Ilonę. Gdy chłopak przyszedł na świat, macierzyństwo było już na tyle łatwe, że nie wymagało zbyt wielkiego nakładu pracy. Wszystko załatwiały pampersy, nawilżające chusteczki do

wycierania tyłka i mleko w proszku, które można było rozpuścić nawet w wodzie z kranu. Dlatego być może Jasiak był taki, jaki był: niemal do szóstego roku życia siurał i walił kupska w pampersy i prawie niczego nie lubił jeść poza chińskimi zupkami, bo Ilona wprowadziła je do jego jadłospisu zaraz potem, gdy przestał się odżywiać mlekiem w proszku i przecieranymi papkami ze słoików. Załatwianie się w pampersy wyperswadowały Jaśkowi panie z przedszkola, ale monodieta z chińskich zupek została mu być może i do teraz. Nie wiem, bo Jasiak jak tylko dorósł, ożenił się, wyjechał z żoną do Lublina i nasz kontakt całkowicie się urwał.

Co na to wszystko dziadek? Ano, nic. Jak zawsze pochłaniały go bez reszty praca zawodowa i rekreacyjne skoki w bok. Do domu wracał coraz później i bywał w nim coraz rzadziej. Dlatego być może do dziś nie rozwiódł się z Iloną, bo po prostu czas, jaki z nią spędzał, był zbyt krótki, by mogła mu zacząć w czymkolwiek przeszkadzać. Poza tym pewnie nie miał już ochoty po raz kolejny się żenić, a fakt, że miał już żonę, skutecznie studził zakusy jego kolejnych kochanic na coś więcej niż przelotny romans. Tę samotność we dwoje osładzała Ilonie żółdkowa gorzka w ilościach wprost proporcjonalnych do pogłębiającej się frustracji. Z czasem w ich domu zagościły syf, kiła, mogiła i karaluchy. Nie przeszkadzało to Ilonie, bo „żółdkowa” nie pozwalała jej w sposób realny ocenić swojego położenia, nie przeszkadzało też dziadkowi, gdyż on, w przeciwieństwie do żony, uprawiał życie bardziej towarzyskie niż rodzinne.

\* \* \*

Kiedy dziadziak ożenił się z Iloną, babcia Kundzia naprawdę się wkurzyła. Jak nigdy dotąd, choć logicznie rzecz biorąc powinna była się już przyzwycząić.

– No bo co on sobie wyobraża, kutas nienazarty jeden? – wykrzykiwała od czasu do czasu. – Przecież ja coraz starsza jestem i młodsza już nie będę!

– Ale przecież to nie z tobą się dziadek ożenił, więc to raczej nie twój problem – dziwiłam się tym jej wybuchom.

– Jak to nie mój? – zaperzała się babcia. – Myślisz, że ja ciągle mam siłę, żeby za tymi jego dupami nadażać? Muszę przecież wiedzieć, z kim mam do czynienia! A tu ledwie zbiorę konieczne informacje, wypracuję jakąś taktykę, metodą prób i błędów dopasuję do sytuacji, a ten ciach! Już ma inną.

Na taki argument nie byłam w stanie odpowiedzieć. Bo w sumie co racja, to racja, babunia zawsze musiała znać słabe punkty rywalki, by skutecznie w dziadkowych małżeństwach mieszać. Jedno było pewne: żadna nie dorównywała jej w kuchni, tu babcia miała zawsze asa w rękawie i dziadka w garści. Ale zdarzało się też i tak, że gdy na przykład druga żona dziadka nie cierpiała opery, którą ten uwielbiał, babcia kupowała od czasu do czasu dwa bilety i na czas trwania spektaklu znów stawała się jego „number 1”. Angielka natomiast była zimna i bez seksualnego polotu, więc gdy dziadek wpadł kiedyś na tydzień do kraju, udało jej

się nawet ze dwa lub trzy razy zaciągnąć go do łóżka. A tu masz, tak dobrze żarło i zdechło!

Ilona była nie tylko kupę lat od babci młodsza i wyglądała, zdaniem dziadka, jak Kate Moss, modelka, na widok której (również zdaniem dziadka) krew gotowała się facetom w żyłach, lecz jeszcze na dodatek towarzyszyła mu z początku w wyjściach do opery. Miarka się przebrała, gdy Ilona urodziła dziadkowi syna. Babcia podjarala się do tego stopnia, że... sama wyszła za mąż, za niejakiego Lucjana Odrzywoła, masarza z zawodu. Jediną jej radością z tego stanu rzeczy było, że dziadek naprawdę, autentycznie i w bardzo widoczny sposób się wściekł. No bo jak to! Jego Kundzia? Za mąż?? Za obcego faceta???

Satysfakcja babci nie trwała jednak długo, bo w ramach owej wściekłej dziadzio przestał się u niej dożywiać, skutkiem czego to ona teraz zapierdziała do jego zakładu z menażkami. Zmierziło więc babcię to jej małżeństwo dość prędko, bo w niecały rok. Wyrzuciła z domu nowego ślubnego, nie zawracając sobie głowy rozwodem, ale on sam ją od tej formalności wybawił, ponieważ się powiesił z rozpacz. Wtenczas babcia Kundzia popadła w totalną apatię. Nie z powodu samobójczej śmierci Lucjana, ale dlatego, że sama sobie w miarę już ułożone stosunki z dziadziusem pokomplikowała. Wciąż jeszcze gotowała i piekła, a potem zjadała wszystko w pojedynkę. I jeszcze więcej piła. W ciągu pół roku utyla tak bardzo, że zafundowała sobie fotel na kółkach, żeby móc łatwiej poruszać się po kuchni. Przypomniała sobie też o pewnym drobnym fakcie: że posiada dwójkę dzieci, których chrześcijańskim obowiązkiem jest zająć się nie do końca sprawną matką.

## ROZDZIAŁ III

### Matka Joanna od demonów

Moja mama Joanna, nazywana przez wszystkich Ašką, jak i jej brat Grzegorz junior, zwany Gogusiem, zaraz po ukończeniu ośmioletniej edukacji podstawowej wylądowali w szkołach z internatami. Mama w szkole plastycznej we Wrocławiu na kierunku fotograficznym, wujek w technikum rolniczym w Białymstoku, specjalizacja: ogrodnictwo. Tak sobie umyśliła babcia, a dziadek wyraził na to zgodę, czyli swoim zwyczajem po prostu wzruszył ramionami. Oczywiście łożył na edukację potomstwa, bo po pierwsze, miał na to, a po drugie, myślenie o dzieciach mógł sobie darować na ładnych kilka lat.

W internacie moja mama, która znała już smak alkoholu i papierosów (trudno, żeby nie, skoro w jej rodzinnym domu pili i palili wszyscy), poznała też dość szybko przyjemności płynące z cielesnego obcowania z płcią przeciwną. Wszelkie deficyty, z którymi wyszła z rodzinnego domu, głównie potrzebę miłości i poczucia bezpieczeństwa, próbowała zrekompensować sobie, wikłając się w liczne, gównie warte miłości. Mama był śliczną dziewczyną, ładniejszą nawet niż babcia Kundzia w jej wieku. Bezpruderyjna, rozrywkowa, oryginalna w sposobie ubierania się i w sposobie bycia – przyciągała do siebie chłopaków jak lep muchy, a każdego z nich kochała miłością gorącą, namiętą i... patologicznie zaborczą. Do tego stopnia, że gdy wyczuła najmniejszy spadek zainteresowania swoją osobą, gotowa była zabić siebie lub jego, a jeszcze lepiej i jego, i siebie. Na szczęście jej choleryczny temperament, jak szybko wybuchał, tak szybko stygł. Po dramatycznym przeżyciu kolejnej miłosnej porażki, samobójczo-morderczych myślach, prośbach, groźbach i zanoszeniu się spazmatycznym płaczem (trwającymi zazwyczaj od kilku do kilkunastu godzin) matka była gotowa na nowy związek.

Z czasem jednak stało się tak, że chętnych było coraz mniej. Ci, którzy mieliby ochotę na przeżycie upojnych chwil w ramionach ognistej panienci, zwyczajnie zaczęli się jej bać, tym zaś, którzy może nawet gotowi byliby na związek, jakiego oczekiwała matka, czyli coś trwalszego i poważniejszego, trochę przeszkadzało, że miał ją co drugi bliższy lub dalszy kolega. Ale mama nie była żadną rozpustnicą czy inną wywłoką lekkich obyczajów, ona po prostu chciała kochać i być kochaną. W jedyny sposób, jaki znała...

\* \* \*

Pierwszym chłopakiem matki był Robercik, kolega z klasy. Robercik był inteligentny, zdolny i bardzo, bardzo śliczny. Mama wyrwała go na jednej

z pierwszych lekcji polskiego, podczas omawiania epoki średniowiecza przez nauczycielkę ojczyściej literatury. Chłopak, poproszony o komentarz do utworu *Legenda o świętym Aleksym*, z wielkim przejęciem słał pobożność i niezłomność owego męża, zmierzając najwyraźniej do pochwały jego ascetycznych wyczynów.

– Bez przesady – zaprotestowała wtenczas niepytana przez nikogo matka. – Ja rozumiem: męstwo, odwaga, a nawet poświęcenie życia dla słusznych idei, ale ten akurat koleś, jak mu tam... Aleksy, to jakiś kliniczny świr nadający się do leczenia zamkniętego. Były w średniowieczu zakłady psychiatryczne, pani profesor?

– Co masz na myśli, Asiu? – spytała nauczycielka, a jej mina nie wróżyła niczego dobrego.

– Facet dostaje za żonę piękną dziewczynę, córkę jakiegoś ważniaka, ale tuż przed skonsumowaniem małżeństwa daje nogę, mało tego, przykazuje jej życie w cnocie i ascezie! A jakim prawem, ja się pytam? Oszukał dziewczuchę, ośmieszył przed całą wsią i pewnie jeszcze zakuł w pas cnoty. Jeśli on sam wolał od fajnego, wygodnego życia leżenie w rynsztoku i czerpanie jakiejś niezdrowej przyjemności z wylewania na niego pomyj – jego wola. Tylko że ja przepraszam, co to jest? Myślę, że diagnoza nasuwa się każdemu sama. Tobie się nie nasuwa, Robercik?

Nauczycielka poza spąsowaniem na twarzy chwilowo nie była zdolna do żadnej innej reakcji, Robercik natomiast wyglądał, jakby na niego nagle spłynął Duch Święty. Ten pilny i zdyscyplinowany uczeń nie był przyzwyczajony do samodzielnego myślenia i wyciągania wniosków, a zagadnienia typu „co autor miał na myśli” zawsze idealnie zgadzały się z poglądem nauczycielki. Teraz jednak patrzył na moją mamę szeroko otwartymi oczami, jednocześnie rzucając lęklive spojrzenie w stronę „pani profesor”. Wyraźnie bił się z myślami: przyznać rację koleżance, dostać pałę i stracić opinię najlepszego polonisty w klasie, czy zacząć beczeć jednym głosem z nauczycielką, dostać piątkę, utrzymać swój dotychczasowy status, ale na zawsze pogrzebać szansę na zostanie bohaterem w oczach tej pierwszej?

– Nasuwa mi się – odparł w końcu, wyprostował się, a jego oblicze pojaśniało blaskiem spodziewanej chwały.

– Nasuwa ci się, Robercik? Jesteś pewien, że ci się nasuwa?! – spytała groźnie nauczycielka, która w czasie trwania wewnętrznego monologu Robercika odzyskała zdolność mówienia.

– Tak jest, pani profesor! Z całą pewnością mi się nasuwa – zameldował jak żołnierz na służbie.

– Wobec tego dwóją. Ty, koleżanko, też, i... oboje za drzwi!

Wyrzuceni za drzwi młodzi, gniewni i piękni, natychmiast zapałali do siebie gorącym uczuciem. Nie wrócili już na lekcje. Mama zaprosiła kolegę do internatu, a ponieważ jej współlokatorki były jeszcze w szkole, korzystając z tego faktu,

w ramach słusznej idei skonsumowali to, co nie było dane skonsumować Aleksemu i jego nieszczęsnej małżonce. Był to dla nich obojga ten „pierwszy raz”, który potężnie scementował ich miłość. Stali się niemal nierozłączni; mama zaczęła odwiedzać swojego chłopaka w domu (nawiasem mówiąc, bardzo dobrym i bogatym), przywoziła go też w swoje rodzinne strony. Z czasem jednak zaczęła dochodzić do niepokojącego wniosku, że kocha Robercika o wiele bardziej niż on ją. Chłopak przekonywał ją, jak potrafił, do temperatury swoich uczuć, niewiele to jednak dawało. Sam pod sobą kopał dołki, nie umiejąc dyplomatycznie odpowiadać na pytania, moją mamę bowiem interesowało wszystko: co jadł, jak spał, co mu się śniło, co oglądał przed zaśnięciem w telewizji.

– Jak mogłeś? – kipiała oburzeniem. – Gdybyś naprawdę mnie kochał, obejrzałbyś *Ożenek* Gogola, a nie jakiś durny, płytki kryminał!

Pretensje miała także o to, że jadał rzeczy, których ona nie lubiła, słuchał muzyki, która kompletnie jej nie pociągała, nosił ciuchy w mało jej zdaniem interesujących kolorach. Każde tego typu „wykroczenie” traktowane było przez nią jak zdrada i ewidentna oznaka braku miłości. Miarka się przebrała, gdy chłopak postanowił uczyć się gry na gitarze i zamiast gitary klasycznej, jak mu kazała, wybrał elektryczną. Urządziła mu wtedy tak karczemną i przykrą awanturę, że rodzice Robercika zabronili mu się z nią spotykać. Zwłaszcza że była to awantura w ich własnym domu... Dziewczyna z ogromną pogardą potraktowała fakt, że śmieli mu czegokolwiek zabraniać, nabluzgała chłopakowi od świętych Aleksych i przestała się do niego odzywać. Jej uczucie do Robercika trwało jeszcze do południa następnego dnia i tyleż samo trwało jej cierpienie po tej stracie.

\* \* \*

Kolejną z istotniejszych miłości mojej mamy, bo nad drobiazgami nie będę się rozwodzić, był Andreas. Andrzej, ale tak go nazywała mama. Był on przeciwieństwem Robercika, może mniej ładnym, ale za to zdecydowanie bardziej męskim. I z fantazją. Andreas nosił długie, artystycznie potargane włosy, irchową kurtkę z frędzlami na plecach, kolorowe apaszki pod szyją i spodnie tak obcisłe, że aby zapiąć w nich suwak, musiał używać kombinerek.

Przytulał mamę gestem władczym, zdecydowanym i był od niej o kilka lat starszy, życiowo doświadczony pod każdym względem. To on właśnie zrobił z niej koneserkę dobrych trunków i papierosów z Pewexu, wyrafinowanych igraszek miłosnych, nauczył palić trawkę oraz uświadomił jej istnienie punktu G. Za Andreasem mama gotowa była pójść w ogień i w pewnym sensie robiła to systematycznie każdego dnia. Trochę ucierpiała na tym jej nauka, ale inteligencja odziedziczona po babci Kundzi oraz wyuczona od dziadka zdolność do manipulowania otoczeniem (w tym przypadku nauczycielami) pozwoliły jej na utrzymanie średniej ocen z przedmiotów ogólnych w okolicy trzech. Osiągnięciami

z przedmiotów zawodowych jak zawsze była wszystkich na łeb. Im bardziej była zakochana, im większego miała kaca po wieczornej balandze – tym lepsze i bardziej wyrafinowane robiła fotografie. Szkole zależało na takich „perełkach” jak ona, więc nawet jeśli zdarzało się jej mieć jakieś zagrożenie z matmy czy fizyki, dostawała kolejne, nigdy niekończące się szanse.

Jej nowy ukochany był świeżo upieczonym absolwentem tej samej szkoły, ale innego kierunku: był artystą malarzem. Ich związek trwał około roku i przez ten czas mamie podobało się w Andreasie absolutnie wszystko, ale gdy zaproponował przekształcenie ich pary w trójkąt z uwzględnieniem jej ówczesnej najlepszej koleżanki, w jednej chwili owo „wszystko” podobać się jej przestało. Widać bardzo mocno to przeżyła, bo dramat po rozstaniu z nim trwał całe dwa dni i jedną noc.

\* \* \*

Kolejnym mężczyzną życia mojej mamy był facet, który miał żonę, dwoje dzieci, czterdziestkę na karku i był nauczycielem rysunku w jej własnej szkole. Zaczęło się od burzy z piorunami, w sensie dosłownym. Była akurat wczesna wiosna, czas, gdy wszystko się budzi do życia, łącznie z estrogenem i testosteronem. Mama miała oddać nauczycielowi jakieś zaległe rysunki, a że akurat wtedy nie miała z nim zajęć, wpadła po prostu do jego klasy po zakończeniu lekcji. Była to w owym dniu ostatnia lekcja, i dla niego, i dla niej. Siedzieli obok siebie przy nauczycielskim biurku, łeb w łeb, udo w udo, oddech w oddech. Mama przedstawiała kolejne rysunki, objaśniając dodatkowo swoje artystyczne wizje. Za oknem z minuty na minutę zrobiło się całkiem ciemno, wałnął piorun, zawył wiatr i w klasie otworzyły się jednocześnie wszystkie okna. Przerażona mama przyłgnęła trzęsącym się jak osika ciałem do „profesora” i wtuliła twarz w jego pierś, widoczną spod rozpiętej na trzy guziki koszuli. On też się w pierwszej chwili przeląkł, bo kto by się nie przeląkł, kiedy tak nagle i niespodziewanie jebutło? Tkwili tak razem w chwilowym szoku, który powoli zaczął przeradzać się w całkiem inne uczucie. On, gdy już wróciły mu zmysły, poczuł na swoim torsie jej jędrne piersi, a także jej udo pomiędzy swoimi udami. Ona natomiast poczuła zapach męskiego potu zmieszanego z upojnie woniejącą wodą kolońską oraz jego rosnące emocje nieco powyżej swojego kolana. Później nastąpił moment wahania, czy pozostawić sprawę w takim kontekście, w jakim do niej doszło, czy też nadać jej ten nowy, który właśnie się lęgnął. Pierwszy gest zrobił on. Przytulił matkę jeszcze mocniej i za pomocą dłoni, w sposób, który ciągle jeszcze mógł wyglądać na przypadek, zaczął sondować jej pogląd na sytuację.

Wziął ją na biurku, kompletnie nie zważając na to, że ktoś mógłby wejść. Ot, siła natury. Nikt jednak nie wszedł, ani tym razem, ani żadnym kolejnym, bo „profesor” po prostu zaczął zamykać drzwi na klucz. Zdaniem mamy nie był on okazem męskiej urody: szczupły, dosyć drobny, z twarzy raczej przeciętny. Ale

tylko z twarzy.

– No popatrz, jak to pozory mogą mylić – rzuciła wnioskiem, gdy opowiedziała mi tę historię.

Ta miłość również nie przetrwała roku, mimo iż oboje byli sobą bardzo usatysfakcjonowani.

– No bo wiesz – skomentowała mama. – Jak się już coś w życiu człowieka fajnego zacznie dziać, to nagle jak nie urok to sraczka. Albo żona, kurde w dupę.

Sprawa miała dość nieprzyjemny finał: otóż rozeznana w końcu w sytuacji żona „profesora” wpadła któregoś razu do szkoły i nakładła po ryju najpierw jej, a potem jemu. Konsekwencje „z urzędu” poniósł tylko on: błyskawicznie wylali go z roboty. Matka, jako jeszcze niepełnoletnia, przysięgła w obliczu dyrekcji szkoły, że nie zrobi z tego żadnej afery, i to w zasadzie wystarczyło. Szkole, bo mamie nie. Jeszcze tego samego wieczoru zaczęła się pod klatką bloku, w którym mieszkał jej kochanek, i nakładła po ryju jego żonie.

\* \* \*

Chcąc nie chcąc, pod koniec nauki w szkole plastycznej mama musiała szukać sobie nowych terenów do miłosnych podbojów. Nawet nie tyle w sensie terytorium, co środowiska, bo w tym, w którym obracała się dotychczas, raczej nie było już w czym wybierać. Mama jednak miała swoje ambicje i zazwyczaj nie schodziła poniżej pewnego poziomu (oczywiście na trzeźwo, bo po pijaku kochała namiętnie wszystkich) i zawsze bardzo marzył jej się mąż artysta. Zatoczyła więc nieco szerszy krąg i zaczęła się przyglądać facetom spoza dziedziny sztuk wizualnych.

Pewnego jesiennego wieczoru, ciepłego i bajecznie kolorowego, matka upatrzyła sobie mojego ojca i natychmiast zarzuciła na niego sidła. Tatuś był wówczas aktorem rewiowym; tańczył, śpiewał i był w tym naprawdę świetny. I tego właśnie urokliwego wieczoru przyjechał do wrocławskiego teatru na gościnne występy ze spektaklem muzycznym, który w owych czasach miał bardzo duże powodzenie w całym kraju. Tam właśnie wypatrzyła go moja matka. Po zakończonym przedstawieniu jakoś wdarła się na scenę, by obdarować tatkę bukietem pąsowych róż i zbyt namiętnym pocałunkiem, jak na normalny hołd dla jego artystycznego kunsztu. Kwiecie mama nosiła na tego rodzaju wydarzenia zawsze, ot, na wszelki wypadek. Jeśli „wypadku” nie było, wracała z kwieciem do domu, wstawiała je do wazonu i było na zaś, dopóki całkiem nie oklapło.

Ale wracając do tematu, tatuś był tak bardzo zaskoczony i zauroczony jej gestem (nie grał bowiem żadnej ważnej roli w tym akurat przedstawieniu), że dosłownie w ułamku sekundy został śmiertelnie rażony piorunem miłości. Opowiadał mi potem, nie raz zresztą, jak bardzo się przeląkł, że nigdy już nie zobaczy pięknej nieznajomej. Musiał się przecież rozcharakteryzować, przebrać,

wydostać z garderoby wyjściem dla aktorów, a był to czas o wiele dłuższy niż odebranie przez widza płaszcza z szatni i wyjście z teatru. Tatko śpieszył się tak bardzo, że wybiegł na ulicę w butach z ostrogami i w scenicznej charakterystyce. I jeśli spodziewał się natknąć w pierwszej chwili na kogokolwiek innego niż moja matka, był w ogromnym błędzie. Kompletnie go nie zastanowiło, czemu to właśnie ona, jedna jedyna, wciąż jeszcze studiowała przy wejściu plakat ze spektaklu.

Tatuz natychmiast porwał mamę na kawę, Bogu dziękując w duchu, że się nie opierała. W kawiarni poprosił o wazon z wodą na róże, które od niej dostał, i dopiero wówczas dostrzegł, że żadna z nich nie ma już swojego pąsowego łebka...

\* \* \*

Mama opowiadała mi, że przyglądając się ojcu z widowni (z coraz większym zainteresowaniem, nawiasem mówiąc), postanowiła tym razem zabrać się do rzeczy całkiem inaczej. Tego, że uda jej się ojca uwieść, była całkowicie pewna, ale zdecydowała kategorycznie zmienić, że tak powiem, *modus operandi*. Postanowiła mianowicie udawać niedostępną, a być może nawet nieśmiałą i niewinną. Wiosną przyszłego roku miała zdawać maturę, a ponieważ szkoła była pięcioletnia, oznaczało to dla niej mniej więcej tyle, że ów fakt zbiegnie się w czasie z ukończeniem przez nią dwudziestego roku życia. A to już zakrawało na staropanieństwo. Studiując w międzyczasie, oprócz lektur szkolnych, bardzo życiowo pożyteczną literaturę z gatunku harlekinów, matka utwierdziła się w przekonaniu, że tylko te panienki, które są w stanie przez jakiś czas utrzymać faceta na dystans, mogą liczyć na ich oświadczyzny, a potem na pełnię małżeńskiego szczęścia. Tak więc jeszcze przed trzecim bitem ostatniego utworu poprzysięgła sobie, że nie pozwoli się ojcu przelecieć wcześniej niż na drugiej randce. Mój tata był mężczyzną bardzo pięknym, o doskonałej wysportowanej sylwetce i nieprawdopodobnie błękitnych oczach, które miałam szczęście po nim odziedziczyć. Ponadto był (i jest) bardzo miłym facetem, ciepłym, kulturalnym, taktownym. Wszystkie te cechy sprawiały, że z każdą minutą siedzenia naprzeciw niego w klimatycznej kawiarence, nie nad kawą niestety, ale nad dubeltowym drinkiem (czyli wódką z colą, gdyż w owych czasach nie znano innych receptur), zaczynała wymiękać. Z tego, co wiem od niej samej, kiedy „ją naszło”, zaczynała myśleć wyłącznie kroczem. Potrzeba przyjęcia między nogi aktualnego obiektu zainteresowania była tak przemożna, że niejednokrotnie czuła się wręcz bliska omdlenia. Rosło napięcie, rwał się oddech, napierdziałały jajniki. Podobno według literaturoznawców dokładnie taki sam syndrom miała Jagna z *Chłopów*. Nie wiem, skąd Reymont o tym wiedział, i nie wnikiem, ale rzeczywiście coś w tym jest. Co prawda doświadczyłam do tej pory czegoś podobnego tylko ze skurwielem Czarusiem, ale doświadczyłam, więc nie mam prawa negować podobnych rzeczy.

Wracając do tematu, jeszcze tego samego wieczoru mama wylądowała z tatą w hotelu, w którym agencja teatralna wykupiła aktorom nocleg. Mama po raz pierwszy w życiu spotkała faceta, który nie tylko był całkiem dobry w pościeli, ale był również dżentelmenem w każdym calu; troskliwym, uprzejmym, nadskakującym. A gdy się okazało, że pochodzą z tego samego miasta, ba, teoretycznie nadal oboje w nim mieszkają, uznali, że oto właśnie padli ofiarą przeznaczenia. W rzeczywistości padł tylko on, i to nawet może nie tyle przeznaczenia, co sprytnej intrygi swojej przyszłej żony.

\* \* \*

Rodzice pobrali się w drugiej połowie kolejnego miesiąca, więc mama do matury przystępowała już jako mężatka. Mieli do wyboru: zamieszkanie w kawalerce ojca, w dwupokojowym mieszkaniu jego matki albo w dwupiętrowym domu babci Kundzi. Wybrali tę trzecią opcję i zamieszkali na najwyższej kondygnacji. Pod nimi mieszkała babcia Kundzia, a niżej znajdowało się pomieszczenie, w którym pędziła bimber na własny użytek. Wódeczka w tym czasie była na kartki, a przydział był niestety niewystarczający. Babcia dorobiła do tego procederu szczytną ideologię, twierdząc, że sporządza nalewki lecznicze według własnej receptury. I rzeczywiście, każdą pozyskaną flaszkę zaprawiała różnymi dodatkami: a to łupiną z orzecha włoskiego, a to miodem, to znów wyciągiem z młodych pędów sosny bądź kwiatostanem mniszka lekarskiego. Dolegliwości miała babcia tyle, że chcąc je wszystkie ucytować za pomocą własnej produkcji medykamentów, musiałaby chodzić nawalona jak meserszmit od rana do nocy. I chodziła. Ja nie wiem, czy w takich okolicznościach babcia miała jakieś realne spojrzenie na świat, ale dzięki wieloletniemu praktykowaniu owej „domowej medycyny” sprawiała wrażenie, że jak najbardziej. Organizm po prostu na tyle się przyzwyczaił, że nie dawał żadnych typowych objawów, takich jak bełkotliwa mowa, chwiejność chodu czy jakiś ostentacyjny brak logiki w wyrażaniu myśli i postępowaniu. Gdy się okazało, że moja matka jest w ciąży, babcia natychmiast wzięła sprawę w swoje ręce. Podobno obie uznały, że jest na dziecko zdecydowanie za młoda, ale my z tatusiem podejrzewamy, że powód był zupełnie inny...

– Najpierw weźmiesz kąpiel w ukropie – perorowała babcia – a zaraz potem przelecisz się czternaście razy po schodach, od piwnicy po strych.

I matka latała. Nie czternaście nawet, ale czternaście razy po czternaście. Bez skutku. Tatko był wówczas w trasie, więc obie kobiety mogły w sposób dowolny znęcać się nad nieszczęsną zygotą. Rady babci jednak nie przynosiły skutku, więc zaczęła wymyślać coraz bardziej ekstremalne rozwiązania. Na ostatnie z nich napatoczył się tata, który akurat wrócił z tournée. Jego oczom ukazała się moja matka stojąca na najwyższym, dziewiątym szczeblu ogrodowej

drabiny usytuowanej na środku salonu.

– Aśka, złaż natychmiast – krzyknęła na jego widok babcia i w tym momencie mama skoczyła. Na równe nogi...

Wieczorem dostała krwotoku, nad ranem wylądowała w szpitalu. Poroniła. Tata bardzo bolał nad stratą pierwszego potomka, zwłaszcza że nie miał bladego pojęcia o początku jego istnienia. Dzisiaj oboje jesteśmy niemal pewni, że ojcem owej nieszczęsnej istoty musiał być inny mężczyzna. Najpewniej nauczyciel rysunku.

\* \* \*

Kiedy mama zaszła w drugą, od biedy mogącą się nazywać „pożądaną” ciążę, zachowywała się już całkowicie inaczej. Ograniczyła alkohol i papierosy, zaczęła jadać owoce i warzywa. Stała się tak wrażliwa na punkcie swojego stanu, że biedny ojciec przestał nadążać za jej zachciankami. Gdy nie był w trasie, bo kiedy był, mama wyręczała się jego najlepszymi kumplami. Jej zdaniem najlepszymi ofiarami do telefonicznego wyrwania w środku nocy były osoby młode, energiczne i w jakiś sposób zobowiązane do tego rodzaju poświęceń. Latał więc po czekoladę do nocnego sklepu Wiesław, latał po korniszony z papryczką chili Artur, zabijał się za dmuchanym ryżem w karmelu Konrad. Tak załatwiana sprawa miała jedną podstawową wadę: trzeba było co najmniej godzinę czekać na zrealizowanie zamówienia, co dla ciężarnej kobiety z zachciankami trwało niczym wieczność.

Matka zaczęła z czasem napomykać, żeby tatko na chwilę zawiesił swoją teatralną karierę i zajął się nią, kontrakt jednak obowiązywał i tymczasem nie było takiej możliwości. Dlatego gdy w drugim trymestrze ciąży matce przeszła ochota na fanaberie spożywcze i naszła na seksualne, nadal musiała liczyć wyłącznie na jego kolegów. Nie wiem, gdzie było wówczas ich morale, zwłaszcza że pierwszy z nich był żonaty, drugi poważnie zaangażowany uczuciowo, trzeci zaś studiował teologię. Mogę się jedynie domyślać, że pomoc najlepszemu koledze traktowali w sposób naprawdę priorytetowy...

## ROZDZIAŁ IV

No i jestem

Nie za bardzo pamiętam swoje najwcześniejsze lata życia. Nie wiem, czy były na tyle traumatyczne, że moja świadomość je po prostu wyparła, czy nie pamiętam, bo to zwyczajnie normalne dla dziecka poniżej czwartego roku. Moje pierwsze wspomnienie związane jest z mamą i tatą. Chyba tatą, bo do dziś nie jestem pewna, kogo wówczas zobaczyłam w jej łóżku. Tak się składało, że przez dość długi czas sikałam w majtki, zarówno w dzień, jak i w nocy. Zdarzenie, które chcę opisać, jest nie tyle realnym, pełnowymiarowym wspomnieniem, co raczej retrospekcją fizycznych, bardzo niekomfortowych odczuć.

Było ciemno, więc chyba noc. Leżałam w swoim łóżeczku, obudziło mnie przyjemne ciepło rozprzestrzeniające się od mojego krocza w dół ku kolanom i łydkom oraz w górę, niemal po sam pas: znowu zlałam się w majty. Znałam doskonale to uczucie i wiedziałam, że w bardzo krótkim czasie owa błogość zmieni się w dolegliwie odczuwane zimno oraz pieczenie. Zawsze czekałam do ostatniej chwili, czyli takiego momentu, którego nie byłam już w stanie znieść, i dopiero wówczas biegłam do mamy, która przebierała mnie w suchą piżamę, bluzgając od najgorszych.

Tak było i tej nocy. Gdy moje gacie zrobiły się lodowato zimne, a pupa zaczęła nieznośnie szczypać, udałam się do sypialni rodziców. Nikt jednak nie dostrzegł mojej obecności ani nie usłyszał mojego głosu. Na łóżku rodziców rozgrywały się bowiem rzeczy, których nie byłam w stanie ogarnąć czteroletnim umysłem. Mama była naga. Na niej leżał również nagi, niezwykle w swych poczynaniach aktywny mężczyzna. Pomyślałam wówczas, iż ten ktoś robi mojej mamie krzywdę, ale gdy usłyszałam jej zduszony szept, którym domagała się, by nie przestawał (cokolwiek by jej robił), poszłam z powrotem do siebie. Do rana już nie zasnęłam, choć piżama zdążyła całkiem wyschnąć, a pieczenie ustało. Zastanawiałam się, co takiego tatuś robił mamusi (bo przecież nie mógł to być nikt inny, choć tatuś przecież powinien być w trasie) i czemu, mimo iż wyglądało na to, że ją krzywdzi, była taka zadowolona...

Jak tylko się rozwidniło, znów pobiegłam do sypialni rodziców, spodziewając się upominku, które tatuś zawsze przywoził dla mnie ze swoich podróży. Tam jednak poza mamą nikogo nie było. Ułożyłam się grzecznie obok wciąż jeszcze śpiącej mamusi, a gdy tylko otworzyła oczy, szeptem zapytałam o tatę.

– Jakiego tatę, co ty bredzisz? – spytała mama niezupełnie jeszcze

przebudzona.

– Nie przyjechał?

– A co? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– No przecież widziałam go w nocy, razem z tobą – odparłam całkowicie zdezorientowana.

Mama poczerwieniała, zbladła, następnie z całej siły uderzyła mnie w twarz.

– A to dla otrzeźwienia. Żebyś już nigdy nie miała podobnych omamów – wyjaśniła.

– Co to są omamy, mamusiu? – spytałam na tyle cicho, na ile mogłam zapanować nad swoim głosem i się nie rozplakać.

– Omamy zazwyczaj mają takie małe wredne szczyły jak ty, które zamiast załatwiać się do nocnika, leją pod siebie. Wtedy pokazuje im się diabeł, kapujesz?

– Kapuję – odparłam i od tej pory, gdy zdarzyło mi się popuścić w majtki, zaciskałam oczy i zaczynałam odmawiać jedyną znaną na pamięć modlitwę czyli *Aniele Boży, stróżu mój*. A ponieważ już nigdy więcej nie niepokoiłam mamusi tego rodzaju problemem, nigdy więcej nie ujrzałam diabła.

\* \* \*

Gdy skończyłam pięć lat, zapisano mnie do przedszkola. Zaprowadzała mnie do niego mama, a odbierała babcia, bo o godzinie, o której należało dzieci odbierać, mama zazwyczaj źle się czuła. Leżała na sofie i już do końca dnia „nie miała do mnie głowy”, więc zostawałam u babci i u niej bawiłam się aż do wieczora. Gdy przychodziła pora spania, babcia prowadziła mnie na górę, kazała się myć i przebierać w piżamę. Kolację dostawałam do łóżka, żeby się nie szwendać po domu, bo babcia przynosiła lekarstwo dla mamy i dla siebie, stawiała je na ławie obok sofy i kiedy wychodziłam umyta z łazienki, obie kurowały się w najlepsze. W moim pokoiku czekał już talerzyk z kromką posmarowaną masłem i kubek herbaty.

Rano mama zazwyczaj bywała lekko roztargniona i czasem szłam do przedszkola z krzywo zapiętymi guzikami u bluzki, w spodniach założonych tyłem na przód lub wręcz na lewą stronę. Ale gdy któregoś razu nie włożyła mi pod spodnie majtek i ja na swoje nieszczęście (niestety, nie tylko ja) zauważyłam to przy przebieraniu się do „leżakowania”, postanowiłam ubierać się sama. Wieczorem wyjmowałam z szafy ciuchy na następny dzień i układałam na krześle w takiej kolejności i taką stroną do wierzchu, jak miały być wkładane. W przedszkolu było fajnie, miałam jakieś tam koleżanki, panie przez cały czas uczestniczyły w naszych zabawach i nigdy się nie zdarzyło, żeby całkiem zapomniały o moim istnieniu jak mama czy babcia.

Tataś nadal jeździł po kraju z rewią, ale w domu bywał regularnie. Przywoził mi z tych wojaży zabawki, mamie pieniądze i w ogóle zawsze było super. W czasie

pobytu tatki w domu mamie nic nie dolegało, chodziliśmy więc na spacer, do kina na filmy dla dzieci, rodzice zabierali mnie na plac zabaw.

Któregoś razu tata oznajmił nam, że wybiera się na przesłuchania do mającego powstać w jednym z warszawskich teatrów musicalu, planowanego z takim rozmachem, na jaki nikt w naszym kraju dotąd się nie poważył. Był tym bardzo podekscytowany, snuł plany, marzenia, wizje. I mnie to bardzo cieszyło, ponieważ widziałam już tatusia tańczącego i śpiewającego na scenie, więc byłam z niego bardzo, ale to bardzo dumna. Tym razem jednak przedstawienie miało być o wiele większe, z towarzyszeniem prawdziwej orkiestry, i miały być fajerwerki. Tak to sobie wyobrażałam, bo słowo „lasery” zupełnie nic mi nie mówiło. Dopytywałam tatkę w koło Macieju o szczegóły, a on z wielkim zaangażowaniem mi o nich opowiadał. Zwłaszcza że byłam jego jedynym naprawdę uważnym słuchaczem.

– Scena będzie taka wielka, że można by po niej jeździć samochodem – mówił z zapałem. – Niewykluczone zresztą, że tak właśnie będzie...

– Ale jak one tam wjadą, tatusiu? Po schodach? – dziwiłam się.

– Już nie nasza głowa w tym, córeczko. W prawdziwym, wielkim teatrze są tacy fachowcy, którzy potrafią wszystko, nawet wjechać samochodem po schodach – śmiał się ze mnie.

W chwilach, gdy pewne rzeczy przewyższały moją zdolność rozumienia, zamykałam oczy i na różne sposoby próbowałam sobie je wyobrazić.

– I będziesz bardzo, bardzo sławny?

– Będę.

– Będą cię pokazywali w telewizji?

– Będą.

– Weź, nie rób dziecku wody z mózgu – skomentowała matka. – Tańczysz już tyle lat, wyśpiewujesz te swoje trele, wyginasz się jak łoża, a nigdy cię jakoś w telewizji nie pokazali.

– Teraz pokażą, Asiu. – Tata uśmiechnął się pełen wiary w swoje słowa. – Zobaczysz.

– Albo i nie zobaczę...

– Co to jest łoża, tatusiu? – spytałam zaniepokojona, bo skojarzyło mi się to z kozą, której raczej wolałabym nie kojarzyć z moim kochanym ojczulkiem.

– To takie bardzo giętkie drzewo, córeczko.

– Co to znaczy giętkie? – dopytywałam.

– Takie jak twój ojciec – pośpieszyła z wyjaśnieniem mama, co zresztą nadal mi nic nie mówiło.

Tatusz wstał i zaczął się przechadzać po pokoju z rękami w kieszeniach. Chodził tak i chodził, a ja wodziłam za nim wzrokiem i coraz bardziej kręciło mi się w głowie.

- Ubierz się ładnie, Agusiu, pójdziemy na lody – powiedział w końcu.
- Sami, bez mamusi?
- Bez – odparł, popatrując na swoją małżonkę spode łba.

To były najpyszniejsze lody, jakie w życiu jadłam. Dziś już nie wiem, czy w istocie smakowały tak wyjątkowo, czy to mój tata sprawił, że tak je właśnie wspominam. Strasznie był wtedy zabawny, wygłupiał się, podśpiewywał kawałki ze swojego najnowszego spektaklu, do domu przyniósł mnie na barana. Potem zaczął się pakować, bo wcześniej rano musiał stawić się w teatrze na zbiórce przed kolejnym wyjazdem.

I znów wszystko wróciło do normy: mama chorowała każdego popołudnia, babcia zaś wieczorami za pomocą swoich tajemnych mikstur próbowała ulżyć jej w cierpieniu. W tak zwanym międzyczasie chodziłam do przedszkola.

\* \* \*

Układ mojego dnia był na tyle stały i powtarzalny, że gdybym się wówczas znała na zegarku, co do minuty mogłabym określić następujące po sobie wydarzenia. Dlatego gdy któregoś razu po powrocie nie zastałam mamy na sofie, poczułam lekki niepokój. Babcia również.

- Aśka?! – wrzasnęła, rozglądając się po mieszkaniu.
- W kiblu jestem – dotarł do nas jej dziwnie zduszony głos.

Usiadłyśmy z babcią obok siebie na sofie i czekałyśmy.

– A już myślałam, że ci się... – zaczęła babcia na widok wyłaniającej się z łazienki mamy, ale natychmiast urwała.

Matka była biała jak kreda, jej włosy sterczały na każdą stronę, ledwo utrzymywała się na nogach. Przytrzymując się mebli, podeszła do nas wolno i usiadła obok.

– W życiu już do ust nie wezmę tych twoich świństw – oznajmiła.

– No teraz toś mnie uraziła do żywego – oburzyła się babcia. – Moje produkty są najwyższej klasy! Bez chemii i sztucznych dodatków, wielokrotnie destylowane!

– Co to znaczy destylowane? – spytałam.

– To znaczy... – Babcia odruchowo zamierzała mi odpowiedzieć, ale mama jej przerwała.

– Cicho bądź, gówniarzu, gdy dorośli rozmawiają! – zbeształa mnie.

No więc byłam już cicho, żeby któraś z nich nie wpadła na pomysł, by mnie wysłać do swojego pokoju.

– Nic innego nie mogło mi zaszkodzić – upierała się przy swoim mama.

– Jak to nic? A bigos sprzed czterech dni?!

– Skoro jadłam go przez trzy poprzednie i nic mi nie było, to i czwartego nie mogło mi się nic stać – odparła mama, moim zdaniem bardzo logicznie.

- A mój bimberk żłopiesz od dnia, w którym się tu wprowadziłaś, i co? Już miałam spytać, co to jest bimberk, ale ugryzłam się w język.
- Pewnie domieszałaś tam jakiejś naparstnicy czy innej wilczej jagody...
- A nie wiesz czasem, po co? – irytowała się babcia.
- No ja nie mówię, że specjalnie, mogło ci się coś popierdzielić.
- Nic mi się nie popierdzieliło! – wrzasnęła babcia i wyszła obrażona.

Poszłam do swojego pokoju i siedziałam w nim cichutko aż do wieczora. Gdy zaczęłam być głodna i na tyle zmęczona, aby dłużej nie myśleć o pustym brzuchu, postanowiłam pójść się umyć i położyć spać. W łazience natknęłam się na mamę, która klęczała nad muszlą i na zmianę to rzygała, to klęła w żywy kamień. Przeraziłam się i pobiegłam po babcię.

- Chodź prędko – poprosiłam. – Mama chyba umiera!

Babcia również się przeraziła, złapała za jakąś flaszkę z ciemnobrązowym płynem i pobiegła za mną na górę. Mama leżała na sofie z odchyloną do tyłu głową, ręce i nogi zwisały jej bezwładnie jak u szmacianej lalki.

– Przyniosłam ci nalewkę na orzechu włoskim, napij się, dobra na żołądek. – Babcia podstawiła mamie pod nos odkręconą butelkę, wskutek czego mama nawet nie zdążyła się podnieść, rzygnęła, tak jak leżała.

- Idź mi z tym w cholerę – warknęła cicho, choć pewnie wołałaby krzyknąć.

Babcia zakręciła butelkę, odstawiła na ławę i poszła do kuchni po ścierkę. Dużo sprzątanania nie miała, bo i mama nie bardzo miała czym rzygać. Już nie była na mamę zła, była porządnie przejęta.

– A może ten twój... mężuś ci czego nalał do flaszki, żebyś nie popijała, jak go nie będzie? – rzuciła podejrzenie.

– Owszem – przyznała mama. – Nalał mi, ale nie do flaszki. Jestem już prawie pewna. I za to uduszę skurwysyna, jak mi się tylko na oczy pokaże!

Babcia przez chwilę patrzyła na mamę w milczeniu, po chwili jednak jakby ją olśniło.

- Idę po drabinę – oznajmiła.

– Zgłupiałaś? – zaprotestowała mama. – Zabiję się, nie mam już osiemnastu lat!

– Agnieszko, nalej do wanny gorącej wody. I wsyp soli, dużo soli. Najlepiej całą torebkę. Muszę twoją mamę wykapać – rozkazała babcia, a ja biegusiem polecałam spełnić jej polecenie.

Bardzo się o mamę martwiłam, nie rozumiałam też, czemu tata miałby jej czegoś dolewać do lekarstw. Przecież nie mógł chcieć zrobić jej czegoś złego... Mój dobry, kochany tatuś? Nie, to było niemożliwe. Uznałam w końcu, że musiałam coś źle zrozumieć.

Gdy wanna była już niemal po brzegi pełna ukropu, zameldowałam o tym babci, a ta ostrożnie zaprowadziła do łazienki mamę i zamknęła drzwi.

Nadstawiłam ucha, ciekawa dalszego rozwoju wypadków.

– Noż kurwa mać! – rozległ się po chwili nadzwyczaj donośny krzyk mojej rodzicielki. – Chcesz mnie ugotować żywcem?

– Właż, nie dyskutuj – odparła babcia i po chwili usłyszałam gwałtowny chlupot wody oraz regularne pojękiwania mamy.

Ta kąpiel trwała bardzo długo. Na tyle długo, że całkiem odechciało mi się jeść, za to bardzo, ale to bardzo zachciało mi się spać. Położyłam się do łóżka bez mycia, ochlapałam tylko twarz przy zlewie w kuchni i dopóki nie zmorzył mnie sen, w intencji wyzdrowienia mamy odmawiałam w koło *Aniele Boży, strózu mój*.

\* \* \*

Na drugi dzień, gdy wróciłam z przedszkola, mama siedziała przy stole w kuchni i wcinała ciastko z kremem. Wielkie, różowe i puchate.

– W lodówce jest drugie, dla ciebie – powiedziała, nie podnosząc wzroku znad talerzyka.

To było coś zdecydowanie nowego. Wzięłam swoje ciastko, usiadłam naprzeciw mamy i z ogromnym zapałem przystąpiłam do jedzenia.

– Już ci lepiej? – spytałam.

– Nie. Gorzej – odparła, czym wprawiła mnie w wielkie zdumienie, bo wyglądała na o wiele zdrowszą niż zazwyczaj o tej porze dnia.

Nie dopytywałam, co ma na myśli, żeby się nie zezłościła. Jadłam w milczeniu, ona też. Potem jak zwykle poszłam się pobawić do siebie, mama zaś bez celu snuła się po wszystkich pokojach. Wieczorem przysłała babcia, nie miała ze sobą żadnych lekarstw, tym razem przyniosła ocet i pieprz. Weszła z tym wszystkim do łazienki i odkręciła wodę.

– Jeszcze trochę i zacznę podejrzewać że masz mnie zamiar ugotować i zeżreć – skomentowała jej poczynania mama. – Musztardę też masz ze sobą?

– Nie pierdziel, Aśka, tylko włącz do wanny – rozkazała babcia, a mama całkiem posłusznie zrobiła, co jej kazano.

Podobny rytuał miał miejsce co wieczór, zmieniały się tylko przyprawy. Babcia wykąpała mamę chyba we wszystkim, co miała u siebie w kuchni: w cynamonie, gałce muszkatołowej, ostrej papryce, majeranku i naparze z kilku torebek kminku. Tak mijał dzień za dniem, wieczór za wieczorem. Ja oczywiście jako dziec-ko uznałam, że tak po prostu trzeba. Przyzwyczaiałam się do tych praktyk na tyle, że przestałam podsłuchiwać pod drzwiami łazienki i dopytywać o stan zdrowia mamy, zwłaszcza że sprawiała wrażenie zdrowszej niż kiedykolwiek. Na powrót skupiłam się na sobie, swoich zabawach i odliczaniu dni do przyjazdu taty. Byłam już w zerówce, więc liczenie, nawet takie „do tyłu”, nie sprawiało mi najmniejszych trudności.

\* \* \*

Tatuś, gdy w końcu przyjechał, był rozpromieniony i radosny. Rzucił swoją torbę w przedpokoju i zawołał nas obie z mamą do salonu. Dał mi lalkę Barbie, które wówczas można było dostać jedynie w Peweksie, a mamie piękny złoty łańcuszek z prawdziwym rubinem.

– A to z jakiej okazji? – spytała mama nieco podejrzliwie.

– Dostałem się! – wykrzyknął tata z wypiekami na twarzy. – Przeszedłem wszystkie etapy castingu i dostałem się do musicalu, o którym wam mówiłem!

Na próżno jednak czekał na jakiegokolwiek oznaki radości ze strony mamy, a także na podziękowanie za prezent. Ja natomiast nie posiadałam się ze szczęścia, ale moje szczęście nie było dla tatusia wystarczającą gratyfikacją.

– I jak to widzisz? – spytała mama w pierwszym wypowiedzianym zdaniu.

– No... tak jak do tej pory... mniej więcej. Będę pracował w Warszawie, spektakl na pewno będzie grany w całym kraju, a może nawet i za granicą. Dla was raczej nic się nie zmieni, bo widywać się będziemy normalnie, jak dotychczas. No i pieniędzy może będzie więcej...

– A dla ciebie? Co się zmieni?

– Teatr się zmieni. Z naszego, dość prowincjonalnego, na warszawski. Otoczenie się zmieni. Będę pracował z gwiazdami najczystszej wody, będę o wiele bardziej znany.

– Aha... Będziesz bardziej znany. Bardziej niż teraz, domyślam się? – spytała mama z drwiną w głosie.

– Bardziej – odparł tata jeszcze spokojnie.

– Wyobraź sobie, że czytałam gdzieś o tym „wielkim musicalowym projekcie”... Zabiera się do niego jakiś młody, nieopierzony aktor tuż po studiach, a to raczej zapowiada wielką klapę niż wielki sukces. Im większy będzie rozmach, tym większa będzie porażka. I większy wstyd.

– Nie wiesz, o czym mówisz, Asiu. – Tata wciąż jeszcze powstrzymywał się od okazania wzbierających w nim emocji. – W castingu brało udział tysiące osób, nie tylko z Polski, ale i z zagranicy. Mnóstwo ludzi ubiegało się o najmniejszą choćby rolę.

– No właśnie. – Matka skrzywiła się. – To się nazywa owczy pęd. Im więcej baranów leci w jednym kierunku, tym więcej durni się do nich po drodze przyłącza. A ty między nimi...

– Chwileczkę... Do tej pory ci się podobało, że jestem aktorem i gram na scenie, że widownia zawsze jest pełna, a bisy trwają prawie bez końca... – Tatuś zaczął już cedzić przez zęby.

– Podobało mi się ładnych kilka lat temu. Ale ileż można fikać nogami w tym samym przedstawieniu, śpiewać te same... hm... że tak powiem, szlagiery? I czekać na swoje pięć minut? A niechby i minutę nawet, ale taką, która by mi

pokazała, że miałam jednak na co liczyć przy tobie. Bo co ty z tego masz tak naprawdę? A ja co mam? Chłopa od czasu do czasu, bo najczęściej jest poza domem. Nawet kasy nie ma z tego przyzwoitej.

– Dlaczego więc szukałaś sobie męża w teatrze? A nie od razu w telewizji na przykład? Albo na budowie, gdyby ci się zamarzył ktoś o konkretniejszym zawodzie?

– Teraz już bym nie była taka głupia. Masz rację, na budowie. Tak, na budowie bym szukała. Miałabym normalne ustabilizowane życie przy boku silnego faceta i wypłatę co miesiąc w określonym dniu.

– Jest jeszcze inne wyjście – warknął tata i wreszcie walnął pięścią w ławę, jak prawdziwy „silny facet z budowy”. – Ty też masz zawód. Idź więc do pracy i sama sobie zadbaj o ustabilizowane życie.

– Nie mogę. – Nagle mama rozszlochała się histerycznie. – Nie mogę, bo... kurwa jego mać, w ciąży jestem!!!

Tata na te słowa z czerwonego zrobił się błydy i całkowicie zmienił ton. Padł przed mamą na kolana i zaczął ją całować po rękach.

– Asiu, Asieczko kochana – kwilił jak dziecko. – Oczywiście, że w tej sytuacji masz prawo czuć się podenerwowana, mieć huśtawki nastrojów, a nawet napady agresji... Ja to wszystko rozumiem, więc ci wybaczam, ale i ty mi wybac, że byłem taki opryskliwy! Dobrze?

Mama wstała i poszła do kuchni. Otworzyła słoik ze śledziami w occie i zaczęła z niego wybierać palcami leżącą na wierzchu cebulę. Tata podążył za nią, ja również. Cieszyłam się bardzo, że będę miała braciszka lub siostrzyczkę, wszystko jedno, w każdym razie kogoś, z kim będę mogła się bawić, rozmawiać, powierzać mu swoje małe tajemnice.

– Będzie dobrze, Asiu. – Tata objął mamę ostrożnie, by nie wywalić niechcący zawartości słoika, ale ona nieprędko dała się udobruchać.

Ojciec zaś, teraz już niczym niezrażony, nadskakiwał jej przez cały czas pobytu w domu. Powtarzał, że wszystko będzie dobrze, że teraz już wie, co powinien zrobić. I zrobił... Gdy przyjechał następnym razem, oznajmił z dumą, że zrezygnował z udziału w musicalu, zrezygnował również z dotychczasowej pracy i załatwił sobie wyjazd na kontrakt do Niemiec, przy budowie. W tym miejscu wspomnę tylko (raczej bez komentarza), że ów „nieopierzony aktor po studiach”, jak go nazwała mama, nazywał się Janusz Józefowicz, a musical nosił tytuł *Metro...*

\* \* \*

Babcia Kundzia przez jakiś czas miała do mamy pretensje, że powiedziała ojcu o swoim stanie. Jej zdaniem „wszystko było na jak najlepszej drodze”. Pojęcia nie miałam, o jakiej drodze mówi, ale skoro mama była innego zdania, ja również

się z babcią nie zgadzałam.

– Za chwilę sam by zauważył – odpierała jej zarzuty mama. – Cięża to nie jest coś, co się samo rozejdzie po kościach.

– Samo może nie, ale przy pewnej pomocy i owszem – odpowiadała babcia.

– Raz już ci się w końcu rozeszła.

– Może i tak, ale teraz ja bym prędzej wykorkowała.

– Trzeba było jeszcze trochę zaczekać – puentowała babcia. – I wtedy gadać, jakby co.

– Jasne. A najlepiej podstawić mu pod nos gotowego noworodka. Bo a nuż do tego czasu coś by się mogło wydarzyć?

– Pierdzielisz, Aśka. Ale to w końcu twoja sprawa, więc rób sobie, co chcesz.

Tak mniej więcej wyglądała wymiana zdań między mamą i babcią na powyższy temat, który powracał jeszcze niekiedy. W czasie całej ciąży nie widziałam, aby mama „leczyła” się babcinymi miksturami. Sięgnęła po nie dopiero w ostatnim dniu, gdy zaczęły się bóle. Gromkim głosem przywołała do siebie babcię i zażyczyła sobie odpowiedniego medykamentu. Nie śpieszyło się jej za bardzo do szpitala, postanowiła więc zostać w domu tak długo, jak się da. Bóle były jednak coraz częstsze i babcia coraz częściej przystawiała jej do ust literatkę z „lekarstwem”.

Moja siostra Marcysia przyszła na świat jeszcze tej samej nocy, w szpitalu, do którego zawiózł ją wyrwany ze snu sąsiad. I mamusia, i ona miały we krwi po dwa promile. Długo mi się wydawało, że jest to jakiś wyznacznik skali urodzeniowej, i gdy pani w szkole (chodziłam już wówczas do pierwszej klasy) pogratulowała mi siostrzyczki i zapytała, ile mierzy, odparłam z dumą: „Trzy kilo, pięćdziesiąt centymetrów i dwa promile”.

## ROZDZIAŁ V

### Dom, w którym straszy

Mówi się, że pieniądze szczęścia nie dają. Ale nikt nigdy nie orzekł, że potrafią przynosić pecha. Jestem chyba pierwszą osobą, która skłonna jest tak właśnie twierdzić. Bo w naszej rodzinie, nawet jeśli bardzo często czegoś tam brakowało, na pewno nigdy nie brakowało forsy. Forsiasty był dziadek Grzesiu, nie doskwierała bieda babci Kundzi, która oprócz tego, że darła z dziadka, ile się dało, miała swój własny, przynoszący spore dochody zawód. Jako sprytna księgową (dziś powiedzialoby się „kreatywna”) w czasach komunizmu była najbardziej pożądanym pracownikiem w państwowym zakładzie produkcyjnym, w którym piastowała stanowisko do samej emerytury. Była prawą ręką i najbardziej zaufaną osobą samego dyrektora. Im bardziej zaś była kreatywna, tym więcej zarabiała, że już o tak zwanych „obrywach” nie wspomnę. Tak więc, jeżeli mama i wujek Goguś miewali w życiu jakieś niedogodności, na pewno nie były one spowodowane ubóstwem.

Tata również zarabiał nieźle, z pewnością nie były to kokosy, ale biorąc pod uwagę różne artystyczne fuchy, mógł spokojnie utrzymać swoją niepracującą żonę oraz dziecko. Zwłaszcza że babcia Kundzia nie kasowała od rodziców forsy ani za mieszkanie, ani za media. Zmierzam jednak do tego, że im więcej mieliśmy pieniędzy, tym – wprost proporcjonalnie – gorzej nam się wiodło. Nie jakoś bezpośrednio z tego powodu, ale wtedy zawsze zaczynał dawać znać o sobie jakiś okropny, dotkliwy oraz upierdliwy pech. Największy pojawił się z chwilą, gdy dziadzius Grześ nagle postanowił zrobić dla swoich dzieci coś pożytecznego i kupił dla mamy oraz jej brata ogromny, luksusowy dom. Już co nieco o nim wspominałam, ale tu chronologia zaczęła upominać się o szczegóły.

Domiszcze ulokowane było na obrzeżach miasta, było dwupiętrowe, z wielkim ogrodem i czterema garażami. Rodzina, która go dla siebie wybudowała, była bardzo majątna, dom był w zasadzie nowiuteńki, ale gdy zaczęły się w naszym kraju zmiany i można było już bez problemów wyjeżdżać za granicę, jego właściciele spakowali się w try miga i znaleźli sobie nową ojczyznę. Być może z tego pośpiechu cena, jakiej zażądali za dom, była na tyle okazyjna, że dziadek, który do okazji zawsze miał nosa, postanowił z niej skorzystać. A ponieważ nasze lokum było kompletnie oraz bardzo zbytkownie umeblowane, przeprowadzka odbyła się błyskawicznie.

Goguś z Rafaelą zajęli tylko część parteru, ze względu na fakt, że była ona całkowicie oddzielona od reszty domu i miała osobne wejście. Wcześniej mieściły

się tam gabinety byłych właścicieli, bo oboje byli lekarzami i oprócz pracy etatowej leczyli również prywatnie. Goguś zaadaptował więc na mieszkanie cztery wielkie pomieszczenia z aneksem kuchennym i łazienką. To pierwsze nie było dla nich szczególnie ważne, ponieważ gospodarować w nim mieli dwaj faceci, z których tylko jeden był – i to raczej wątpliwej jakości – kobietą.

Nam dostała się cała reszta, czyli drugie i pierwsze piętro oraz pół parteru. Budynek miał jeszcze inne rozległe pomieszczenia poniżej poziomu gruntu. Za dużymi metalowymi drzwiami znajdującymi się naprzeciw wejścia do pralni mieściły się kotłownia, jakieś komórki, składziki i inne dziwne zakamarki. Tam zapuszczaliśmy się raczej rzadko, bo nie było po co. Niemal wszystkie pomieszczenia wypełnione były od podłóg aż po sufity drewnem na opał, a ponieważ dom był ogrzewany gazem, nikt nie miał interesu w tym, by do nich zachodzić.

W naszej połowie parteru mieściły się ogromny salon, mała podręczna kuchenka i toaleta. Wyżej były cztery różnej wielkości pokoje i kuchnia, już taka z prawdziwego zdarzenia, oraz duża łazienka z wanną. Najwyżej były również cztery pokoje, łazienka z prysznicem i toaleta. Ten poziom zajmowałyśmy my z siostrą. Wspomnę jeszcze, że gdy się tu przeprowadziliśmy, ja lada dzień miałam iść do komunii, a Marcysia miała niespełna dwa lata. Cieszyłam się bardzo i z przeprowadzki, i z komunii, szyła się dla mnie piękna suknia z zakupionej w Peweksie koronki, a moje wielkie mieszkanie pozwoliło mi na zaproszenie własnych gości. No i oczywiście spodziewałam się mnóstwa fajnych prezentów.

Tatusia o naszej nowej sytuacji mama informowała przez telefon, ze szczegółami opowiadając, co i jak wygląda. Podczas którejs z rozmów ojczulek poprosił ją o oddanie słuchawki mnie i powiedział, że ma dla mnie dwie wspaniałe niespodzianki, nie mogłam się już więc dnia komunii doczekać. Mama również była bardzo podekscytowana, ponieważ przy tej okazji zamierzała zaprosić kilku sąsiadów, by wkupić się w nowe środowisko. Przygotowania szły więc pełną parą, bez oszczędzania na czymkolwiek. Czasy nie bardzo sprzyjały wystawnym przyjęciom, bo w normalnych sklepach ciężko było wówczas cokolwiek kupić, ale od tego problemu uwolnił mamę tata, śląc z Niemiec paczkę za paczką. I odpowiednie środki płatnicze, gdyby trzeba było coś dokupić w Peweksie. Inny poziom imprezy nie wchodził w grę, gdyż dzielnicę zamieszkiwali sami niezwykle ważni i bogaci ludzie.

\* \* \*

Moja suknia była najpiękniejsza na świecie, bieluteńka, z licznymi falbankami i usztywnianą halką. Najpiękniejsze były również dodatki: wianek, torebka, pantofelki i rękawiczki. A ponieważ do komunii szłam z nową klasą (musiałam w związku z przeprowadzką zmienić szkołę), od razu zyskałam podziw,

ale i idącą z nim w parze zawiść nowych kolegów. Samą uroczystość w kościele nie bardzo pamiętam, bo myślałam tylko o tym, by się wreszcie skończyła i zaczęło się przyjęcie.

Właściwa impreza odbyła się w salonie na parterze. Mama zaangażowała profesjonalną kucharkę, dwie kelnerki oraz opiekunkę dla Marcysi, by nie popsowała przyjęcia swoim dziecięcym marudzeniem. Zaraz po powrocie z kościoła goście złożyli mi życzenia i wręczyli prezenty: dziadzius gruby złoty łańcuszek z krzyżykiem, babcia zegarek, pozostali głównie pieniądze i słodycze. O tatusiu celowo wspominam na końcu, bo jego podarki były dla mnie rzeczywiście największą i najprzyjemniejszą niespodzianką. Otóż dostałam od niego super-hiper wypasiony, zagraniczny rower i tatuś oznajmił, nie tylko mnie, ale wszem wobec, że już na stałe zostaje w kraju.

– Jakie masz plany w związku z tym? – spytała mama pomiędzy flaczkami a medalionem cielecym w borowikach z kluskami śląskimi.

Ciekawość widać nie dawała jej spokoju, choć pewnie wolałaby się o tym dowiedzieć w cztery oczy, na wypadek, gdyby ojciec wymyślił coś takiego, czego musiałyby się wstydzić.

– Jakie? – Tatuś wytarł serwetką usta i wyprostował się na krześle. – Zamierzam otworzyć własny biznes, jakąś... powiedzmy, hurtownię, oprócz tego kawiarnię, taką z prawdziwego zdarzenia, z żywą muzyką do kotleta, a dla ciebie, Asiu, atelier fotograficzne i sklep ze sprzętem: aparatami, filmami, ramkami i wszystkim, co się wiąże z robieniem zdjęć. Ale nie tu, w naszej pipidówce, tylko w jakimś dużym mieście na Śląsku, taki Bytom na przykład: rzut beretem, ale jakie możliwości!

Mama spojrzała mu przenikliwie w oczy, by sprawdzić, czy nie żartuje, ale nie dostrzegając w nich najmniejszego błysku, który by na to wskazywał, odparła z nonszalancją:

– Może to i niezły pomysł, żebyś w końcu zaczęła realizować się zawodowo. Jeszcze trochę, a zapomniałabym, jak świetna jestem w swoim fachu...

Tatuś przez dwa lata pracy na kontrakcie zarobił tyle kasy, że bez problemu mógł zrealizować swoje wizje. Być może posiedziałyby za granicą jeszcze przez jakiś czas, ale to właśnie wtedy runął mur berliński, Niemcy wschodnie i zachodnie zaczęły się jednoczyć i sytuacja kontraktowych pracowników stała się dość niepewna. W naszym kraju natomiast otworzyły się perspektywy dla prywatnego biznesu, więc każdy, kto miał głowę na karku (lub tak mu się wydawało), rzucał się na własną działalność gospodarczą.

– No tak, tak – przytaknęła nowa koleżanka mamy, pani Irenka Fitz. – Nie ma to jak wziąć sprawy w swoje ręce. A u ciebie, Asiu, jako pierwsza zamówię sobie duży portret. Pod warunkiem oczywiście, że będzie jedyny w swoim rodzaju i niepowtarzalny.

– Jak mój Grzegorz – wyrwała się Ilona, małżonka dziadka.

Wszystkie oczy natychmiast skierowały się na nią.

– To znaczy... mój mąż też jest artystą niepowtarzalnym – poprawiła się szybko.

– Z pewnością. Ja też coś o tym wiem – skomentowała babcia Kundzia i wzrok obecnych przy stole osób przeniósł się teraz na nią.

Zapanowała cisza, którą z właściwą sobie swobodą przerwał dziadek, zwracając się do pani Irenki.

– Nie widziała pani, niestety, mojego wyrobu robiącego największą furorę wśród klientek, wisiorka z owadem siedzącym na kwiatku.

Tego babcia Kundzia już nie zdzierżyła.

– O tak, niech pani żałuje – wtrąciła swoje trzy grosze. – Ów kwiatek to potrójny listek koniczynki, który ewoluował z czasem i stał się stokrotką, a teraz, jak znam rozmach mojego męża, przeobraził się w wianek. Na nim siedzą dwa żuczki, którym wraz ze stopniowym zanikaniem innych członków przybywa nóg...

– A wcale że nie! – zaprotestowała Ilonka, sprawiając, że goście, którzy od samego początku nie bardzo rozumieli, o czym mowa, teraz już całkiem poczuli się zdezorientowani.

– O mój Boże! – wykrzyknęła przytomnie matka. – Zapomnieliśmy o toaście. Otwórz, proszę, szampana, kochanie.

Tata, całkiem niespodziewanie dla siebie nazwany kochaniem, błyskawicznie spełnił jej prośbę. Wtedy mi się przypomniało coś, co chyba jako jedyne utkwiło mi w pamięci z dzisiejszej mszy i pozostało na długie lata: przysięga, że nie tknę alkoholu i papierosów do osiemnastego roku życia, a także apel księdza do rodziców, aby na przyjęciach komunijnych nie serwowano żadnych, najslabszych nawet napojów wysokowych. Nie leżało jednak w moim zwyczaju wtrącanie się do spraw dorosłych, więc kiedy po kawie i torcie mama zaproponowała obecnym na imprezie dzieciom przeniesienie się na górę, z wielką radością oraz ulgą zabrałam swoich gości do siebie.

Niestety, nie było zbyt dobrej zabawy, bo nie miałam jeszcze w tej okolicy żadnych koleżanek, a wszystkie klasowe miały dziś swoje własne przyjęcia. Moje towarzystwo ograniczało się zatem do dwóch dzisiaj poznanych dziewczynek, córek sąsiadów, trzyletniego Jaśka (synka dziadka i Ilony), który był notabene moim wujkiem, i malutkiej Marcysi z opiekunką. Było dość drętwo, zwłaszcza że z córkami sąsiadów jakoś nie przypadłyśmy sobie do gustu. Jasiek oprócz chińskiej zupki, którą specjalnie przyrządziła dla niego Ilona, nie chciał niczego zjeść, a nakarmiony na siłę przez opiekunkę Marcysi sernikiem zapluł mi cały dywan. Marcysia, która w przeciwieństwie do niego szamała, ile wlezie, nie chcąc przy tym korzystać z niczyjej pomocy, błyskawicznie upaśćkała się od stóp do głów, nie oszczędzając swojej ślicznej różowej sukieneczki. A gdy mój pokój, tak pięknie

urządzony i ustrojony, zyskał w końcu wygląd pełnoprawnego chlewa, córki sąsiadów usiadły w kącie i zaczęły szeptać między sobą z minami pełnymi dezaprobaty oraz pogardy. Chciałam, żeby ten dzień jak najszybciej się skończył, ale jako gospodyni przyjęcia nie mogłam ani sobie pójść, ani też nikogo wyprosić.

A gdy już sąsiedzi i wszyscy nowi znajomi mamy sobie poszli, zabierając z sobą swe latorośle, ja i opiekunka Marcysi, której dostał się również pod opiekę Jasiak, zesłaliśmy na dół. Mimo iż salon był siny od papierosowego dymu, a wszyscy dorośli mocno pijani (już wtedy wiedziałam, jak nazywa się stan, który wcześniej brałam za chorobę), zaczęło być o wiele sympatyczniej. Mama siedziała ojcu na kolanach i z wielką namiętnością ćwierkała mu coś do ucha, babcia Kundzia licytowała się z Iloną, która z nich zna lepiej upodobania dziadka we wszystkich możliwych dziedzinach, dziadek natomiast zajął się uwodzeniem opiekunki Marcysi. Dziewczyna po dwóch zaserwowanych jej „karniakach” zapomniała o swoich obowiązkach na rzecz radosnego poddawania się jego wyrafinowanej adoracji. Chcąc nie chcąc, sama umyłam maluchy i położywszy je do łóżka, zasnęłam między nimi w pełnym komunijnym ryn-sztunku...

\* \* \*

W nowej szkole nie zaaklimatyzowałam się zbyt łatwo. Właściwie można powiedzieć, że po długim, naprawdę długim czasie zaczęłam być jako tako tolerowana. Ponieważ nie było wówczas jeszcze prywatnych, elitarnych szkół, chodziłam do takiej, do jakiej predestynowała mnie zamieszkiwana okolica. Dzieciaki były w niej różne, bogatsze, biedniejsze, mądrzejsze, głupsze. Łączyło je natomiast z pewnością jedno: niechęć do mojej osoby. Do moich drogich, zawsze modnych ciuchów, plecaka, piórnika i innych szkolnych przyborów „z najwyższej półki”, walkmana, kalkulatora, elektronicznej gry Tetris, którą nie wiadomo po co zabierałam z sobą do szkoły, i w zasadzie wszystkiego, czego można by mi było, a nawet nie można było zazdrościć. Wtedy jak kto głupi myślałam, że użyczenie im swoich gadżetów i zabawek pozwoli mi ich sobie zjednać, ale było dokładnie odwrotnie. W końcu pogodziłam się z takim stanem rzeczy i przestałam zabiegać o aprobatę rówieśników. Miałam przecież swój świat, który od zawsze był niemal wyłącznie światem dorosłych, a ponadto musiałam zajmować się siostrą. Idąc do szkoły, zaprowadzałam ją do przedszkola i odbierałam, wracając.

Rodzice byli bardzo zajęci, tata otworzył wielką hurtownię z chemią gospodarczą i kosmetykami oraz trzy sklepy z detalem z tej samej branży, mama miała swój salon fotograficzny (salon, a nie zakład, bo wówczas zapanowała moda na „salony” i „studia”) oraz sklep ze sprzętem fotograficznym. Musiałam dość szybko wprawić się w różnych domowych zajęciach, od przygotowywania posiłków poprzez obsługę odkurzacza po segregowanie prania i włączanie pralki. Najgorzej było z wieszaniem, bo nie sięgałam do sznurków w pralni i musiałam

korzystać z krzesła. Czasem pomagała mi w tym Rafaela, bo pralnia była wspólna. Przynosiła nam też od czasu do czasu jakieś jedzenie własnej roboty, ale nie było zbyt smaczne. Wyrzucałam je potem ukradkiem, żeby nie robić jej przykrości.

Nie cierpiałam chodzić do pralni, nie tylko dlatego że wiązało się to dla mnie z trudną i nieprzyjemną robotą, ale coś mi się na tym najniższym poziomie naszego domu nie podobało. Przede wszystkim panowała tam martwa cisza, ale nie taka zwyczajna jak wówczas, gdy nie słyhać żadnych dźwięków, ale jakaś taka gęsta, złowroga. Nie wiem, jak to wyjaśnić, ale nawet gdy pralka była na chodzie, ta cisza wciąż trwała. Jakby była osobna, równoległa, niezależna od wydawanych odgłosów. A kiedy pralka była wyłączona, cisza zaczynała się materializować, osaczać, dusić, napierać ze wszystkich stron. Miało się wrażenie, że jeszcze chwila, a wyjście na zewnątrz nie będzie już możliwe. Zabierałam więc ze sobą do pralni Marcysię dla dodania otuchy. Moja siostra była bardzo gadatliwa, prawie nigdy buzia jej się nie zamykała, toteż miałam nadzieję, że swoim paplaniem zagłuszy tę ciszę, ale i ona była tu jakoś dziwnie zdominowana. Siadała na odwróconym do góry dnem wiaderku po proszku do prania i milczała. Pewnego dnia, w trakcie najgorszej czynności, którą musiałam w swoim dwunastoletnim życiu wykonywać, Marcysia zeskoczyła ze swojego siedzenia, podbiegła do mnie i oburącz uwiesiła mi się u nogi. Spojrzałam w kierunku, w którym utkwilo jej przerażone spojrzenie, i nie dostrzegłam niczego oprócz metalowych drzwi z naprzeciwka. Te od pralni zazwyczaj zostawiałam otwarte na oścież, tak na wszelki wypadek.

– O co chodzi, Marcysiu? – spytałam zdziwiona i prawie tak samo wystraszona.

– Ogień! Tam się pali – wyszeptała, wskazując paluszkami na drzwi.

– Wydawało ci się, nic się nie pali – odparłam, bo w istocie nie było tam żadnego ognia.

Marcysia ostrożnie wystawiła główkę zza mojego uda i zrobiła kilka kroków we wskazanym przez siebie kierunku.

– No, nie pali się – przyznała. – A ja przecież widziałam, paliły się tamte szare drzwi, calusieńkie! I dym buchał czarny taki...

Usiłując zachować resztkę zimnej krwi, skończyłam swoją robotę, wzięłam siostrzyczkę za rękę i zaprowadziłam ją na górę. Włączyłam jej bajkę na wideo, by jak najszybciej zapomniała o strachu, i gdy tylko buzia zaczęła jej się śmiać, pobiegłam do wujka Gogusia.

– Wujku, tam na dole coś chyba jest – relacjonowałam z przejęciem. – Coś złego, może nawet... sam diabeł!

– Co ty opowiadasz – roześmiał się wujek. – Rafaela bywa tam co najmniej raz w tygodniu i gdyby ujrzała jakiegoś diabła, na pewno by mi o tym powiedziała.

– Nie boisz się tam chodzić, ciociu?

Niezręcznie mi było mówić do Rafaeli „ciociu”, zwłaszcza gdy była w stroju

domowym, czyli zwyczajnym męskim dresie oraz nieogolona. Ale tego życzył sobie wujek, więc się stosowałam.

– Czy ja wiem? – odparła po namyśle. – Fakt, nie jest tam zbyt przyjemnie, ale diabła do tej pory nie widziałam.

– A... czy moglibyście zobaczyć, co jest za tymi wielkimi żelaznymi drzwiami? – poprosiłam. – Pójdę z wami...

Pomyślałam, że gdybym miała okazję zajrzeć za te drzwi w towarzystwie dwóch dorosłych osób, zrobiłabym to, by raz na zawsze rozwiązać swoje lęki.

– Idź ty, Rafaela. Lepiej znasz ten teren – oznajmił wujek Goguś.

– Ja??? Przecież to ty jesteś mężczyzną!

– Wobec tego chodźcie obaj – zaproponowałam, nie bawiąc się w zbyt skomplikowaną w tym wypadku odmianę przez osoby.

Poszliśmy zatem we trójkę. Nie wiem, czemu ja szłam przodem, Rafaela za mną, a za nią drobnym kroczeniem i w pewnym przykucku posuwał się Goguś. Za interesującymi nas drzwiami była dość sporych rozmiarów komórka, jak już wcześniej wspomniałam, cała wypełniona drewnem. Balami, kłocami i deskami. Idąc środkiem, bardzo ciasnym przejściem dostaliśmy się do kolejnego pomieszczenia o podobnej wielkości i z podobną zawartością.

– Sierść mi się jeży – powiedziała szeptem Rafaela. – A wam?

Rzeczywiście, i ja poczułam na całym ciele gęsią skórę oraz unoszące się włosy na głowie. Natychmiast oddałam pierwszeństwo w tej procesji Rafaeli, chowając się między nią i wujkiem.

– Kurczę, niemiło tu jest – skomentował ten ostatni. – Wracamy?

– Nie! – odparłam zdecydowanie. – Przed nami jeszcze tylko jedne drzwi, zajrzemy za nie i wtedy możemy wracać.

Idąca przodem Rafaela dotarła do nich pierwsza. Nacisnęła klamkę, uchyliła je na tyle, by namacać wyłącznik światła, i powoli, ostrożnie przekroczyła próg. Potem stało się coś nieoczekiwanego: drzwi z ogromnym hukiem same się zamknęły, odcinając Rafaeli drogę powrotną. „Ciocia” zaczęła wrzeszczeć i walić w nie pięściami, ale mimo iż oboje z Gogusem wkładaliśmy wszystkie siły w to, by je otworzyć, ani drgnęły. Po chwili rozległ się krzyk Rafaeli tak nie ludzki, jakiego nie słyszałam nawet w oglądanych już przeze mnie horrorach. Wujek Goguś zamarł, a ja, niewiele myśląc, jeszcze raz nacisnęłam na klamkę, która... tym razem ustąpiła bez najmniejszych oporów. Drzwi się otworzyły i wypadła z nich biała jak kreda i równocześnie brudna jak nieboskie stworzenie Rafaela. Nie traciliśmy czasu na dopytywanie, co takiego zobaczyła. Jak najprędzej zwaliśmy z tego przeklętego miejsca, a gdy byliśmy już na zewnątrz, „ciocia” zdołała wydusić z siebie tylko tyle, że było tam nieprawdopodobnie zimno, strasznie śmierdziało i że coś zważyło ją na glebę.

\* \* \*

Nie od razu opowiedziałam o tym zdarzeniu komukolwiek, a gdy już to zrobiłam, na powiernika wybrałam tatusia. Ojczulek uspokajał mnie, jak mógł, i próbował wytłumaczyć wszystko za pomocą normalnych praw fizyki, ale mnie to nie przekonywało. Od tej pory na wieszanie prania umawiałam się z Rafaelą, której również ta komitywa była bardzo na rękę. Jednak gdy byłam już starsza i czasem wracaliśmy do tego tematu, tatuś zaczął spekulować, że być może w tym domu stało się kiedyś coś złego. Może nawet popełniono morderstwo? Na korzyść takiej hipotezy przemawiał pośpiech, z jakim byli właściciele wyprowadzili się z tego domu, oraz niska cena, za jaką go sprzedali. To były rzecz jasna tylko i wyłącznie spekulacje, w które nie zamierzaliśmy się zbytnio zagłębiać, bo i po co? Wystarczyło nie szwendać się po piwnicach, a wówczas wszystko było w jak najlepszym porządku... To znaczy, jeśli chodziło o strachy, bo pod innymi względami ów porządek był już znacznie bardziej wątpliwy.

Tata przebywał poza domem całymi dniami, bo oprócz bieżącego zaopatrzenia hurtowni i uzupełniania towaru w swoich sklepach osobiście robił tak zwaną „papierową robotę”. Salon fotograficzny mamy był co prawda czynny od dziesiątej do osiemnastej, ale zostawała w nim jeszcze długo po zamknięciu, bo „robiła w ciemni odbitki”. Jej powroty do domu podzieliłam na trzy rodzaje: trzeźwa, niedopita, nawalona. Potrafiłam rozróżnić je wyłącznie za pomocą słuchu.

Ten pierwszy wbrew pozorom był najgorszy, a przejawiał się tym, że mama pędziła do góry po trzy schody naraz, z wielkim hukiem rzucała na podłogę zdejmowane buty, a następnie, już na bosaka, przybiegała do nas i zaczynała się reprimenda. Dla mnie, bo Marcysia była za mała. Mama miała pretensje o wszystko: że źle zaścieliłam łóżko, źle odkurzyłam, źle ubrałam Marcysię, ugotowałam niedobłą zupę. A gdy już wykrzyczała wszystko, co miała do wykrzyczenia, schodziła do siebie, wyjmowała z torebki ćwiartkę wódki i do czasu powrotu taty było cicho. Potem jazda zaczynała się na nowo, bo mama wchodziła w fazę „niedopitej”. Nie upominała się o alkohol, ale czepiała się o wszystko tak drobiazgowo i wrednie, że ojciec sam z siebie leciał do sklepu po drugą ćwiartkę. Potem już, nauczony doświadczeniem, wracał do domu odpowiednio zaopatrzony.

Drugi rodzaj powrotu mamy z pracy nazwany został przeze mnie „fazą niedopicia”. Zachowywała się wtedy łagodniej i ciszej niż w pierwszym przypadku, nie rzucała butami i nie wrzeszczała, wszystkie inwektywy pod moim adresem wypowiadając normalnym głosem. Obawiała się bowiem, że gdy przegnie, mogę nie pozwolić wysłać się do sklepu. Ale ja i tak bym poszła, aby przed powrotem tatki mogła uzyskać trzeci etap, który gwarantował nam wszystkim najwięcej spokoju. Faza, zwana przeze mnie fazą „nawalenia”, charakteryzowała się tym, że matka zasypiała na sofie ze szklanką po drinku w jednej ręce i papierosem w drugiej. Trzeba było tylko zachować czujność, by

w odpowiednim momencie wyjąć jej z dłoni dzierżone insygnia i zgasić papierosa. W takim stanie mama czasem już do domu wracała, więc od razu się kładła na sofę, zapalała papierosa i zasypiała. Jej powrotowi wówczas nie towarzyszyły żadne hałasy, poza bardzo wolnym stąpieniem po schodach i bełkotliwą mową.

Ojcu jakoś nieszczególnie przeszkadzało popijanie mamy, z dwóch powodów, jak sędzę: po pierwsze, zbyt był zajęty, by zdawać sobie sprawę z jego intensywności, a po drugie, w domu wszystko toczyło się jednostajnym, utartym torem, co przyjmował za dobrą monetę. Wkurzył się dopiero wówczas, gdy odkrył, że matka ma kochankę. Nazwaliśmy go z tatą roboczo „Kotkiem”, gdyż tak się do niego zwracała, przez co nie mieliśmy okazji się dowiedzieć, jak miał właściwie na imię.

Ojciec dokonał swojego odkrycia przypadkiem, jak zazwyczaj bywało przy wszystkich wiekopomnych odkryciach ludzkości. Otóż któregoś razu miał do mamy jakąś pilną sprawę, a że nie odbierała telefonu, po prostu wszedł w auto i pojechał do niej do pracy. Zakład był już nieczynny, ale tata wiedząc, że jego żona po godzinach pracuje w ciemni, od razu udał się w kierunku tylnego wejścia. Tam nieszczęśnik zastał swoją ślubną w sytuacji zgoła jednoznacznej z jakimś obcym mężczyzną. „Kotek” zwiął, a mama padła na kolana, błagając ojca o wybaczenie. Zbyt wiele miała do stracenia, gdyby jej mąż uniósł się honorem i złożył pozew o rozwód, zazwyczaj ściśle związany z podziałem majątku. Zwłaszcza że „Kotek” był takim typowym, śliczniutkim mruczkiem-gołodupcem.

## ROZDZIAŁ VI

### Wzgardzony wianek

Ojciec wybaczył mamie zdradę. Jej rozdzierający szloch, rozpacz i ewidentne poczucie winy zmiękczyły jego serce na tyle, że postanowił zapomnieć o sprawie i nigdy już do niej nie wracać. Jednak kiedy wszystko między nimi wróciło do jakiejś takiej normy, wrócił i „Kotek”. Już nie na zaplecze salonu fotograficznego, ale po prostu, najzwyczajniej w świecie do domu, chyba w myśl przysłowia, że pod latarnią najciemniej. Mama już nie podejmowała swojego gacha w pracy, bo tam, prowadzony drogą słusznych skojarzeń, mógłby znów niespodziewanie wpaść ojciec. Poza tym nasz dom mieścił się jakieś trzydzieści kilometrów od miasta, w którym pracowali rodzice, i taka wyprawa wymagałaby zbyt długiego czasu, a tata nie dysponował nim w nadmiarze. Zmiana miejsca schadzki stwarzała nawet pozory, jakoby matka z dnia na dzień stała się całkiem porządną panią domu, bo i wracała teraz wcześniej z pracy, i zaczęła serwować małżonkowi ciepłą kolację.

W rzeczywistości sprawa miała się tak, że po półtoragodzinnej „sesji” z „Kotkiem” odwoziła go prędko do domu i zabierała od babci Kundzi jedzenie, które ta w dalszym ciągu pichciła w nadmiarze, licząc na odwiedzinę dziadka. W domu rozgrzewała do czerwoności patelnię, wrzucała na nią cokolwiek i w ten sposób produkowała smród przypalonych potraw, który od zawsze był znakiem firmowym jej kulinarnych poczynąń. Tata był przeszczęśliwy. Z czasem uznał się nawet za współwinnego matczynej zdrady i doszedł do wniosku, że gdyby jej tak rażąco nie zaniedbywał, na pewno by do niej nie doszło. W ramach postanowienia poprawy zaczął dawać jej kwiaty i drobne (na początku) upominki.

Niestety rutyna ma to do siebie, że z czasem pozbawia człowieka czujności, i tak właśnie stało się w tym przypadku: matka, coraz bardziej bezkarna i pewna siebie, zatrzymywała „Kotka” coraz dłużej, by po upojnym sam na sam w sypialni rodziców posiedzieć z nim jeszcze i porozmawiać przy kawie. Oficjalnie, w salonie, czyli właściwie nic złego się nie działo. Gdy tata zastał taką scenę po raz pierwszy, rzeczywiście nie stało się nic złego. „Kotek” przywitał się i – pozornie nieśpiesznie – wyszedł, nie doznając ze strony ojca żadnych przykrości. W kuchni na tatę czekała kolacja, którą mama przywoziła teraz zawczasu, po drodze z pracy. Śwąd spalenizny sprawiał wrażenie, że jeszcze przed momentem jego małżonka pracowicie krzątała się w kuchni. Gdy po pewnym czasie „Kotek” znów odrobinę się zasiedział, ojciec zapytał mamę o cel tych jego wizyt.

– Robię mu serię fotografii do portfolio – odparła. – Zamierza zostać

modelem, muszę się więc porządnie postarać. To chyba nic złego?

– Chyba nic – odpowiedział tata z naciskiem na „chyba”.

Mama nie potraktowała tego niestety jako ostrzeżenia i poczyniała sobie coraz śmiej. Nie będąc już maleńką naiwną dziewczynką, doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, co jest grane, ale co ja mogłam, poza udawaniem głuchej i ślepej? W każdym razie pewnego wieczora matka całkiem już chyba straciła poczucie czasu oraz przyzwoitości i nie dość, że siedziała w obecności „Kotka” w szlafroku, to zapomniała przywieźć kolację dla taty. I wszystko się wydało. A nawet więcej, bo babcia Kundzia, bladego pojęcia nie mając, jak jej córka wykorzystuje zabierane od niej wiktuały, osobiście je do nas przytaczała.

– Masz, kolacja dla ciebie. – Wręczyła ojcu opatulony gazetami rondel.

Ojciec akurat stał pomiędzy swoją niekompletnie ubraną żoną a rozmemłanym „Kotkiem” i próbował ogarnąć sytuację.

– Jaką... kolację? – spytał, nie spuszczając tamtych dwojga z oczu.

– Aśka dziś nie zabrała, to przywiozłam.

– Dziś nie? – Spojrzał na nią w roztargnieniu, ale na swoje nieszczęście sformułował pytanie tak, że dowiedział się więcej, niżby chciał.

– No, właśnie, dlatego pomyślałam, że coś się mogło stać. Bo skoro zabiera co dzień od miesiąca, a dziś się nie zjawiła, wsiadłam w autobus i jestem.

– Od miesiąca? – upewnił się tatuś.

– Od miesiąca. Bo po co mam wyrzucać psu, skoro ty możesz zjeść?

Babcia nadal nieświadomie pogrążała mamę i siebie. Mama zaczęła dawać „Kotkowi” rozpaczliwe znaki, by sobie poszedł, ale on ją najwyraźniej źle zrozumiał.

– Ja też mogę, jeśli szanowna mamusia pozwoli – powiedział całkiem swobodnie, bo czuł się już u nas w domu jak u siebie.

– Chwila. Musimy jakoś podzielić między sobą te rarytasy – powiedział tata i wyszedł.

Wrócił po kilkunastu sekundach z siekierą w ręce.

– Co wolisz, górę czy dół? – spytał, stając obok matki.

Dopiero wówczas „Kotek” się zorientował, że popełnił małe *faux pas*. Zbladł jak ściana, ale na ucieczkę było już za późno. Ojciec zrobił krok w lewo i znalazł się teraz obok niego.

– Co ja sobie będę żonę uszkadzał – zreflektował się. – Nie za bardzo się do czegokolwiek nadaje, ale w końcu to matka moich dzieci. A skoro mam już w ręce sprzęt, szkoda by go było nie użyć!

Tata się zamachnął i do dziś nie wiem, co by się stało, gdyby nie babcia Kundzia. Tylko ona wykazała się refleksem: zasłoniła „Kotka” rondlem niczym tarczą. Siekiera uderzyła w pokrywkę, ta z hukiem wylądowała na podłodze, a zawartość rondla na „Kotku”. Gorąca, niestety, bo nic tak nie trzyma ciepła jak

kilka warstw gazetowego papieru. Najbardziej uszkodzone zostało jego domniemane „narzędzie zbrodni”, lecz biedak nawet nie pisnął, poderwał się z fotela i skulony we dwoje dopadł drzwi, rad, że ocalał przynajmniej życie.

– A coś ty taki, zięciu, narowisty? Tak gości przyjmujesz? – spytała zde gustowana babcia.

– Tak przyjmuję gości mojej żony. Nasi wspólni mogą liczyć na inne traktowanie.

Mama początkowo próbowała strzelać fochy i grać niewiniątko, ale błyskawicznie się zorientowała, że to nic nie da. Zwiesiła głowę i pewnie myślała intensywnie, jak wybrnąć z tej sytuacji.

– Mamusia pozbiera te klopsy – rozkazał ojciec babci, a ona bez szemrania uprzątnęła plac boju.

– Wiesz co, Aśka? Coś ci doradzę – zwróciła się zaraz potem do swojej córki. – Szanuj ty sobie chłopca, póki jest ci wierny. Bo ten skarb, co ci się zdaje, że masz między nogami, ma też każda inna baba. Zapamiętaj to sobie!

Od tej pory uważam, że przysłowie „wypowiedzieć coś w złą godzinę” jest jak najbardziej uzasadnione. Albo – gdyby ująć rzecz bardziej współcześnie – można by je nazwać rodzajem „samospelniającej się przepowiedni”.

\* \* \*

Gdyby się komuś miało w tym momencie zdawać, że tata wybił mamie z głowy – dosłownie i w przenośni – skłonność do romansów i zrad, śpieszę z informacją, że bynajmniej. Bo człowiek ma to do siebie, że na podstawie prób i błędów modyfikuje swoje zachowania, dostosowując je do sytuacji. Ojciec był więc zdecydowanie bardziej podejrzliwy, matka natomiast o wiele ostrożniejsza. Dlatego jej kolejny gach, zanim, jak to się mawia, „sprawa się rypla”, był w naszym domu bezkarnie przez blisko rok. Tym razem matka zmieniła „godziny przyjęć” z popołudniowo-wieczornych na wczesnoporanne. Tata otwierał hurtownię o siódmej, więc do dziewiątej, czyli godzinie wyjazdu do pracy, miała wystarczająco dużo czasu na igraszki z aktualnym obiektem westchnień. Miała ponadto cały dom dla siebie, bo my z siostrą byłyśmy o tej porze we właściwych dla naszego wieku placówkach.

I znów przypadek sprawił, że ojciec zyskał nieoczekiwaną okazję poznania swojego kolejnego „szwagra”. Otóż któregoś ranka Marcysia, która już wychodząc z domu, zaczęła odczuwać jakieś dolegliwości, dostała w przedszkolu biegunki, torsji i wysokiej gorączki. Jej wychowawczyni bez skutku próbowała zadzwonić się do mamy, i koniec końców wysłała panią sprzątaczkę do mnie, do szkoły. Natychmiast zwolniłam się z lekcji i pobiegłam po siostrzyczkę, ale gdy przyszłyśmy do domu, nie dało się otworzyć drzwi, a na dzwonek przy drzwiach nikt nie reagował. Telefonów komórkowych wówczas dzieciom się jeszcze nie

kupowało. Złapałam wobec tego ślaniającą się na nogach siostrzyczkę, wsiadłam w pierwszy lepszy autobus i pojechałyśmy do babci, która z prędkością spanikowanego ślimaka wyparzyła z domu, by sprawdzić, co się stało. Na wszelki wypadek od niej zadzwoniłam do taty, naprawdę się wystraszyłam, bo mama nigdy nie wyjeżdżała z domu wcześniej niż kwadrans przed dziewiątą. Tak się złożyło, że zanim babcia dotelepała się na miejsce za pomocą komunikacji miejskiej, tata już tam był. Niewiele myśląc, wspiął się po rynnie na balkon, a stamtąd przez uchylone okno w łazience dostał się do środka. Swoją żonę zastał, mówiąc ogródkami, całą i zdrową. A nawet bardzo żywotną w czynnościach, którym właśnie się oddawała, dlatego chcąc dobrać się do skóry jej towarzyszowi, w pierwszej kolejności musiał ją z niego strącić. Potem w ruch poszła siekiera, w której tatko od czasu rozprawienia się z „Kotkiem” wielką pokładał ufność...

\* \* \*

Teraz przynajmniej zdołaliśmy poznać imię osobnika, z którym matka sprzeniewierzała się tekstowi małżeńskiej przysięgi. Zbyniu, bo tak krzyczała za facetem, który biegnąc slalomem po schodach w dół, starał się uniknąć tatusiowej siekiery, było najprawdopodobniej zdrobnieniem od imienia Zbigniew. Nikt z nas (za matkę nie daję sobie ręki uciąć) więcej już go nie widział, więc nie było okazji się upewnić. Po Zbyniu był jeszcze Artur, Paweł, Ireneusz oraz Teodor. Ojciec, chcąc za wszelką cenę ratować swoje małżeństwo, stosował metodę kija i marchewki. Z uporem maniaka tropił kolejne romanse matki i odganiał rywali za pomocą poręcznego oraz wielokrotnie sprawdzonego narzędzia. W tak zwanych „wolnych przebiegach”, pomiędzy jednym gachem a następnym, obsypywał matkę prezentami.

Pamiętam, jak któregoś wieczoru, by się odstresować po kolejnej awanturze, mama zorganizowała w domu przyjęcie dla swoich przyjaciół, czyli pani Irenki Fitzowej z mężem Bogdanem i drugiej najlepszej koleżanki, pani Doroty z narzeczonym, Filipem chyba. Wspominałam już o nich przy okazji mojego komunijnego przyjęcia, ale na wszelki wypadek powtórzę, że byli to nasi najbliżsi sąsiedzi, wpływowi i bogaci ludzie. Przyjęcie miało miejsce dokładnie czternastego lutego, czyli w walentynki. Z tej okazji ojciec wręczył mamie dwadzieścia krwistoczerwonych róż, a w każdej z nich tkwił opakowany w sreberko cukierek. Mama bez specjalnych emocji odstawiła bukiet do wody i wróciła do rozmowy. Wówczas tatko podpuścił mnie, abym zaczęła dopominać się o cukierka, co też skwapliwie uczyniłam. Okazało się, że... obok cukierka w papierku znajdował się szczerozłoty dukat! Pokazałam go mamie, a ona zaczęła odwijać wszystkie kolejno. I w każdym, ale to dosłownie każdym, była identyczna moneta! Gdy mama doliczyła do osiemnastu, goście nie wytrzymali i wyszli. Panie chyba poczuły się urażone, że nigdy podobnego prezentu nie dostały, ich mężom zaś

musiało być głupio, że sami dotąd na podobny pomysł nie wpadli...

Nie mogę powiedzieć, żeby mama była kobietą niewdzięczną. Przeciwnie, była ojcu wdzięczna przez następnych kilka dni, od rana do nocy. Ale ileż można być wdzięczną za jedną i tę samą rzecz? Gdy już dała do przetopienia ostatniego dukata i sprzedała zrobioną z niego biżuterię, jej życie na powrót stało się nudne i monotonne, więc chwilową pustkę zaczęła jej wypełniać stara, niezawodna „przyjaciółka gorzałka”. Do czasu, gdy na horyzoncie pojawił się złotowłosy i błękitnooki Artur.

\* \* \*

Na podstawie kilkuletnich obserwacji małżeństwa moich rodziców, już z perspektywy starszej nastolatki, doszłam do wniosku, że tatko postanowił nauczyć mamę wierności metodą Pawłowa, wykształcając w niej tak zwane „odruchy warunkowe”. Był gach – w ruch szła siekiera, potem przez długi czas trwały między nimi ciche dni, przerywane czasem przez ojca bluzgami pod adresem małżonki. Nie było gacha, matka zachowywała się skromnie i zaczynała własnoręcznie gotować – był prezent. Inna sprawa, że tatko kochał mamę do szaleństwa, i ona praktycznie robiła, co chciała, pozbawiając go złudzeń, że ma na jej postępowanie jakiś wpływ.

Tak więc, jak tylko ojcu udało się wytropić i przepędzić z życia swojej żony błękitnookiego Artura, po kilku wieczorach spędzonych przez nią przykładowo w domu podarował jej pierścionek z brylantem. Z całkiem dużym brylantem. Po jak zwykle gwałtownym, za sprawą tatki rzecz jasna, zakończeniu romansu z jego następcą mama została obdarowana pięknym, nowiusieńkim, srebrnym, przewiązanym czerwoną kokardą mercedesem klasy A. Oficjalnie dostała go na trzydzieste ósme urodziny.

I niby od zbytku (czy tam przybytku, jak zwał, tak zwał) głowa nie boli, mamę bolała często, tyle że od kaca. Dzisiaj już sama wiem, co to za ból, i mogę scharakteryzować go tak: chciałoby się zabić wszystkich dookoła, którzy swym głosem, a nawet tylko widokiem potęgowali walenie młotów w głowie, zapętlanie się żołądka wokół krtani, zimne i gorące poty na przemian. Nikt normalny jednak nie sięgał po tak radykalne środki jak zabójstwo, aczkolwiek samo uprzykrzenie życia otoczeniu mogło przynieść znaczną ulgę. Sprawienie, by ci, którzy mają czelność czuć się całkiem dobrze, również źle się poczuli, czyniły z cierpień samotnych cierpienia stadne, a to zdecydowanie podnosiło na duchu. W przypadku kaców mamy najgorsze były niedziele i dni wolne od pracy, które narażały nas na ustawiczny ostrzał najcięższego kalibru.

– Czy ja cię prosiłam, Aga, o szczyzny? – Pluła mi na przykład w twarz zieloną herbatą, której chwilę wcześniej sama się domagała. – Inną mi zrób, tej się nie da pić. I ugotuj rosół.

Rosół oczywiście też był niedobry, więc wysyłała Marcysię do babci, żeby przywiozła jej taki „z prawdziwego zdarzenia”. Babcię nie krytykowała, pluć nim z innego powodu: bo był za ciepły, za zimny, albo słoik, w którym go Marcysia przywiozła, woniał kiszonymi ogórkami.

– Jakbym chciała ogórkową, tobym ci kazała ogórkową przynieść!!! – grzmiała, a biedna Marcysia zalewała się łzami.

Chcąc oszczędzić siostrzyczce przykrości, sama już spełniałam wszystkie jej zachcianki. Smażyłam jajecznicę z cebulą, latałam do sklepu po sok pomarańczowy i do apteki po alka-prim. Taty matka nie ruszała, dopóki nie wyczerpała całego arsenału przeznaczonego dla nas. Potem wytaczała najcięższe działa i zaczynała krytykować jego prezenty: dukaty były chybionym pomysłem, bo co jej właściwie z dukatów? Dziadek zrobił z nich biżuterię, którą dość szybko sprzedała, pieniądze się rozeszły. Na co innego mogły się jej przydać? Miała przyklejać je sobie na czole? Pierścionek z brylantem, owszem, to już jest coś, ale będzie musiała pomyśleć nad zmianą oprawy, bo ta wygląda jak z odpustu. Auto natomiast powinno być czerwone, żeby wszyscy widzieli, że należy do kobiety, a taki szary metalik sugeruje, że pożyczą je od męża. Już o wszystkich perfumach, pachnących jak kocie siuski, nie wspomni, o futrze z lisa również, bo rok później skończyła się moda na lisy i zaczęła na norki. Na koniec zawsze wypominała mu rezygnację z grania w *Metrze* Józefowicza, co mogłoby z nich obojga uczynić prawdziwą elitę na skalę kraju, nieschodzącą z okładek kolorowych magazynów, i taka na przykład Irenka Fitzowa mogłaby się schować ze swoim lokalnym poważaniem. Na próżno ojciec jej tłumaczył, że przecież to ona nakłoniła go do rezygnacji z owego przedsięwzięcia, matka zawsze kończyła rozmowę tak, że nie było już nic do dodania:

– W końcu to ty jesteś podobno mężczyzną w tym domu – rzucała z pogardą.  
– Powinieneś więc twardo stawiać na swoim.

Tatus w pewnym momencie odkrył sposób na wzmocnienie odporności organizmu i sam zaczął popijać. Myślał, biedak, że gdy będzie to robił ukradkiem, my z siostrą się nie zorientujemy. Ale niestety zbyt dobrze znałyśmy już objawy występujące w trakcie powyższej terapii.

\* \* \*

Jeśli chodzi o moje własne relacje z płcią przeciwną, to muszę powiedzieć, że opinia, jaką wyrobiłam sobie na podstawie wzorców rodzinnych, raczej nie skłaniała mnie do nawiązywania bliższych kontaktów z jej przedstawicielami. Nie oglądałam się za chłopakami, a tych, którzy oglądali się za mną, trzymałam na dystans. Zarówno mama, jak i babcia, które poczuły „wolę bożą” dość wcześnie, były tym faktem coraz bardziej zaniepokojone. Bo czemu niby nie miałabym pójść do kina z Adrianem, skoro jest taki ładny, czy na lody z Patrykiem, który jest

z kolei przemiły?

– Film w kinie mogę obejrzeć sama, na lody też mnie stać – odpowiadałam zazwyczaj.

– Aleś ty głupia! – dziwiła się matka.

– Lada chwila skończysz siedemnaście lat i nie wiesz, że tak naprawdę chodzi tu o coś zupełnie innego? Nieważne, pod jakim pretekstem chłopak cię gdzieś zaprasza, bo przecież zaprasza cię na randkę – próbowała mnie uświadamiać babcia.

– Owszem, wiem, i dlatego nie pójdę – odparowywałam ku ich jeszcze większemu zgorszeniu.

Nie potrafiłam zrozumieć, czemu tak bardzo im zależało, żebym przygruchała sobie jakiegoś kolesia, skoro żadna z nich nie była mi w stanie udowodnić na własnym przykładzie, że życie w parze uszczęśliwia. Przeciwnie, wszystkie dramaty, jakie obserwowałam w naszej rodzinie od najmłodszych lat, wynikały z małżeńskiego lub pozamałżeńskiego pożycia.

– Ale po co ja mam iść na tę randkę? – dopytywałam.

– Bo w ten sposób można sobie znaleźć męża. No, chyba że będziesz go szukała przez biuro matrymonialne – kpiła babcia.

– No dobra, ale po jakiego czorta mi mąż?

– Żebyś mogła być z nim szczęśliwa.

– Czemu więc ani ty, ani mama nie znalazłyście sobie kogoś takiego?

– Bo... bo... – dukała mama – to wcale nie jest takie proste. Nie trzeba się łapać pierwszego lepszego, należy się przyglądać, testować, analizować. I dać sobie na to czas, czyli zacząć jak najwcześniej.

– Przecież nie przetestuję wszystkich, choćbym zaczęła w dniu przyjścia na świat i żyła tyle co dinozaur...

– A kto ci każe testować wszystkich? – irytowała się babcia. – Trzeba się do tego zabrać jakoś... statystycznie.

– Tak właśnie uczynię – zapewniałam. – Tymczasem jednak robię nabór, a gdy już będę miała komplet kandydatów, ustawię ich w szeregu i potraktuję statystycznie. Za pomocą wyliczanki „entliczek pentliczek, na kogo wypadnie, na tego bęc”.

Nie udawało się im mnie przegadać, zwłaszcza że ani mama, ani babcia nie dysponowały żadnymi argumentami mogącymi mnie przekonać do ich racji. Muszę przyznać, że takie rozmowy nawet mnie satysfakcjonowały, bo zawsze koniec końców moje było na wierzchu. A im częściej temat był poruszany, tym bardziej upierałam się przy swoim, gotowa nawet zostać im na złość starą panną.

Niestety, musiałabym się pewnie całkiem odciąć od świata, by uniknąć ryzyka trafienia strzałą Amora. Ten jednak chyba wziął się na mnie znacznie bardziej niż mama z babcią i... stało się. Byłam w ostatniej klasie liceum, gdy

wczesną wiosną, zanim jeszcze dopadł nas przedmaturalny stres, zorganizowano dla nas wycieczkę do Krakowa. Był marzec, ale ziemia bardzo wcześnie zaczęła się budzić do życia, wszystko dookoła zieleniło się na gwałt, a słońko grzało mocno jak w czerwcu. Podczas przerwy w zwiedzaniu, jak to na każdej typowej wycieczce, dano nam czas wolny. Snułam się samotnie po rynku, raczej nie gustując w rozrywkach, którym oddali się członkowie mojej klasy, czyli pokątnemu picciu piwa i paleniu papierosów.

Postanowiłam, że usiądę sobie w jednym z kawiarnianych ogródków i zamówię lody, takie piętrowe, z bakaliami i bitą śmietaną. Pogoda jednak bardzo sprzyjała plenerom i nie mogłam znaleźć wolnego miejsca. Krążyłam więc i krążyłam, gotowa już prawie kupić sobie loda z automatu, gdy jakiś bardzo młody mężczyzna z uroczym uśmiechem na twarzy wskazał mi puste krzesło obok siebie. Przysiadłam się, z mocnym postanowieniem, że poza słowem „dziękuję” żadnego innego nie wypowiem, zamówię lody, zjem i sobie pójdę. Po pewnym czasie nawet byłam rozczarowana, że chłopak nie próbował mnie zagadywać i że nie miałam okazji zaprezentować mu swojej chłodnej wyniosłości. Uśmiechał się tylko czarująco i jakby trochę... nieśmiało. To było dla mnie coś nowego i sama zaczęłam powoli czuć się nieswojo. Zwłaszcza że prezentował typ urody, który robił na mnie największe wrażenie: wysoki, smukły, delikatny, niemal dziewczęcy. Nie zniewieściaty, a dziewczęcy właśnie, co sprawiało, że jego męski urok okraszony kobiecą subtelnością sugerował, że jest czymś więcej niż tylko pospolitym samcem. Chcąc nie chcąc i ja zaczęłam się do niego uśmiechać, czekając, aż wreszcie coś powie. I powiedział. Nie do mnie, tylko do kelnerki, w dodatku po francusku. Na widok mojej miny zaczął mi się jakby, również po francusku, tłumaczyć. W końcu dość przytomnie zapytał, czy mówię po angielsku. Angielskim posługiwałam się całkiem niezłe, więc zaczęliśmy w końcu rozmawiać. Basile również był tu na wycieczce i podobnie jak ja odizolował się od swojej grupy. Studiował architekturę i przyjechał pogłębiać sobie krakowskie zabytki. Obejrzał nie tylko zabudowę Starego Miasta, ale i zwiedził wszystkie znajdujące się w jego obrębie muzea, pozachwycał się obrazami wystawianymi przy Bramie Floriańskiej, kupił kilka pamiątek, a ponieważ i on nie miał ochoty na degustację napojów alkoholowych, wolne od zwiedzania chwile spędzał w kawiarnianych ogródkach, obżerając się słodyczami. Rozmowa była tak sympatyczna, że „chłodną wyniosłość” musiałam odłożyć na bok.

Moja wycieczka była trzydniowa, jego trwała tydzień, ale obie kończyły się w tym samym dniu, mieliśmy więc dla siebie całe dwa wieczory. Pierwszego poszliśmy do kina na angielski film z napisami, dzięki czemu oboje mogliśmy zrozumieć, o co chodzi, potem włączyliśmy się po Plantach, trzymając się za ręce. Drugi wieczór w całości spędziliśmy, spacerując po rynku i okolicach, nie tracąc czasu na zajęcia niepozwalające swobodnie rozmawiać. Wydawało mi się

wówczas, że opowiedzieliśmy sobie wszystko: o rodzinach, szkołach, zainteresowaniach. Zakładając jednak, że Basile zataił przede mną tyle samo, ile ja przed nim, wołam powiedzieć, że prawie wszystko. Basile urodził się i mieszkał w Paryżu, jego rodzice byli lekarzami: ojciec wziętym chirurgiem w znanej paryskiej klinice, matka ginekologiem z własną praktyką. Ja byłam mieszkanką średniej wielkości śląskiego miasta w Polsce, z rodziców jak wyżej, znanych i szanowanych wyłącznie lokalnie. I wyłącznie ze względu na swoją majątność, nie zaś osiągnięcia zawodowe, te różnice jednak w niczym nie umniejszały naszego „pokrewieństwa dusz”. Może dlatego, że rodzina Basila miała swoje korzenie w naszym kraju, nie dopytywałam, jak odległe, ale w końcu polska krew nie daje się zbyt łatwo wyprzeć z żył, choćby nie wiem ile pokoleń nad tym pracowało.

Rozstawaliśmy się z wielkim smutkiem. Wymieniliśmy się co prawda numerami telefonów i adresami, ale nie bardzo miałam nadzieję, że uda nam się podtrzymać tę znajomość. Bardzo zaskoczył mnie więc list Basile’a, który otrzymałam kilka tygodni po powrocie z pamiętnej wycieczki. Pisał, że mnie kocha, że tęskni i że zaprasza mnie do siebie, do Paryża. Nieprędko zwierzyłam się z tego matce, by jej nie dawać satysfakcji, że i mnie w końcu dopadło uczucie. Miałam przed sobą maturę i zamierzałam ją zdać, zanim podejmę decyzję o wyjeździe. Ale gdy już przedstawiłam rodzinie swoje plany, wszyscy, łącznie z tatą, byli jak najbardziej za. Zostałam wyposażona przez babcię w kilka seksownych sukienek, przez mamę w wyuzdaną bieliznę, ojciec natomiast obdarował mnie sporym kieszonkowym we frankach.

Basile mieszkał sam w dwupokojowym, dość skromnym mieszkaniu na obrzeżach Paryża, jego rodzice byli w posiadaniu apartamentu w 8 dzielnicy (Quartier des Champs-Élysées) z dziewięcioma pokojami, pięcioma sypialniami i pięcioma łazienkami. Jednym słowem... dość sporego, jak na dwie osoby. W naszych polskich warunkach u progu dwutysięcznego roku byłoby rzeczą niecodzienną, by jednak wywodzący się z tak zamożnej rodziny wynajmował dla siebie dwa niewielkie pokoiki na poddaszu, sam zarabiał na czynsz i na swoje utrzymanie. Toż to wołałoby o pomstę do nieba! Tak się jednak składało, że w nieco bardziej cywilizowanych krajach młodego człowieka zaraz po osiągnięciu dorosłości rzucało się na tak zwaną „głęboką wodę”. Inna sprawa, że w owych krajach młody człowiek bez większego problemu znajdował pracę, która pozwalała mu na samodzielność. Dopóki się uczył, dorabiał gdzie popadnie, czyli w knajpach, na stacjach benzynowych i w innych podobnych miejscach, a gdy ukończył edukację, w zależności od tego, jak bardzo był w swoim zawodzie dobry, mógł wybierać w lepszych lub gorszych ofertach.

Do dziś mnie owa prawidłowość zadziwia, bo w naszym kraju im się człowiek lepiej wykształci, tym mniej zarabia. Może nie tyle w firmach prywatnych, gdzie od umiejętności i talentów pracownika zależy kondycja całego

przedsiębiorstwa, ale w branżach finansowanych z budżetu państwa, w których niezależnie od wszystkiego szefostwo miesiąc w miesiąc otrzymuje spore, stałe wynagrodzenie. Taki „dyrektor z zawodu” nie będzie się rozglądał za prężnym, kreatywnym pracownikiem, który nie dość, że chciałby pewnie godnie zarabiać, to jeszcze nie daj Bóg mógłby zagrozić jego stanowisku...

Wracając jednak do sedna sprawy, czyli do mojego paryskiego epizodu: skromne lokum Basile’a kompletnie mnie nie zrażało. Przeciwnie, przydawało sprawie szczególnego romantyzmu, kojarzącego mi się z powieściami Balzaca. Było pięknie i romantycznie, aczkolwiek... nie do końca. Poza trzymaniem się za rękę, obejmowaniem oraz niewinnymi całusami Basile nie dążył do niczego więcej. Niepokoiło mnie to oraz irytowało, bo z dnia na dzień byłam coraz bardziej skłonna oddać mu swoje dziewictwo. Dziś pewnie sama próbowałabym jakoś zainicjować zbliżenie, ale wtedy byłam przekonana, że to facet powinien zrobić ten pierwszy krok. W duszne noce po upalnych dniach niemal do świtu przewracałam się z boku na bok, wsłuchując się w miarowy oddech śpiącego Basile’a. Z moim ciałem działy się dziwne, nieznanne mi do tej pory rzeczy: spragnione dotyku jego dłoni piersi nabrzmiewały boleśnie, paliły złąknione pocałunków usta, w dole brzucha rosło dziwne, niepokojące napięcie. Były to stany tak przykre, że zdarzało mi się nawet łkać w poduszkę nad ranem...

W Paryżu miałam spędzić całe czternaście dni, ale każdej kolejnej nocy, gdy kładliśmy się spać do oddzielnych łóżek, stopniowo traciłam ochotę na dalszy pobyt. Bo przyjechałam tu przecież dla niego, dla Basile’a, nie na wycieczkę krajoznawczą.

Rodziców Basile’a odwiedziliśmy tylko raz, w pierwszą niedzielę po moim przyjeździe. Sprawiali wrażenie bardzo miłych ludzi, choć w dość chłodny sposób zdystansowanych do mojej osoby. Tłumaczyłam sobie taki stan rzeczy moim polskim pochodzeniem (ciągle jeszcze pełna kompleksów na tle swojego kraju), choć fakt, że i oni mieli w żyłach jakąś cząstkę tej samej krwi, mógł sugerować, że potraktują mnie raczej ciepło. Niestety, nic takiego nie miało miejsca. Zachowanie rodziców Basile’a kojarzyło mi się z postawą arystokratów, w których progi zawitała niegodna ręka ich syna dziewczucha z plebsu.

Początkowo jakby z grzeczności pytali mnie o to lub owo, potem stali się o wiele bardziej ciekawi i zaczęli interesować się szczegółami. Dopytywali o rzeczy moim zdaniem dziwnie nieistotne, ale skoro chcieli wiedzieć na przykład, jak urządzony i umeblowany jest nasz dom, na jakie kolory pomalowane są ściany itp., odpowiadałam bez najmniejszych oporów. Rozmowę z francuskiego na angielski tłumaczył Basile, bo widocznie nikt z jego rodziny nie pamiętał już języka polskiego...

– Zrobiłaś na nich wrażenie – powiedział mi później.

– Naprawdę? – spytałam, ponieważ odniosłam całkiem inne wrażenie.

– Naprawdę. Oni są... nie wiem, jak to dokładnie powiedzieć po angielsku... niezbyt... rozmowni. Z tobą rozmawiali naprawdę dużo i w dodatku z wielkim zainteresowaniem.

Skoro Basile tak twierdził, nie pozostało mi nic innego, jak tylko uwierzyć. W końcu znał swoich rodziców, więc wiedział najlepiej. Ale co z tego, skoro nasze kontakty z Basile'em nie stały się ani odrobinę mniej oficjalne?

Na trzy dni przed planowanym przeze mnie wyjazdem z Paryża zadzwoniła Marcysia. Przepraszała, że psuje mi wakacje, ale w naszym domu zaczęło dziać się coś o wiele bardziej niepokojącego niż dotychczas. Matka wyrzuciła ojca z domu, skutkiem czego ten w ramach demonstracji zamieszkał w aucie zaparkowanym na podjeździe, a potem przekonany przez moją siostrę przeniósł się do hurtowni. Jej informacje wprawiły mnie jednocześnie w szok i przerażenie, bo gdy wyjeżdżałam, na nic takiego się nie zanosilo. Z drugiej zaś strony odczułam pewną ulgę, bo zyskałam porządny powód, by skrócić swoją wizytę w Paryżu. I nie chodziło o wytłumaczenie się ze swojej decyzji przed Basile'em, ale przed samą sobą, że przecież nie uciekam, nie kapituluję, ale po prostu... muszę. Spakowałam się szybko, opowiadając mu piąte przez dziesiąte, że zaistniały pewne „nieprzewidziane okoliczności”, i wróciłam do kraju. Po pewnym czasie okazało się, że świat jest naprawdę bardzo mały...

## ROZDZIAŁ VII

### Hesia

Tata u progu „nowego życia” postanowił coś w nim zmienić, jakoś je ożywić, sprawić, by znalazło się w nim zajęcie, które pozwoli mu zapomnieć o matce. Oddał więc w dzierżawę swoje sklepiki (hurtownię zostawił), a w ich miejsce otworzył knajpę. Taką, co to można w niej i wypić, i zjeść, i potańczyć. Wystrój knajpa miała artystyczny: metaloplastyka, witraże, malarstwo ścienne inspirowane twórczością Zofii Stryjeńskiej. W kącie stało stare pianino, na którym wynajęty przez ojca muzyk, niegdyś bardzo zdolny, dziś dość mocno złachany życiem, przygrywał do przysłowiowego kotleta. Wedle umowy miały to być znane i miłe dla ucha standardy, ale on, jak tylko spuścić go z oka (lub raczej ucha), natychmiast zaczynał rzępolić swoje własne kompozycje, wypłaszając z knajpy co wrażliwszych na muzykę gości.

Pomysł sam w sobie był świetny, ale niestety klienci do ojcowej idei nie dorośli. Byli nimi przeważnie prości górnicy oraz rozsmakowana w disco polo młodzież i tatko chcąc nie chcąc, zmuszony w końcu przez popyt musiał dostosować do niego podaż. Muzyka zastąpił magnetofon, dewolaja z frytkami i zestawem surówek rolada z modrą kapustą i kluskami śląskimi, sałatkę z kurczakiem – kiełbasa na gorąco z musztardą. Wystrój goście zmodernizowali sami: wytłukli witraże, obrazki à la Stryjeńska uzupełnili różnymi elementami żeńskiej i męskiej anatomii oraz napisami, czasem nawet zahaczającymi o poezję... Już nie było tak pięknie, ale za to od rana do wieczora przewijało się przez knajpkę mnóstwo ludzi i podobnie jak piwo, nieprzerwanym strumieniem lała się kasa. Ponadto tatko miał dokładnie to, o co mu chodziło: zajęcie niepozostawiające miejsca na uzalanie się nad sobą. Z czasem zaczął rozglądać się za dodatkowym personelem i wtedy postanowiłam, że się u niego zatrudnię.

Po powrocie z Paryża zabrałam papiery z uniwerku, na którym zamierzałam studiować teatrologię, i przeniosłam je do Wyższej Szkoły Handlowej na finanse i rachunkowość w trybie zaocznym, jak ongiś moja matka. Miałam już powyżej uszu wszystkich artystów, uduchowionych lekkoduchów (do których zaliczali się również członkowie mojej rodziny) i poetycko czarujących facetów bez jaj w rodzaju Basile’a. Ten ostatni obiecał, że napisze, choć prościej byłoby zadzwonić, nie zrobił jednak ani jednego, ani drugiego. Nie byłam zawiedziona; rozczarowanie, jakie przeżyłam za jego sprawą w Paryżu, wystarczająco przygotowało mnie na taki obrót sprawy.

Stało się jednak tak, że zaczęłam zastanawiać się nad sobą, czy aby nie

jestem zbyt mało atrakcyjna. W lustrze widywałam całkiem interesującą młodą dziewczynę, posiadającą wszystko, co w teorii uchodziło za najbardziej pożądane kobiece atrybuty: spory biust, wąską talię, okrągły tyłek i naturalne, długie blond włosy. Z niebrzydką twarzą, ale kto wie, może nie miałam tego „czegoś”, co pociągałoby facetów? Nieraz słyszałam, że ten czy ów, mimo iż nie grzeszył urodą, miał w sobie to tajemnicze „coś”, które sprawiało, że płęć przeciwna za nim szalała. Jak mój dziadek na przykład. I choć początkowo owa myśl wcale nie zmierzała w kierunku natręctwa, z czasem coraz częściej i coraz intensywniej zaczęła mi się plątać po głowie. Do tego stopnia, że postanowiłam przekonać się o nurtującej mnie sprawie empirycznie.

Któregoś pięknego wrześniowego poranka, który był dla mnie jako dla studentki wciąż jeszcze czasem wakacji, wpadł do mnie na górę wujek Goguś.

– Śpisz?! – wrzasnął mi nad uchem, choć dobrze widział, że i owszem.

– Już nie – odparłam mało uprzejmie. – A co?

– Bo mam do ciebie prośbę. Zalał nam się w mieszkaniu po wczorajszej imprezie taki jeden, Rafaela już wyszła do pracy, ja muszę lecieć góra za kwadrans i jest problem...

– Dawaj.

– Trzeba by było zajrzeć do niego za jakieś dwie godziny i jeśli się okaże, że doszedł do siebie, wypuścić go i zamknąć za nim drzwi.

– Okej, połóż klucze na ławie. – Ziewnęłam i odwróciłam się do ściany.

– Nie zapomnisz? – upewnił się wujek.

– Nie zapomnę. Idź już, do jasnej cholery, bo chcę się jeszcze trochę zdrzemnąć!

Goguś wyszedł, a ja z lubością ponownie zapadłam w brutalnie przerwany przez niego sen. Obudziłam się nie po dwóch godzinach, ale po czterech. Przypomniawszy sobie o prośbie Gogusia, narzuciłam na koszulkę nocną szlafrok i pobiegłam do jego mieszkania. Gość Rafaeli i Gogusia wciąż jeszcze leżał w pościeli, ale wyglądał na świadomego swojego istnienia oraz otaczającej go rzeczywistości.

– Gdzie oni są? – spytał.

– W pracy – odpowiedziałam, domyślając się, że chodzi mu o gospodarzy. – Mam cię stąd wypuścić i zamknąć drzwi.

– Pozwolisz, że wezmę przedtem prysznic i się ogolę?

– Okej – zgodziłam się, aczkolwiek niechętnie, bo chciałam mieć go już z głowy.

Facet, na moje oko co najmniej trzydziestoletni, poszedł do łazienki i po chwili usłyszałam szum lejącej się wody. Postanowiłam zaczekać na miejscu, żeby móc go poganiać, gdyby się za bardzo guzdrał. Po chwili jednak coś mi strzeliło do głowy, cichutko uchyliłam drzwi łazienki, zajrzałam do środka i po raz pierwszy

w moim życiu ujrzałam dorosłego mężczyznę w pełnej... hm... krasie. Miałam zamiar tylko rzucić okiem i się wycofać, ale to, co widziałam, zbyt mocno odbiegało od moich wyobrażeń i chwilowo straciłam nad sobą kontrolę. Facet akurat zdążył zmyć pianę z oczu i mnie zauważyć.

– I co się tak gapisz? – spytał. – Gołego chłopa nigdy nie widziałaś?

– Nie... – odparłam zgodnie z prawdą.

– Chyba żartujesz. – Mężczyzna wyszedł spod prysznicza, sięgnął po ręcznik i zaczął się wycierać.

A ponieważ nie zaprotestował, przyglądałam mu się w dalszym ciągu. To coś, co miał między nogami, było raczej dość szpetne i na tyle duże, że zapytałam:

– Czy to jest może... wzwód?

– No nie! – roześmiał się. – Ty chyba naprawdę jeszcze nie widziałaś faceta bez majtek. Nie, to nie jest wzwód, ale niestety nie zaprezentuję ci, jak wygląda, bo mnie zupełnie nie podniecasz.

Nie mogłam powiedzieć niczego gorszego ani w gorszych okolicznościach, bo było to dokładnie w czasie, gdy zaczynałam wierzyć, że jestem brzydka, nieapetyczna i w ogóle do niczego. Rozbeczałam się i szlochając rozdzierająco, zrobiłam w tył zwrot z zamiarem pójścia do siebie i kto wie, czy nawet nie w celu podjęcia próby samobójczej. Facet przeraził się moją reakcją, wybiegł za mną, złapał w ramiona i przytulił.

– No co ty? Aż tak to sobie wzięłaś do serca? Głupia mała...

– Nie jestem głupia – łkałam. – Jestem brzydka, a to całkiem co innego.

– Bez przesady... Wcale nie jesteś brzydka, tylko po prostu... nie w moim guście, okej?

– W niczym guście! – ryknęłam bez opamiętania. – Nikomu się nie podobam, nikt mnie nie chce, nie mam po co żyć!

– Nieprawda.

– Prawda!

– Sama popatrz. – Mężczyzna odsunął mnie od siebie i zrzucił opasujący go ręcznik.

Moim oczom ukazał się teraz całkiem inny widok w kształcie, rozmiarze oraz położeniu. Przestałam płakać, bo musiałam przez chwilę pomyśleć.

– Jak ci na imię? – spytał, szepecząc mi wprost do ucha.

– Aga...

– Julian – powiedział wciąż szeptem i zaczął mnie całować.

Julian nie był adonisem; niezbyt wysoki, średniej tuszy, z umaszczenia taki jakiś... wyblakły. Nie mogłam jednak nie skorzystać z okazji i nie przekonać się, jak to jest być z mężczyzną, zwłaszcza że ten najwyraźniej był w stanie przełamać swoją niechęć do mnie. Całowałam się więc z nim gorliwie, aczkolwiek niespecjalnie namiętnie. W końcu wylądowaliśmy w łóżku i Julian, nie bez

pewnych trudności, znalazł się w końcu we mnie. Cały ten akt trwał dość długo, zbyt długo, jeśli o mnie chodzi, Julian jakby od czasu do czasu opadał z sił, ale konsekwentnie parł naprzód. Powoli zaczynałam mieć dosyć, bolały mnie mięśnie ud, piekło krocze. Jeszcze chwila, a po prostu bym mu zwała, ale on w końcu stęknął, jęknął i znieruchomiał.

– Już? – spytałam.

– Już – wysapał, zlął ze mnie i usiadł. – Lepiej ci?

– Fizycznie nie bardzo – odparłam zgodnie z prawdą. – Ale psychicznie i owszem.

– To tak jak mnie – wyznał, złapał butelkę z wodą mineralną i wypił prawie całą.

– Powiedz mi, proszę, co jest ze mną nie tak? – spytałam, dopiwszy resztę wody.

– A co ma być? – zdziwił się.

– Właśnie nie wiem... ja nie widzę w sobie niczego odrażającego, dlaczego więc żaden facet nigdy nie chciał się ze mną kochać?

– Bo ja wiem? Z głupoty może. Albo ze ślepoty. Dużo ich było?

– Mój pierwszy chłopak i ty.

– Może on po prostu też był gejem, ot i cała tajemnica. – Julian wzruszył ramionami.

– To ty... jesteś gejem? – spytałam, nie posiadając się ze zdumienia.

– No pewnie, że jestem. – Tym razem zdumiał się Julian. – Goguś ci nie powiedział?

– Nie...

– W takim razie i ty mu nie mów, że wiesz. A już niech cię ręka boska broni wspomnieć... co tu, że tak powiem... zaszło.

\* \* \*

Epizod z Julianem pozwolił mi odzyskać wiarę w siebie, a umocniła ją praca za barem w ojcowej knajpie. Gdy zauważyłam, jakie wrażenie na męskich klientach robi mój biust, zaczęłam nosić coraz większe dekolty. Celowo nachylałam się nad ladą pod byle pretekstem, by delektować się, obserwując kątem oka, jak ślinią się na ten widok. Drażniłam ich z premedytacją i zimną krwią, zwłaszcza że mój pierwszy i jedyny raz, którego doświadczyłam, nie sprawił, by myśl o kolejnym jakoś szczególnie mnie pociągała... A gdy zauważyłam ścisły związek pomiędzy wielkością dekoltu a wysokością napiwku, załatwiłam sobie służbowy uniform: granatową sukienkę z białymi lamówkami wokół kończącego się nieco powyżej sutków dekoltu.

Moja praca trwała od poniedziałku do piątku, w soboty i w niedziele chodziłam na uczelnię. Szybko wpadłam w tryby monotonii, która nawet nie

doskwierała mi zbyt. Zajęcia na uczelni, trwające od rana do wieczora, nie pozwalały na myśli o czymkolwiek innym, a czas spędzony w knajpie dostarczał mi wielu rozrywek, bo lubiłam obserwować ludzi, ich zachowania, przysłuchiwać się rozmowom. Z czasem zaczęłam się nawet do nich wtrącać, jeśli temat wyjątkowo leżał mi na sercu, jak na przykład lekceważące wyrażanie się o kobietach czy wręcz ich niemiłe traktowanie, a także znęcanie się nad słabszymi, wszystko jedno jakiej płci. Byłam wówczas na etapie dużej niechęci w stosunku do samczej rasy, a geny odziedziczone po przodkach (postura babci Kundzi, władczość matki i cwaniactwo dziadka) pozwalały mi opanować każdą sytuację. Tak więc zdarzało się, że robiłam również w knajpie ojca za „bramkarza”, jak się to wówczas mawiało. Tatko rad unikał wszelkiego zamieszania, gdyż jako facet mógłby niepotrzebnie oberwać, ja zaś – w żadnym wypadku. Ani jeden śląski chłop z prawdziwego zdarzenia ręki na frelkę by nie podniósł, mogłam więc sobie pozwalać ile wlezie.

Pamiętam, jak po raz pierwszy podjarałam się do czerwoności, słuchając bredzenia podpitego Pitera. Opowiadał swoim nie mniej podpitym koleśiom, jak to on „krótka czimie swoja baba” i w jaki sposób domaga się od niej szacunku dla siebie. W swojej relacji jawił się jako stuprocentowy macho, dzień w dzień gnębiący swoją połowicę po to tylko, by ów status pielęgnować oraz utrzymać. Oczywiście bez względu na to, jak była mu uległą, ot tak, profilaktycznie i zapobiegawczo.

– Bo chłop to mo być chłop, a nie kalesony! – spuentował, a jego towarzysze z powagą pokiwali głowami.

– Czyli że co? – spytałam, bo jego wykład miał akurat miejsce przy barze, pół metra ode mnie.

– Czyli że baba mo wiedzieć, kaj jest jej miejsce – odpowiedział mi jego kumpel Alojz, którego gębę też już dobrze znałam.

– No więc gdzie jest?

– Przy gorkach, jodło warzić i dzieckom rzycie obcierać – sprecyzował Piter.

– No dobra, a kiedy już uwarzy i poobciera, to co?

– To może se zicnonć i czekać, aż chłop z szychty przyńdzie, laćki mu na giry łoblyc, łobiod naszykować i czekać, co rozkoże.

– A to niby dlaczego?

– Bo jak świat światym tak było, jest i bydzie!

– No tak, fakt... – zgodziłam się bez protestu. – I chyba dlatego wasze żony na mszę za zdrowie mojego tatusia dały...

Mężczyźni spojrzeli po sobie szklistymi oczkami.

– Że co?

– Bo jakby nie ta jego knajpa, musiałyby co dzień o wiele dłużej patrzeć na takich ciuli jak wy...

Przy barze zrobiło się cicho. Tata, który akurat przechodził obok, szarpnął mnie gwałtownie za łokieć.

– Na miłość boską, Aga – szepnął mi do ucha. – Weź się pohamuj!

– A właśnie że nie! – zaprotestowałam.

Pochyliłam się przy tym w stronę rozmówców tak bardzo, że o mało mi cycki nie wyskoczyły na blat – niech widzą, że jestem kobietą, a kobiet się nie tyka! I zobaczyli. Wlepili gały w tę moją schedę po babci Kundzi i pootwierali gęby.

– No i co, dupki dzwońce? Tacy z was bohaterowie? Poskramiacze żon, rycerze drewnianej kopyści, kontestatorzy osranych pieluch?

– Nie za bardzo rozumia, co ta dziolcha godo, ale mi się zdowo, że nos przeżywo – wywnioskował Alojz, na co Piter mocno się rozsierdził.

– Posuchej, gizdulo, jakbyś ty nie była baba, to... – warknął groźnie, ale nie pozwoliłam mu skończyć.

– Jakbym ja nie była babą, tobyś ty ogon podkulił i zwiął gdzie pieprz rośnie. Do baby każdy z was odważny. A widzisz tego tam? – Wskazałam w kierunku wielkiego faceta wciśniętego pomiędzy cztery młode fanki jego wydatnych bicepsów.

Piter spojrzął w jego stronę i natychmiast uciekł wzrokiem w mój dekolt.

– Powiedz mu może, gdzie jest miejsce jego koleżanek. Młody jest, może ci będzie wdzięczny za takie rekolekcje.

Pomachałam do mięśniaka, a on, biorąc mój gest za zwykłe pozdrowienie, odmachał mi zadowolony. Alojz bez słowa wyjął portfel i uregulował rachunek: za siebie, za Pitera i takiego jednego, który też z nimi pił, ale nie wtrącał się do naszej wymiany zdań, i wszyscy trzej wyszli. Rzucił nawet sporym napiwkim. A co, ma się ten honor!

– Jak się tak będziesz awanturowała, to stracimy klientów – powiedział tata z troską.

– Nie ma opcji – zaśmiałam się, wkładając zarobiony banknot do biustonosza. – Tu w promieniu kilometrów nie ma żadnej innej knajpy.

\* \* \*

Tata dość prędko przyzwyczał się do moich występów, zwłaszcza że nigdy mi się nic z ich powodu nie stało. To ja dążyłam do konsensusu między klientami, rzucając się w sam środek męskich bójek, wystawiałam za drzwi awanturników i opróżniałam knajpę z ostatnich gości. Zyskałam sobie w ten sposób przydomek „Hesia”. Nie od tej Hesi, która była córką pani Dulskiej – moja ksywka była damskim zdrobnieniem od słowa „herszt”. Nie pamiętam, kto pierwszy mnie tak nazwał, ale pamiętam, w jakich okolicznościach.

Otóż przychodził wieczorami do naszej knajpy niejaki Murzin, chłop duży,

czerniawy oraz buc jakich mało: agresor mu się włączał już po trzech piwach i wtedy szukał zaczepki. Ci, którzy go znali, schodzili mu raczej z drogi, ale głodny wrażeń Murzin wybierał sobie czasem kogoś spośród gawiedzi i nie zważając na to, że gość wcale nie jest skłonny do sprzeczki, prowokował go do upadłego. Wyzywał, trącał, podkładał nogę i tym podobnie. Gdy mu się nie udawało osiągnąć celu, zalewał się na cacy i jako jeden z ostatnich wytaczał się z lokalu. Czasem jednak się zdarzało, że ktoś nie wytrzymał i mu się postawił, wychodzili wówczas obaj za bar i tam finalizowali swój dyskurs. To, co się działo w okolicznych krzakach, mnie nie interesowało, i dopóki nikt nikogo nie zabił, spokojnie robiłam swoje.

Kiedyś jednak Murzin grubo przegiął. Upatrzył sobie na ofiarę młodego chłopaka o niezbyt solidnej posturze i dopóki ubliżał mu personalnie, ten jakoś sobie radził. Ale kiedy wszedł z bluzgami na jego matkę, młodzieniec nie wytrzymał i rzucił się ku niemu z pięściami. Pozostali klienci poodsuwali się ze stolikami pod ścianę, chroniąc swoje trunki. Widząc, na co się zanosi, weszłam na plac boju, by spróbować przemówić Murzinowi do rozumu, ale on jakby mnie nie zauważał. Złapał chłopaka za szyję, uniósł w górę i wolną ręką zaczął wymierzać mu ciosy w żołądek. Mocno już wkurzona rozejrzałam się za jakimś narzędziem i akurat wpadło mi w rękę grube polano leżące obok kominka. Murzin widząc kątem oka, co się święci, puścił chłopaka i skulił w ramionach łeb, ale nie tam mierzyłam. Z całej siły grzmotnęłam go od tyłu pod kolana, wskutek czego osiłek ukląkł z łoskotem.

– Ty gupio pizdo! – wyraził się pod moim adresem i złapał mnie wpół, zmuszając, bym i ja ukląkła.

Wiłam się jak piskorz, wierzgając nogami, i utrudniałam mu ten zamysł jak mogłam. Czułam, że opadam z sił, gapiło się na tę scenę kilkudziesięciu facetów i bardzo niehonorowo byłoby dać się sprowadzić do parteru. Niewiele myśląc (i do dziś pojęcia nie mam, skąd przyszło mi to do głowy, chyba sam Duch Święty mnie natchnął) wsadziłam Murzinowi dwa palce do nosa: wskazujący i środkowy. Szczerze mówiąc, wsadziłam to zbyt delikatne stwierdzenie: wrzepiłam mu je z rozmachem oraz z całej siły. Murzin wywrócił oczy, zbladł i... zemdłał. Wtedy gdzieś z głębi sali dało się słyszeć pełne uznania zdanie:

– Herszt nie baba! Tobie, dziołcha, strach za pazury zalyżć!

I tak już zostało, ale że ta ksywka nie bardzo pasowała do mojej delikatnej płci, zostało zdrobnione na „Hesia”. Murzin dość długo nie pokazywał się w knajpie, a gdy się znów pojawił, nikogo nie zaczepiał. Owszem, nadal bluzgał szpetnie, ale już tak bardziej ogólnie, jak to się mawia: sobie a muzom.

Respekt, jaki dzięki tamtemu wydarzeniu zyskałam, sprawił, że nigdy nikt już mi nie podskoczył. Przeciwnie: gdy obrywał ode mnie jakiś niepokorny gość i śmiał wyrazić z tego powodu niezadowolenie, dostawał również omłoty od

własnych kolegów.

## ROZDZIAŁ VIII

### Zaskakująco mały świat

Studia przerwałam po trzech miesiącach, ponieważ się zakochałam. Po pół roku znów podjęłam naukę i stało się to u mnie pewną prawidłowością, że gdy pojawiała się w moim życiu kolejna miłość, nauka szła na bok, a gdy się kończyła, natychmiast wracała do łask. Miałam zdecydowanie za dużo do pogodzenia: pracę w knajpie, miłość i naukę, z czego dwie ostatnie rzeczy toczyły nierówną walkę o moją uwagę, więc przecież z czegoś musiałam zrezygnować. Mama bardzo miała mi to za złe, zwłaszcza że zbliżały się jej imieniny, na które zaprosiła naszych znamienitych sąsiadów i chyba zamierzała się pochwalić przed nimi córką studentką.

Przyjęcie miało się odbyć ze szczególną pompą, bo od czasu gdy mama pracowała poza miastem, mniej miała okazji do spotkań z przyjaciółmi, a zatem siła rażenia musiała być znacznie większa. Stół uginał się od potraw, salon udekorowany został wielką ilością prawdziwych kwiatów, balonami i serpentynami, z kolumn podpiętych do „wieży” marki Sony sączyły się największe hity popu ostatnich lat. Mama, gdy wszystko było już gotowe, włożyła na siebie obcisłą suknię ze srebrnych cekinów ze sporym dekoltem z przodu i ogromnym z tyłu. Oprócz państwa Fitzów i pani Doroty, już nie z narzeczonym, ale z mężem, czyli państwa Rogulskich, zaproszeni zostali tata, babcia i dziadek z Iloną – tu chyba mama liczyła na jakieś wypasione prezenty. Nie pomyliła się: dziadek ofiarował jej grubą złotą bransoletkę, babcia (też grubą) kopertę, tata przytaskał japoński czternastocalowy telewizorek do kuchni, bo tylko tam jeszcze telewizora nie było.

Już przy aperitifie mama zaczęła opowiadać, co u niej nowego, jakby od niechcienia wspominając o sporych dochodach, które przynosi prowadzony przez nią interes. Tatę, na co dzień traktowanego jak wroga, w sytuacjach towarzyskich chętnie nazywała „rekinem biznesu” łaskawych lat dziewięćdziesiątych. Potem odbyła się, jak zwykle w tym gronie, mała licytacja sukcesów i stanu posiadania, sprytnie wplataną pomiędzy różne dykteryjki i opowiastki. A gdy już doszło do dzieci i Fitzowie zaczęli rozprawiać o ocenach w indeksach córek, a Rogulscy o czerwonych paskach na świadectwie synka, mama się zawahała, ale nie na długo:

– A nasza Aga była na wakacjach w Paryżu – oznajmiła. – Pokaż nam zdjęcia, Agusiu!

Niezbyt chętnie spełniłam jej prośbę, bo pobyt w tym pięknym mieście nie zostawił mi dobrych wspomnień. Poza tym miałam już inny obiekt westchnień i nie

miałam ochoty przypominać sobie Basile'a. Mama podtykała gościom pod nos fotografie zrobione przy wszystkich chyba ważniejszych obiektach: wieży Eiffla, katedrze Notre Dame, Luwrze, budynku Moulin Rouge, w Ogrodzie Luksemburskim i wielu innych. Najchętniej jednak demonstrowała te zrobione w posiadłości rodziców Basile'a; nie było ich zbyt wiele, jednak bijący z nich w oczy przepych dostrzec można było bez problemu. Występuję na nich głównie ja, czasem z Basile'em i tylko na jednym jedynym ujęci zostaliśmy wszyscy czworo.

– A to być może przyszli teściowie mojej Agusi. – Mama wskazała palcem jego rodziców.

Miałam wielką ochotę zaprotestować, ale znając moją matkę, wiedziałam, że byłoby to bardzo nieopłacalne. Pani Fitzowa już miała przekazać zdjęcie dalej, ale cofnęła rękę i wpatrzyła się w nie jeszcze raz.

– A... kto to jest? – spytała.

– Mówię ci przecież, rodzice mojego przyszłego zięcia – odparła mama całkiem rada, że może to jeszcze raz powtórzyć.

– No dobrze, wiem, ale konkretnie... kto?

– Znani paryscy lekarze. – Mama nie posiadała się ze szczęścia, że przyjaciółka sama umożliwiła jej podanie tych informacji.

– Lekarze. Paryscy – powiedziała pani Irenka, wręczając fotografię swojemu mężowi.

– To miłe, całkiem miłe – mruknął pan Fitz i chciał podać ją dalej, ale żona go powstrzymała.

– Okulary załóż! I przypatrz się porządnie!

Pan Fitz założył okulary, gapił się dość długo i „porządnie”, mama zaś z zadowolonej stała się nieco zaniepokojona.

– To jest Barbara! – wykrzyknął po chwili mężczyzna. – Barbara i Jerzy!

– Barbara i Georges – poprawiła go matka.

Fitzowie spojrzeli na siebie lekko wstrząśnięci.

– No tak. To przecież Baśka i Jurek Gogolewscy – stwierdziła pani Irena.

– Barbara i Georges. Gogol z nazwiska – sprostowałam, bo w końcu to ja wiedziałam najlepiej.

– On jest chirurgiem, a ona ginekologiem? – spytał pan Fitz.

– Tak – odparłam zdziwiona.

– Za dużo zbiegów okoliczności, żeby to miał być przypadek – powiedział i oddał zdjęcie żonie.

– Żadna zbieżność. – Pokiwała głową. – Jestem pewna na sto procent. Ale... ale to niesamowite! Nadzwyczajne po prostu?

– Czyżbyście znali państwa Gogolów? – zapytał zdeorientowany ojciec.

– Gogolewskich – sprostował Fitz. – No pewnie, że znamy, i wy pośrednio

też. Kupiliście od nich ten dom! Nie osobiście, bo przez biuro nieruchomości, więc nie mieliście się okazji zobaczyć. A ten chłopiec, to dla nich kto? Oni nie mieli przecież dzieci... Barbara nie mogła, zdaje się, choć ginekolog...

– No widzisz? Więc to nie mogą być te same osoby – zatriumfowała na chwilę matka. – Bo Basile, chłopak Agusi, jest ich synem.

– Może został przez nich adoptowany – podrzuciła Fitzowa. – Mówił ci coś o tym, Agusiu?

– Nie, nic mi nie mówił.

– Może sam nie pamięta, a oni mu nie powiedzieli?

– Jeśli rzeczywiście tak było, on na pewno o tym wie. I wcale się nie dziwię, że nie rozpowiada o tym na prawo i lewo. Ja bym się nie chwaliła.

– Aga! – zgromiła mnie matka, widząc, że skłonna jestem się przychylić do teorii Fitzów.

Przypomniałam sobie, jak intensywnie rodzice Basile'a dopytywali o nasz dom. Miałam wrażenie, że interesuje ich bardziej niż ja sama, co wówczas bardzo mnie dziwiło, ale dziś zaczynało stawać się zrozumiałe. Do pewnego stopnia, bo czemu mieliby robić z tego tajemnicę? Zaczęłam wiercić się w fotelu, chcąc jak najszybciej podzielić się sensacją z moją siostrą.

– Ja tam w sumie nie wiem. – Wzruszyłam ramionami i zanim mama zdołała cokolwiek powiedzieć, popędziłam do siebie. A konkretniej do Marcysi, która nie dała się namówić na tę imprezę i zwiłała zaraz po złożeniu matce życzeń.

– Słuchaj, siostra, jak ci coś powiem, to spadniesz z krzesła!

Marcysia zdjęła z uszu słuchawki i spojrzała na mnie pytająco, musiałam więc jeszcze raz powtórzyć.

– Nie spadnę, mów – odparła z umiarkowaną ciekawością.

– Wiem, kto tu mieszkał przed nami. Normalnie historia jak z telenoweli. Albo nawet z horroru!

Marcysia odłożyła słuchawki na biurko i usiadła porządniej.

– No?

– Rodzice tego Francuza, u którego byłam latem!

– Znaczy... Basile'a? Chrzanisz.

Opowiedziałam jej ze szczegółami wszystko, co wiem.

– No to faktycznie jaja! I w ogóle, jak to się mówi: świat jest mały, co nie? – skomentowała. – Ale... nie uważasz, że coś w tym jest takiego... niejasnego? Podejrzanego nawet?

– No pewnie! Przecież normalni ludzie by mi powiedzieli, że kurde, taki nastąpił zbieg okoliczności, a oni nic, ani słowem! W dodatku całkiem po polsku nie umieli rozmawiać! Basile też chyba był przekonany, że jego starzy po naszymu ani w ząb, bo jak kto głupi tłumaczył każde słowo z francuskiego na angielski i apiać z powrotem.

– Mają coś do ukrycia, na bank – skonstatowała Marcysia. – Ta... piwnica... pamiętasz, jak nas w niej straszło, gdy byliśmy małe? Musieli tu kogoś zatłuc, zakopać i podpalić dla zatarcia śladów. Tak! Podpalić! Do dziś pamiętam ten ogień, te palące się drzwi. – Siostra zmarszczyła brwi. – Żelazne drzwi w dodatku!

– Ja tam żadnego ognia nie widziałam, ale słyszałam różności: jęki, westchnienia, czułam lodowaty powiew na szyi...

– Wiesz co, Aga? Musimy tam pójść jeszcze raz!

– Po co?

– No bo jeśli... coś tam rzeczywiście jest, jakieś zwłoki na przykład czy inny trup...

– To co? – weszłam jej w słowo. – Jeszcze nam tu kryminału brakuje, ekshumacji, dochodzenia, przesłuchań! Mało mamy własnych atrakcji?

– Chcesz więc to tak zostawić?

– Nie wiem. – Wzruszyłam ramionami.

Z jednej strony bardzo chciałam się dowiedzieć, czemu rodzice Basile'a byli tacy tajemniczy, czy ma to jakiś związek z tym domem i co tu ewentualnie mogło zajść przed laty. Z drugiej zaś strony wołałam w nic się nie mieszać, nie prowokować żadnych, mogących zaważyć na naszym i tak już popieprzonym życiu wydarzeń.

– Ale może jakaś dusza potrzebuje naszej pomocy? Choćby pokropienia wodą święconą... Chcesz ją tu więzić do usranej nieskończoności?

– Możemy w takim razie zlać całutką piwnicę święconą wodą bez dociekania szczegółów. Też pomoże.

Moja trzynastoletnia siostra wchodziła właśnie w dość trudny okres dojrzewania, interesowała się stylem emo, słuchała mrocznej muzyki i zaczytywała się *Harrym Potterem*. Jednym słowem, pociągało ją wszystko, czemu można było nadać określenie „nieziemskie”. Widząc, jak bardzo Marcysię zaczyna kręcić ta historia, pożałowałam, że wprowadziłam ją w temat. Byłam już niemal pewna, że nie odpuści, i zaczynałam się tego obawiać. Nie, nie ducha, ale tego, co może nawywijać, bo moja siostra miała wyjątkowy dar do prowokowania kłopotów.

\* \* \*

Jeśli chodzi o mnie, dość szybko przestałam sobie zaprzętać głowę tamtą sprawą. Jak już wspomniałam, byłam zakochana, a to potrafi przysłonić cały świat. Mój najdroższy miał na imię Szymon i... poznałam go w knajpie ojca. Przyszedł pewnego wieczoru z którymś z miejscowych i od razu zwrócił moją uwagę: wysoki, szczupły, delikatny blondyn w okularach. Jego twarz wyglądała jak alegoria intelektu, zatknięta na godnej siebie, prostej jak struna, wdzięcznej w ruchach reszcie. Już sam widok jego dłoni był w stanie przyprawić mnie o dreszcze: jasnych, smukłych, o pięknych długich palcach. A gdy po jakiejś

godzinie spędzonej nad prawie pełnym kuflem piwa, znudzony towarzystwem nieokrzesanego tubylca zasiadł do zapomnianego przez wszystkich pianina i zaczął wygrywać skoczne ragtime'y, moje serce stopiło się doszczętnie, spłynęło z piersi wartką strugą i legło kałużą u jego stóp. Natychmiast zaczęłam dociekać, kim jest, i się dowiedziałam, że bratankiem koleś, z którym przyszedł. I że też jest miejscowy, ale obraca się na co dzień w całkiem innych sferach, skończył studia na AGH i stara się o pracę w kopalni na oddziale technicznym. Tymczasem zaś zabijał czas wolny i w taki właśnie sposób trafił do naszej knajpy.

Pobiegłam na zaplecze, zdjęłam z siebie wydekoltowany uniform i włożyłam cywilną odzież – krótką džinsową spódniczkę i szafirowy sweterek z angory. Potem zrobiłam kawę w filizance, obok na tacy położyłam talerzyk z kremówką i zaniiosłam to wszystko mojemu „objawieniu”.

– Mam wrażenie, że czuje się pan tu odrobinę wyobcowany – powiedziałam, stawiając tacę na pianinie.

Chłopak podniósł oczy znad klawiszy i przestał grać.

– To dla mnie? – spytał.

– Tak, od szefa lokalu za koncert. – Uśmiechnęłam się, jak umiałam najpiękniej.

– Czyli... od pani?

– Szefem jest mój tata, ja tylko posłańcem – odparłam skromnie. – Mam na imię Aga.

– Szymon. – Wyciągnął do mnie swoją smukłą, chłodną w dotyku dłoń. – Ale ciastko zjemy razem, jest za duże jak dla mnie samego.

Przekroił trzonkiem łyżeczki kremówkę, jedną połowę wziął do ust, drugą podał mnie. Też wprost do ust, a ja omal nie zemdlałam. Nie byłam jeszcze pewna, co się ze mną dzieje, nadal uważałam facetów za ludzką podkategorię, ale widać on, tak inny niż ci, których widywałam przez ostatnie miesiące, swoją innością wyzwolił we mnie eksplozję tłumionych pragnień.

– Zagraj jeszcze – poprosiłam szeptem.

Szymon przesunął się trochę na krześle, posadził mnie obok siebie i zaczął grać. Cały bar przestał dla mnie istnieć, mógł się śmiało zapaść pod ziemię lub wylecieć w powietrze – ja czułam tylko ciepło jego ciała przy swoim ciele, drżenie ud i zawroty głowy. Coś jak wtedy, w Paryżu... Myślę, że gdyby zrobił odpowiedni gest, uległabym mu tu i teraz.

Zaniepokojony moim zniknięciem tata szukał mnie wszędzie, a gdy już znalazł, machnął ręką i sam zajął się obsługiwaniem gości. Towarzyszyłam Szymonowi upojona jego muzyką (i nim samym) do zamknięcia lokalu, a gdy wychodząc, umówił się ze mną, omal nie rozplakałam się ze szczęścia. Nie spałam przez całą noc, wzdychając i przewracając się z boku na bok, zdawało mi się, że mam ze czterdzieści stopni gorączki. Z łóżka zerwałam się już przed szóstą i...

przeraziłam się na swój widok: blada twarz, wory oraz sińce pod oczami raczej nie rokowały, że Szymon się mną zachwyci. Na szczęście moja zmiana w knajpie zaczynała się od czternastej, mogłam więc jeszcze coś z tym zrobić. Najpierw poszły w ruch okłady z herbaty, potem z ogórka (a konkretnie mizerii ze słoika, bo zielonego nie miałam), potem maseczka z kurzego białka.

– Rany boskie, co ty wyczyniasz? – wykrzyknęła na mój widok Marcysia, gdy zderzyłyśmy się w drzwiach łazienki.

– Ściągam pory – odparłam. – A ty co? Zaspałaś do szkoły?

Siostra zmierzyła mnie ciekawie z góry na dół, a raczej od pasa w dół, by znów utkwic wzrok w mojej twarzy.

– Owszem. Nie mów matce, plis.

– Pory na twarzy – wyjaśniłam, widząc, że nie bardzo mnie zrozumiała. – Jasne, że nie powiem, ale...

– Co?

– Zrobisz coś dla mnie.

– Co?

– Zastąpisz mnie w knajpie od osiemnastej do zamknięcia. Oczywiście wszystkie napiwki dla ciebie.

– Niechętnie. – Marcysia się skrzywiła. – Mam swoje plany na wieczór...

– Trudno – westchnęłam. – I tak cię nie wsypię.

– ...ale cię zastąpię.

Zamierzałam ją pocałować, lecz zrobiła gwałtowny unik.

– Fuj! Idź mi z tą gębą! – prychnęła. – Powiedz lepiej, co cię tak przypiliło.

– Miłość. Miłość, siostro! – Tym razem nie zdążyła się uchylić i moje sztywniejące pod wpływem białka usta wylądowały na jej policzku.

\* \* \*

Przez kolejne dni, a nawet tygodnie uskrzydłona uczuciem prawie fruwałam nad ziemią. Świat był piękny, życie cudowne, ludzie zdecydowanie mniej wkurwiający. Szymcio był prawie tak samo romantyczny i uduchowiony jak Basile, ale zdecydowanie mniej asekualny. Co prawda ani na pierwszej, ani nawet na drugiej randce nie posunął się dalej niż do pocałunku, ale ja już nie byłam tą samą cnotką-idiotką i przy kolejnej okazji mocniej ułapiłam go wpół, przylgnęłam do niego całym ciałem i nie puściłam dotąd, aż nie wyczułam w okolicy biodra jego konkretnej reakcji na moje awanse. Musiałam przede wszystkim sprawdzić, czy i on nie jest gejem, a gdy już doszłam do wniosku, że nie, z całą premedytacją natarłam udem na jego krocze. Działo się to wszystko na parkingu służbowym za knajpą, tam się zazwyczaj zegnaliśmy, po czym wsiadałam do swojego auta i wracałam do domu. Dzisiejszego wieczoru miało być podobnie, ale sprowokowana przeze mnie sytuacja stawała się coraz bardziej rozwojowa.

– Może wejdziemy jeszcze na chwilę? – zaproponowałam.

– Ale... przecież już nikogo nie ma – odparł jak jakiś debil.

W istocie, było już grubo po dwudziestej trzeciej, a w tygodniu knajpa czynna była krócej niż w weekendy.

– Nie szkodzi, mam klucze – szepnęłam mu do ucha.

Mieszkanie tatki było na piętrze, światło się nie paliło, więc pewnie spał. Weszliśmy cicho na zaplecze, do pomieszczenia służbowego. Tam już przestałam być „stroną czynną”, by dać możliwość wykazania się aktywnością Szymonowi. On, upewniwszy się, że na pewno o „to” mi chodzi i że naprawdę „tego” chcę, wreszcie zaczął zachowywać się jak facet. Było całkiem miło, ale bez specjalnych fajerwerków, może dlatego, że... jak by to poetycko określić... odpaliły zbyt prędko.

Szymcio tak bardzo zasmakował w naszych ukradkowych schadzkach, że zaczęliśmy bywać w knajpie po jej zamknięciu niemal codziennie. Niestety, za każdym razem, gdy już zaczynałam odczuwać jakąś dziwną błogość, jemu włączał się komunikat „game over”. Tuż przed tym przez chwilę jęczał i wzdychał, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że jestem systematycznie okradana z jakichś nieznanym mi, ekscytujących doznań.

Początkowo upatrywałam przyczyn takiego stanu rzeczy w niedogodnościach panujących na zapleczu knajpy. Namówiłam tatę na zmianę umeblowania pomieszczenia służbowego i w ciągu dwóch dni ściany zostały pomalowane na różowo, cztery fotele zostały zastąpione dwoma i dużą rozkładaną sofą, na podłodze legł puszysty dywan. Wyjaśniłam mu, że nie zawsze chce mi się wracać po pracy do domu, a w tak urządzonym pomieszczeniu będę mogła śmiało zanoć. I nocowałam. Niestety, ani cyklamen na ścianach, ani łoże godne królów, ani nawet sącząca się z magnetofonu upojna muzyka nie sprawiły, że techniki miłosne Szymka stały się bardziej altruistyczne. W moje życie znów zaczęła wkradać się monotonia: dniówka w knajpie, wieczorem randka – czyli kino, potańcówka lub spacer pod rozgwieżdżonym niebem, a potem rutynowy seks, od początku do końca taki sam. To znaczy do jego końca, bo ja zawsze zostawałam na lodzie. Jakbym w koło Macieju naciskała klawisz „replay”.

Pewnego wieczoru, gdy dla odmiany postanowiłam wrócić na noc do domu, moje auto po przejechaniu kilku kilometrów zarzęziło, podskoczyło kilka razy i zgasło. Było ciemno jak cholera, a na dodatek mroźno; nic dziwnego, jak na początek grudnia. Nie pomogły ani modlitwa, ani przekleństwa, gruchot kompletnie nie reagował na kręcenie kluczykiem w stacyjce. Tak go nazwałam w złości, bo w gruncie rzeczy było to całkiem niestare i na oko bardzo piękne audi. Na zewnątrz granatowy metalik, w środku ful wypas i cuda niewidy. Dostałam je od taty, gdy zaczęłam pracować w barze, żebym miała czym dojeżdżać do roboty. Nigdy nie sprawiało problemu, teraz jednak jako niedoświadczony kierowca nie

miałam pojęcia, co robić... Bo ani powrót na piechotę, ani dalsza droga, rzecz jasna też na piechotę, nie wchodziły w rachubę.

W jakimś nadludzkiem przeblysku przypomniało mi się, że kilkaset metrów dalej powinien być wulkanizator, a nuż jeszcze czynny? Co prawda silnik to nie opona, ale wówczas nie myślałam takimi kategoriami. Okutałam się szczelniej szalikiem, włożyłam rękawiczki i niechętnie ruszyłam przed siebie. Po jakiejś pół godzinie moim oczom ukazała się sterta opon, która utwierdziła mnie w przekonaniu, że zakład w istocie zajmuje się wulkanizacją. Podeszłam bliżej i nie wierząc własnym oczom, odczytałam napis na drzwiach: „Mechanika samochodowa, wyważanie kół, wulkanizacja”. Niestety, sukces był połowiczny, ponieważ na tej samej wywieszce znajdowały się godziny otwarcia, a z nich wynikało, że odkryty przeze mnie niczym oaza na środku pustyni obiekt jest już nieczynny od dobrych trzech godzin. Wewnątrz było ciemno i głucho, więc całkiem bez sensu, pojęcia nie mając, dlaczego to robię, podeszłam bliżej i nacisnęłam na dzwonek. I chyba sam Duch Święty mnie natchnął, bo po chwili w oknie na piętrze zapaliło się światło i ktoś się z niego wychylił.

– Co tam? – spytał męski głos.

– Ja przepraszam, że tak po nocy, ale... auto mi się popsło kawałek stąd – tłumaczyłam prawie z płaczem.

Głos nic już mi nie odpowiedział, za to razem ze swoim właścicielem dość szybko zjawił się na dole. Gdy zapaliło się światło, moim oczom ukazał się ogromny kawał chłopa, bez koszuli, ubrany w robocze ogrodniczki. Jego bicepsy tu i ówdzie lśniące od smaru robiły imponujące wrażenie, silne dłonie dzierżyły mały ręczniczek, którym facet usiłował doprowadzić się do porządku. Pięknie „wyrzeźbiony” tors, prawie w ogóle niezastłonięty górą spodni, częściowo pokryty był czarnymi włosami. Twarzy nie widziałam zbyt dobrze, gdyż była w cieniu.

– Gdzie to auto? – Mężczyzna tym zwykłym pytaniem wybił mnie z transu.

– Tam. – Wskazałam ręką kierunek, gdzie powinno znajdować się moje audi.

– Proszę zaczekać, zarzucę coś na siebie i pojedziemy.

Mechanik włożył kurtkę na półgołą klatkę, odpalił swojego poloneza i zaprosił mnie do środka.

– Weźmiemy go na hol – oznajmił po oględzinach dokonanych pod maską mojego samochodu.

– Sztywny? – spytałam odruchowo.

– No co pani, na linę – odparł i zamontował co trzeba.

Bałam się jak diabli, ale udało mi się dojechać pod warsztat, a nawet jako tako zaparkować. Sytuacja była absurdalna i dennie głupia: oto utkwiałam po nocy w zupełnie nieznanym sobie miejscu, zdana na łaskę obcego gościa, bez perspektyw na rychły powrót do domu, a ja myślałam wyłącznie o tym... czy ów osiłek umiałby doprowadzić do finału sprawę, którą Szymon potrafił

z powodzeniem tylko zacząć...

Na szczęście on tak był pochłonięty robotą, że nie dostrzegął mojego łakomego wzroku. Nie chciałam tak na niego patrzeć ani myśleć w ten sposób, zwłaszcza że podobne mięśniaki zupełnie nie były w moim typie. Ale może przez to, że nie zdążył się po pracy wykąpać, rozsiewał wokół siebie jakieś kurewskie feromony? Gdy się pochylał, na jego plecach uwydlatniały się wszystkie mięśnie, gdy kuczał, pod niebieskim drelichem spodni naprężały się muskularne uda...

– Powinno być dobrze – oznajmił w którymś momencie, usiadł za kierownicą i samochód bez problemu zapalił.

– Ile... – Miałam zamiar spytać, ile płacę, i uregulować rachunek, ale wpadło mi do głowy coś innego. – To znaczy... ile będę winna? Niestety nie mam przy sobie pieniędzy, bo nie spodziewałam się żadnych wydatków, ale jutro przywiozę.

– Może wobec tego jakiś dowodzik pani zostawi, albo inny dokument – odparł, zupełnie nie reagując na trzepot moich rzęs.

Zostawiłam legitymację studencką, bo w niej miałam najładniejsze zdjęcie. Gdy przyjechałam do domu, byłam tak zmęczona, że wbrew swoim obawom zasnęłam bez najmniejszego problemu. Za to na drugi dzień od samego rana zaczęłam kombinować, jak zakończyć romans z Szymonem i zacząć z mechanikiem.

## ROZDZIAŁ IX

### Szymonek vs Damianek

Sprawa z Szymonem rozwiązała się w pewnym sensie sama. Mimo że miałam szczerą chęć zakończyć to, co się właściwie jeszcze na dobre między nami nie zaczęło, nie skakałam ze szczęścia, bo to on zerwał ze mną, a nie ja z nim. Po prostu przy najbliższej okazji wyznał, że ma dziewczynę, jest z nią już dwa lata i że nie chce mnie dłużej okłamywać. Bo ze mną... tak mu wyszło i tyle.

– Wyszło, powiadasz? Ja nie wiem, co tobie wyszło, ale gdybym się miała zastanowić, to chyba tylko gra na pianinie – podsumowałam cierpko, żeby nie poczuł się za dobrze.

Przypuszczam, że prędzej spodziewał się łez niż podobnej puenty, bo odwrócił się bez słowa i sobie poszedł. Drań! Też tak mogłam: zadać się z mięśniakiem od samochodów i nie przejmować się, że mam już kogoś. Popróbować, przetestować i wybrać sobie lepszy model... Tak czy inaczej, byłam już wolna i nic nie stało na przeszkodzie, by zarzucić sidła na mięśniaka. Nadal nie wiedziałam, jak ma na imię, choć wiedziałam już, jak wygląda z twarzy, bo gdy przyjechałam oddać mu dług, obejrzałam go sobie w dziennym świetle. Oczywiście miał niebieskie jak wrześniowe niebo, co przy ciemnej karnacji i kruczonych włosach robiło niezwykle wrażenie, a białe, równiutkie zęby i ładnie wykrojone usta idealnie dopełniały reszty, czyniąc go naprawdę przystojnym. Gdyby się nie nabawił takiej góry mięśni, mógłby być całkiem w moim typie, jednak mimo to jego wygląd napawał mnie przyjemnym niepokojem.

Znacznie mniej przyjemny niepokój budził we mnie fakt, że nie dostrzegłam żadnego zainteresowania moją osobą, miałam jednak pewien plan i nic już nie stało na przeszkodzie, bym go mogła zrealizować. Tata co prawda stwierdził, że zapłaciłam za naprawę auta jak za woły, ale ja uważałam, że z holowaniem i dodatkiem za pracę po godzinach było akurat w sam raz. Zaraz potem doszłam do wniosku, że skoro jestem w posiadaniu własnego samochodu, powinnam mieć stałego mechanika, najlepiej takiego, który raz już się sprawdził. Postanowiłam nie czekać, aż w moim audi znów coś nawali, i zająć się profilaktyką, na początek wyważeniem kół. Zwolniłam się u tatki pół godziny przed dwudziestą i popędziłam do warsztatu. Mój mechanik siedział sobie na brzegu kanału z nogami spuszczoneymi do środka i palił papierosa.

– Znowu? – zapytał na mój widok.

– Co... znowu? – wydukałam, bo poczułam się nieco zbита z tropu.

– Się popsuło?

– A, nie! Koła chciałam wyważyć. Podobno jazda na takich niewyważonych może być niebezpieczna...

– Stuka?

– Nnn...nie. – Ledwo za nim nadażałam. – Ale nie zamierzam czekać, aż zacznie, raz mi już dało popalić, i to w nocy.

Mechanik pokiwał głową ze zrozumieniem, wrzucił niedopałek do kanału i wstał.

– Teraz? – zapytał.

– Co... teraz? A, czy wywazać teraz? Jak najbardziej.

– Będzie dodatek za ekspres i za robotę po godzinach, ósma już – oznajmił i spojrzał na mnie pytająco.

– Dobra, nie ma sprawy. Ja po prostu nie mogę inaczej, pracuję do późna.

Facet zajął się robotą, a ja obserwacją faceta. Byłam jednak mocno rozczarowana, bo mimo iż wystroiłam się i umalowałam, eksponując wszystkie swoje atuty, on nie sprawiał wrażenia, że w ogóle je zauważył. Podeszłam do niego powoli, gdy skończył z pierwszym kołem, wyciągnęłam rękę i się przedstawiłam:

– Aga jestem.

Facet spojrzał na mnie, na swoją usmarowaną dłoń i nie odwzajemnił mojego gestu.

– Damian – powiedział tylko.

Wobec tego ucisnęłam jego przedramię, jak robią to mężczyźni w podobnych sytuacjach. Liczyłam na to, że poprzez fizyczny dotyk przeskoczy ze mnie na niego jakaś iskra i wznieci płomień.

– To było w porządku. – Wskazał na zrobione koło i żaden płomień nie zapłonął.

Postanowiłam stać teraz nad nim i kuć żelazo, póki... był jeszcze czas, bo zostały jeszcze trzy koła, a całe to wyważanie trwało znacznie krócej, niż mogłam przypuszczać.

– Jesteś żonaty? – spytałam.

– Nie, a bo co?

– Bo sprawiasz wrażenie, że nie interesują cię kobiety, więc pomyślałam, że jesteś zajęty.

– Kobiety mnie... e... interesują – odparł z wysiłkiem, bo właśnie odkręcał jakąś zapieczoną śrubę.

To ja chyba nie jestem kobietą – pomyślałam.

– Właśnie się wy... kurwa! Wybierałem na potańcówkę, jak przysłaś.

– Co ci się stało? – spytałam zaniepokojona.

– Nic. Ujebałem się w palec.

– Mogę iść z tobą?

Damian przerwał robotę i popatrzył na mnie zdziwiony.

– Gdzie?

– No... na tę potańcówkę? Też haruję od rana do nocy i prawie nie mam żadnych rozrywek.

– W sumie... psia jego mać pierdolona... byś mogła. – Chyba trafił na kolejną zapieczoną śrubę. – Ale byś musiała poczekać, aż się ogarnę.

– Jasne, zaczekam! – ucieszyłam się.

Po skończonej robocie Damian znów skasował mnie jak za woły, potem rzucił na nieziemsko brudny taboret w miarę czystą szmatę, kazał mi na nim usiąść i czekać.

– Poczytaj sobie, żeby ci się nie nudziło. – Wręczył mi poplamiony magazyn motoryzacyjny i poszedł.

Szczerze mówiąc, liczyłam na to, że będę mogła pójść z nim i sprawy tak się potoczą, że obejdzie się bez potańcówki. Ale trudno, i tak już szło ku lepszemu. Damian uwinął się w niecałe pół godziny. Objawił mi się odziany od stóp do głów na dzinsowo, przynajmniej z wierzchu. Miał na sobie dzinsową, podbitą białym barankiem kurtkę, dzinsowe spodnie i dzinsową czapkę z daszkiem. Spod rozchylonej kurtki wyzierał nieśmiało Michael Jackson, będący naturalistyczną ozdobą jego granatowego T-shirtu.

– Łał! – wymsknęło mi się, gdyż taka stylówka była w owych latach szczytem dobrego smaku.

Damian uśmiechnął się z zadowoleniem.

– To nawet dobrze, bo będę mógł się napić – oznajmił, a ja, przyzwyczajona już, że facet posługuje się wyłącznie monosylabami i skrótami myślowymi, usiłowałam zrozumieć, o co mu chodzi.

– Bo pojedziemy twoim i to ty poprowadzisz – dorzucił, widząc, że nie nadążam.

– Jasne! – zgodziłam się bez sprzeciwu. – Dokąd jedziemy?

– Do Bajera. To taka dyskoteka kilka kilometrów stąd, ale teraz ja siadam za kółko. I tak nie wiesz, gdzie to jest.

– Okej. – Na to też się zgodziłam i oddałam mu kluczyki.

Damian jechał jak wariat, mimo że na ulicy leżał śnieg. Nie zwalniał nawet na zakrętach, a ja wówczas kuliłam się ze strachu.

– Niezłe kopyto ma ta twoja bryka – pochwalił. – Też będę musiał sobie coś lepszego kupić...

W Bajerze było tłoczno i głośno, leciało głównie polskie techno na zmianę z utworami Ich Troje i największymi hiciorami disco polo. Jednym słowem: każdemu według potrzeb – bądź zasług – jeśli się dało didżejowi kilka złotych za puszczenie ulubionego kawałka. Niestety, nie byłam przygotowana na tego rodzaju imprezę i trochę wyróżniałam się strojem na tle wystrojonych w lateksy, błyskających gołymi brzuchami dziewczyn. Na szczęście miałam pod sweterkiem

koszulkę na ramiączkach, zdjęłam go więc w łazience, podwinęłam kilka razy spódniczkę przy pasku, zmierzwiłam włosy i ruszyłam na parkiet.

Damian ruszał się naprawdę dobrze, robiłam więc, co mogłam, żeby dotrzymać mu kroku, ale przede wszystkim, by tańczyć jak najbliżej niego. Nie było to łatwe, bo miał cholerne powodzenie i gęsto było wokół niego od lateksowych panienek, ale wypraktykowanym naprędce sposobem, czyli nieobliczalnym wyrzutom rąk we wcześniej obranym kierunku, udało mi się utrzymać pozycję do końca. Niestety, Damian ani razu ze mną nie zatańczył, nawet gdy zagrali największy przebój wieczoru do tańczenia w parze, czyli *Powiedz zespołu Ich Troje*. Wyraźnie skłaniał się ku wysokiej, chudej lasce z blond włosami w różowe pasemka. Mimo panującej zimy dziewczę było strzaskane na mahoń, co jeszcze bardziej podkreślało oczojebnym różem skąpego topu, jej chudość natomiast świetnie uwydatniały czarne lajkrowe legginsy. Tak więc ów entuzjastycznie przyjęty przez ludzi utwór Damian przetańczył w szczelnym uścisku z lalką Barbie.

Trudno – powtarzałam sobie w myśli, walcząc jednocześnie z nadruchliwymi dłońmi mojego własnego tancerza. – I tak dziś jeszcze będziesz mój...

\* \* \*

Gdy podwiozłam go pod dom, był na niezłym rauszu, ale nie całkiem pijany. Wysiadł, a ja razem z nim.

– Gdzie ja mam... gdzie mam ten cholerny klucz? – mamrotał, przeszukując kieszenie.

– Bez obawy, znajdzie się – pocieszyłam go i skwapliwie ruszyłam mu z pomocą.

– Kuźwa, nie lubię tak – gadał jakby wciąż sam do siebie.

Trochę mnie to przystopowało, bo może byłam zbyt natarczywa w poszukiwaniach, ale on rozwinął temat.

– Nie lubię, jak mnie laska podjara, a potem nici z tego i taki podjarany muszę wrócić do domu.

– O, twój klucz! – oznajmiłam, wyciągając poszukiwany przez nas oboje przedmiot z jego tylnej kieszeni. – Kto cię podjarał, jeśli można wiedzieć?

– Andżela – odparł, usiłując wetknąć klucz do dziurki. – Ona zawsze tak robi.

– Ale po co? – zdziwiłam się, bo ja na jej miejscu na pewno bym go tak nie zostawiła.

– Bo ja wiem? Może lubi. Ale ona ma faceta i nic z tego nie będzie.

– Czemu więc ten jej facet nie był razem z nią? No, chyba że był?

– Nie był, w mamrze siedzi, ale i tak ma na nią baczenie. Wejdiesz na

chwile? Muszę się z kimś napić i pogadać.

– Chętnie, ale przecież muszę jeszcze dziś prowadzić.

– Możesz zostać, jak chcesz – odparł, a w mojej duszy rozległ się śpiew skowronków.

Damian miał nad warsztatem niewielkie mieszkanie złożone z kuchni, łazienki i salonu-sypialni. Wystrój był raczej surowy i niespecjalnie gustowny, ot, kawalerskie gniazdo. Jedyнным kolorowym elementem wystroju był olbrzymi plakat na ścianie przedstawiający Britney -Spears w lśniącem od cekinów, bardzo skąpym body.

– Siadaj sobie. – Wskazał ręką na fotel, nad którym wisiał plakat.

– Wolę tu. – Usiadłam po przeciwnej stronie, by nie robić sobie konkurencji.

Ja również byłam długowłosa blondynką, ale w przeciwieństwie do Britney miałam całkiem konkretne cyc-ki, tyłek i nogi, które musiały to wszystko dźwigać.

– Jak chcesz – odparł.

Damian przyniósł pół butelki wódki, colę, dwie szklanki i sam usiadł w fotelu, nad którym wisiał plakat.

– Ja naleję – zaproponowałam. – W końcu jestem barmanką, więc umiem.

Rzeczywiście, wykonywany zawód wykształcił już we mnie bardzo konkretny sposób serwowania trunków. Całkiem odruchowo pochyliłam się najgłębiej, jak się dało, przyjmując pozę godną Wenus z Milo po rekonstrukcji rąk. Wdzięcznym gestem podałam mu zrobionego przez siebie drinka, na którym odrobinę go oszukałam. To już nie był zawodowy odruch, po prostu chciałam, by zachował jak najlepszą kondycję.

– Ej! Ty też jesteś niczego sobie! – odkrył nagle Damian, jakby dopiero teraz zobaczył mnie z bliska.

– Dzięki – odparłam, choć nie był to komplement najwyższych lotów.

Pogadaliśmy jeszcze trochę o tym i owym, ale to nieoczekiwane spostrzeżenie zaczęło coraz bardziej przeszkadzać mu w logicznym myśleniu. Zmienił mu się również tembr głosu, wzrok stał się jakby bardziej skupiony.

– Mogę papierosa? – spytałam i nie czekając na odpowiedź, podeszłam do niego, by wyjąć mu z kieszeni bluzy paczkę marlboro.

Damian złapał mnie za rękę.

– Nie mogę?

– Możesz – powiedział cicho. – I papierosa, i... o wiele więcej.

Zapałam, choć nie robiłam tego ani zbyt często, ani zbyt chętnie. Ot, czasem dla towarzystwa, ale tym razem dymek wyjątkowo mi smakował. Może dlatego, że Damian puścił moją rękę dopiero wówczas, gdy posadził mnie na swoich kolanach. Gdy nalewałam sobie kolejnego drinka, jego dłonie coraz śmieiej błądziły po moim ciele. Wychyliłam alkohol do dna, zgasłam papierosa i poddałam się biegowi wydarzeń. A gdy rozłożył wersalkę, cała reszta rozegrała

się już w pozycji horyzontalnej. Niestety, znów nie przeżyłam żadnych szczególnych uniesień. Nie mogę powiedzieć, że Damian się nie starał, dobrze całował, wiedział, czym jest gra wstępna, i dopóki byłam zdana na jego dłonie, wszystko zapowiadało się nieźle. A potem... No cóż, jeśli ktoś zna powiedzenie o klatce i ptaszku, niech sam sobie doćwierka...

Wczesnie rano, jeszcze trochę na kacu i nie do końca wyspana, błyskawicznie się umyłam, ubrałam i postanowiłam przed pracą wrócić na trochę do domu.

– Już idziesz, Aniu? – spytał Damian, przeciągając się leniwie.

– Aga mam na imię – sprostowałam. – Tak, pora na mnie najwyższa.

– Aha, bym zapomniał, olej masz w aucie do wymiany – rzucił jakby od niechcienia.

– Okej, dzięki. – Cmoknęłam go w policzek. – W takim razie wpadnę wkrótce.

– Dziś wieczorem wpadnij, silnika szkoda...

\* \* \*

Powoli zbliżały się święta Bożego Narodzenia, knajpa przeżywała prawdziwe oblężenie, bo faceci nie chcąc przeszkadzać żonom w domowych porządkach, uczynnie schodzili im z oczu. Akurat zbiegło się to w czasie z najpilniejszymi naprawami mojego auta i gdy po raz kolejny opuściłam stanowisko pracy przed dwudziestą, tatko przyjął dodatkową barmankę. Na razie na umowę-zlecenie, a jakby się sprawdziła, może i na stałe. Nie wróżyłam jej specjalnego powodzenia na dłuższą metę, bo dziewczę nie było ani zbyt urodziwe, ani zbyt kontaktowe. Ot, taka sobie szara mysza bez bioder i biustu, blada, piegowata, z białymi rzęsami i brwiami.

– Niech ona się może zacznie choć trochę malować – szepnęłam do tatki, gdy zobaczyłam ją po raz pierwszy.

– A po co? – obruszył się szeptem. – Knajpa to knajpa, nie wybieg dla modelek. Piwo musi umieć lać, kiełbasę w mikrofalce odgrzać i to wystarczy.

Nie komentowałam więcej wyglądu Zeni (bo Zenobia miało owo cudo na imię) i zajęłam się swoimi sprawami, czyli Damianem, który niemal co drugi dzień naciągał mnie na seks oraz kasę, bo moje audi wciąż czegoś potrzebowało. Niestety, na tym drugim znał się o wiele lepiej i ja wciąż nie wiedziałam, co to znaczy być kobietą spełnioną.

Dwa dni przed Wigilią wzięłam sobie wolne i zajęłam się sprzątaniem domu. Mama niespecjalnie przejmowała się takimi detalami jak kurz, niezbyt czyste szyby w oknach czy z lekka przygaszona biel firan. Marcysia, zajęta intensywnym dojrzewaniem, również nie miała do tych rzeczy głowy, ja zaś, zajęta od rana do wieczora, nie dysponowałam czasem na tyle, by dbać o porządek na bieżąco.

– Co ty tu robisz? – spytała matka, wchodząc przed południem do salonu.

Miała na sobie piżamę i szlafrok, włosy w nieładzie i na twarzy wczorajszy makijaż.

– Okno myję, nie widzisz? A ty? Nie idziesz dziś do pracy?

– Też... miałam zamiar sprzątać – odparła. – Ale dobrze, że jesteś, skoczysz po piwo, bo coś mnie głowa boli. Ciśnienie chyba spadło.

– Sama sobie skoczysz – odburknęłam, bo czasy, gdy biegałam matce po alkohol, dawno już się skończyły. – Mam mnóstwo do zrobienia, dopiero zaczęłam.

– Marcysi nie ma?

– Śpi.

– To ją obudź i niech ona skoczy...

Spojrzałam na matkę takim wzrokiem, że już nie ponowiła swojej prośby. Sama najwyraźniej nie miała odwagi prosić o przysługę młodszej córki, bo moja zbuntowana siostra z pewnością nie odpowiedziałaby jej równie subtelnie jak ja. Marcysia też już wyrosła z latania na posyłki i o wiele gwałtowniej na podobne polecenia reagowała. Chcąc nie chcąc, matka sama poszła do sklepu.

– Kupić ci też? – spytała przed wyjściem.

– Kup – odparłam po chwili namysłu. – Wypiję sobie w przerwie.

Zanim wróciła, umyłam jeszcze dwa okna, dałam do prania zdjęte z nich firanki i pościierałam kurze.

– Co tak długo? – krzyknęłam, gdy usłyszałam kroki na schodach.

– A co, tęskniłaś? – odpowiedziała pytaniem.

– Nie, ale miałam pewne obawy, że cię gdzie poniosło bezpowrotnie.

– Bo mnie poniosło – odparła matka, stawiając na stole dwa czteropak mocnego piwa. – Spotkałam w sklepie twoją babkę i pomogłam jej odnieść zakupy. Wpadnie do nas za chwilę.

– Super... – skomentowałam kwaśno. – We trzy uwiniemy się ze sprzątaniem błyskawicznie...

– Nie bądź złośliwa. Chodź, wypijemy po jednym, humor ci się poprawi.

– Właściwie czemu nie? – Wzruszyłam ramionami. – Na tym piętrze zostało mi jedynie zawieszenie firanek i odkurzenie dywanów. Ty zrobisz parter, ja jeszcze całą górę oprócz pokoju Marcysi. Bo wam też się coś od życia należy.

– A czy ja coś mówię?

Matka podsunęła mi jedno piwo i szklanekę, swoje popijała bezpośrednio z puszek. Tak lubiła po prostu.

– Powiedz mi, czemu z facetami tak jest? – spytałam, bo ten temat nurtował mnie nieustannie i nawet w czasie sprzątania ani na chwilę nie opuścił moich myśli.

Miałam nadzieję, że matka jako o wiele bardziej doświadczona w tych sprawach błysnie jakąś złotą myślą.

- Czyli?
- No... tak, jak jest.
- Taka płeć – odparła. – Słaba, smętna i generalnie do niczego. Gdybym była facetem, to też bym została pedałem jak mój brat. Nie zniosłabym ciągłego udawania supersamca, bo tacy w rzeczywistości wcale nie istnieją.
- Jeszcze ktoś by pomyślał, że jesteś do nich wrogo nastawiona. – Parsknęłam śmiechem.
- I owszem.
- Tak? Skąd więc koło ciebie taka chmara chłopów non stop? Z tej wrogości?
- To jest, moja droga, tak, że jak się nie ma, co się lubi... Albo nie, inaczej ci powiem: czasem po prostu dopiero ilość przechodzi w jakość.
- Matka odstawiła pustą puszkę i sięgnęła po kolejną.
- A co, jakiś zawód miłosny cię spotkał? – Spojrzała na mnie uważnie.
- Nie wiem. Bo ja w sumie nawet nie wiem, czego powinnam od faceta oczekiwać.
- Najlepiej niczego, bo żaden i tak ci niczego nie da.
- No więc po cholere mi facet! – Wnerwiłam się ociupinkę.
- Do łóżka co najwyżej i ewentualnie dla zaspokojenia potrzeb materialnych.
- A jak z jednego i drugiego nici?
- To trzeba poszukać innego.
- No dobra, a jak ten inny też będzie do chrzanu?
- Odpowiedź brzmi dokładnie tak samo... Kto tam? – krzyknęła matka, bo na dole dał się słyszeć jakiś ruch.
- Hipopotam – usłyszałyśmy w odpowiedzi, a potem rozległo się sapanie, fuczenie i trzeszczenie drewnianych schodów pod ciężarem czyichś kroków.
- Można by pomyśleć, że to naprawdę hipopotam, ale to była tylko babcia Kundzia.
- Przy... przyniosłam makowiec i sernik – wysapała. – Położyłam w kuchni na dole. Dam wam też sałatki, pierogów i karpia, ale któraś z was będzie musiała autem podjechać...
- A co ty tak szalejesz? – spytałam, bo babcia ostatnio już coraz mniej gotowała, nawet z okazji świąt.
- Grzesiu będzie na Wigilii, jak za starych dobrych lat.
- O? A Ilona? – zdziwiła się matka.
- Jedzie na całe święta do Jaśka, podobno dziecko mu się urodziło.
- Super! – skomentowała Marcysia, która niespodziewanie pojawiła się w drzwiach. – Najwyższa pora przestawić wnusia z butelki na zupki chińskie. Ilona jest w końcu ekspertem w tej dziedzinie.
- Nie wyzłośliwiaj się, tylko szybko zjedz śniadanie i bierz się do roboty –

zwróciłam się do niej raczej chłodno. – U siebie chociaż sprzątnij.

Marcysia odwróciła się na pięcie i wyszła.

– No widzisz, mamó? Jednak można znaleźć tego jednego jedyne i po grób – nawiązałam jeszcze do naszej rozmowy. – Babcia jest tego żywym przykładem.

– Ale że o co się rozchodzi? – Babunia nie była w temacie.

– O to, babciu, że zdaniem mamy nie ma na świecie takiego faceta, który by wystarczył kobiecie w pojedynkę.

– Głupie gadanie – prychnęła babcia. – Niektórzy po prostu nie wiedzą, że w kwestiach damsko-męskich należy myśleć sercem, a nie dupą. No, może jeszcze czasem rozumem. A Joaśka po prostu nigdy żadnego nie kochała, ot co.

– Bzdury! – uniosła się matka. – Kochałam każdego!

– Dokładnie jak twój tatuś. Ale kochać każdego czy każdą oznacza tyle, co nie kochać nikogo. Bo jak się kocha, to bezkrytycznie, do szaleństwa, poza tym jednym się świata nie widzi. A tym bardziej innych chłopów.

– Nawet jak on ci się puszcza na prawo i lewo? – nie wytrzymała matka.

– Nawet.

– A jeśli jest głupi jak but i brzydki jak noc?

– Jeśli ci się uda w takim zakochać, to jak najbardziej...

– Doprawdy? Powiedz mi wobec tego, jak pokochać drania, tchórza, nieudacznika, bawidamka oraz mu podobne wybrakowane egzemplarze? Bo ja zawsze spotykam właśnie takie.

– Coś jednak musiałaś w nich na początek zobaczyć, skoro się z nimi zadawałaś, nieprawdaż?

– Na początek i na krótko. – Matka z traskiem otworzyła kolejną puszkę.

– I ten stan należy za wszelką cenę utrzymać. Skupiać się na zaletach, ignorować wady, pamiętać tylko dobre chwile, złe jak najszybciej zapomnieć.

– I takim sposobem udaje ci się wciąż kochać ojca? – oburzyła się mama. – A to, że on nie kocha ciebie, zwisa ci i powiewa?

– Kocha mnie, kocha, tylko... nie bardzo zdaje sobie z tego sprawę. – Babcia westchnęła.

– Wiesz co? A ja chloro... chorol... chromolę taką miłość! – Mamie już zaczynał plątać się język.

Widząc, ku czemu zmierza, wróciłam do swojej roboty. Mama i babcia pokłóciły się w końcu, wyłopały wszystkie piwa i na tym się skończyło. Cały dom musiałam wysprzątać sama, łącznie z pokojem Marcysi, bo ta się gdzieś zręcznie ulotniła. Przy robocie przez cały czas towarzyszyły mi myśli związane z tamtym tematem i szło mi jakoś szybciej. A gdy już wyczerpana do cna położyłam się do łóżka, doszłam do wniosku, że tak naprawdę nigdy dotąd nie byłam zakochana. Zadurzona owszem, ale to nie była prawdziwa miłość.



## ROZDZIAŁ X

### Płomienne zorze

Nadszedł dzień Wigilii. Dzień, w którym rokrocznie wszyscy próbowaliśmy udawać zgodną, szczęśliwą rodzinę, mimo że mama już przed wieczerzą wykazywała objawy lekkiego rauszu, Marcysia jak zwykle obnosiła się z poglądem, że wszelkie świąteczne tradycje są jedynie zabobonem i ciemnogrodem, a tata wpadał dopiero na godzinę przed wigilią z żywą choinką, którą należało błyskawicznie ubrać. Każdy z nas miał jednak na tyle wypraktykowane odruchy, że gdy w końcu zasiedliśmy do stołu, na naszych twarzach gościł tylko i wyłącznie serdeczny uśmiech, rozmowy toczyły się spokojnym, uroczystym tonem, a życzenia, które sobie składaliśmy, nawet jeśli nie były szczerze, cechowała niezwykła, hm... poetyka, że tak powiem.

Po kolacji spotykaliśmy się z resztą rodziny: babcią Kundzią, babcią Hanią (mamą tatki), dziadkiem, Gogusiem i Rafaelą. Tym razem u nas, bo co roku zbieraliśmy się w innym domu, przy innym stole. Był to naprawdę niezwykły skład, ponieważ na co dzień tata nie rozmawiał z mamą (wiadomo), babcia Kundzia z babcią Hanią (poszło o rodziców), dziadek z Rafaelą (bo nie lubił dziewczyn z siusiakami), Marcysia z dziadkiem (bo odmówił jej kasy na skuter) i chyba tylko ja nie byłam z nikim poważnie zwaśniona. W tym jednym jedynym dniu nie było jednak obawy, że ktoś się z kimś pokłóci. Radzono sobie inaczej.

– Życzę ci, synku, żebyś wreszcie znalazł porządną kobietę, wierną, niepijącą, pracowitą – zaczęła babcia Hania przy składaniu tacie życzeń.

– A ja ci życzę, zięciu – babcia Kundzia nie pozostała jej dłużna – żebyś może w końcu trochę zmężniał i przestał łysieć, całą resztę możesz sobie kupić, jak zechcesz.

Marcysia parsknęła niekontrolowanym śmiechem i dla odwrócenia uwagi wpakowała sobie w usta kawał sernika.

– Wobec tego i ty przyjmij, droga teściowo, moje najlepsze życzenia. – Tatko ułamał kawałek opłatka babci. – Oby w końcu medycyna wynalazła skuteczny lek na odchudzanie. I na zmarszczki może jeszcze, bo jak się chudnie, to się marszczy...

Babcia przełknęła życzenia taty i podeszła do babci Hani.

– Gratuluję synka. – Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Cała mamusia, w związku z tym tobie życzę tego samego, co i jemu.

– A ja tobie tego, czego on ci życzył. – Moja druga babcia uśmiechnęła się serdecznie.

– Pozwolę sobie zauważyć... – Dziadek wepchnął się pomiędzy nie – ...że obu wam najzwyczajniej chłopu brakuje, więc drogie panie, każdej według potrzeb, bo w zasługi nie wątpię!

Wujek Goguś życzył wszystkim po kolei zdrowia, szczęścia i pieniędzy, a Rafaela jak papuga powtarzała po nim. Marcysia weszła na krzesło i oznajmiła, że życzy wszystkim, abyśmy wyszli cało z końca świata, który nadejdzie niebawem, i to było tyle z jej strony. Ja postanowiłam poczekać na koniec i wysłuchawszy każdego po kolei, podobnie jak Marcysia załatwiłam sprawę hurtem.

– Aby się spełniły wszystkie wasze życzenia... – zaczęłam, ale Marcysia pociągnęła mnie za łokieć.

– Zgłupiałaś? – syknęła mi do ucha.

– No tak – przyznałam jej rację. – No więc... więc... może zamiast tego... Dużo zdrowia! Bo zdrowie jest najważniejsze.

Nie było to może zbyt oryginalne, ale na pewno najbezpieczniejsze. Jeśli chodzi o mnie, już od kilku lat z rzędu życzone mi głównie rychłego zamążpójścia i gromadki dzieci. Potem wręczyliśmy sobie prezenty, nastąpiło gremialne rozpakowywanie i obowiązkowe zachwyty, przy czym ten, który dałam mamie, okazał się najbardziej nieszczęsnym podarkiem, jaki do tej pory w życiu jej dałam.

– Zbieramy się, córka – szepnęła tata i wyjął mi z rąk czerwony koronkowy pas do pończoch, prezent od babci Kundzi.

Ponadto otrzymałam: słoik miodu, czapkę i szalik, perfumy, jeszcze jedne perfumy oraz *Kamasutrę*. Bo prezenty gwiazdkowe były u nas raczej symboliczne.

– Bawcie się dobrze, na nas już pora – oznajmiłam, wstając od stołu. – Idziesz z nami, Marcysia?

– Nie, dzięki. Posłucham płyty. – Siostra machnęła mi przed nosem prezentem ode mnie.

Od czasu, gdy tatko otworzył knajpę, dzień Wigilii był dla nas dniem pracy, z tym że zaczynaliśmy dopiero o dwudziestej pierwszej, a kończyliśmy nad ranem. Była to tak zwana „pasterka”, na którą tłumnie przychodzili młodzi ludzie, tu się zbierali przed wyjściem na prawdziwą pasterkę, na którą w końcu szli bardzo nieliczni, by po nabożeństwie znów dołączyć do kompanii. Ale cóż, klient nasz pan – takie było zapotrzebowanie, więc my ku niemu frontem. Niechętnie wychodziłam z domu w taki dzień, ale trzeba było pomóc ojcu, bo ruch był duży, a jego nowa pracownica niezbyt ogarnięta.

– Po co ty właściwie trzymasz tę Zenię? – spytałam po drodze. – Przecież to leń patentowany i to z dwiema lewymi rękami.

– Nie leń, tylko niedoświadczona jest jeszcze. – Tatko stanął w jej obronie. – Przyuczy się i będzie dobrze.

– Skoro tak mówisz... – westchnęłam, bo nie chciałam robić mu przykrości.

Gdy przyjechaliśmy na miejsce, Zenia już była, co mnie trochę zaskoczyło. Chodziła między stolikami i układała na nich gałązki jedliny. Powoli i dokładnie. Powiedziałabym nawet, że bardzo powoli i bardzo dokładnie.

– Dekoruję – oznajmiła na nasz widok.

– Dobrze robisz – pochwalił ją tata. – Załączyłaś warnik? Wyjęłaś garmazerkę z lodówek?

– Nie miałam czasu, bo dekoruję – oznajmiła dziewczyna. – Niech Aga to zrobi, bo stoi beczynnienie.

Coś we mnie zabulgotało ze złości, ale nie skomentowałam. W końcu była Wigilia i trzeba było być miłym dla każdego. Szybko przebrałam się w służbową sukienkę, na nią narzuciłam biały płócienny chałat i wzięłam się do roboty. Zdążyłam poukładać w gablocie śledzie oraz kilka gatunków innych ryb przyrządzonych na różne sposoby, zagotować wodę w warniku, wyczarować kilka litrów barszczyku z torebek, odgrzać w mikrofali pierogi oraz uszka, pokroić chleb i rzucić fartuch, gdy zjawili się pierwsi goście. Zenia w tym czasie udekorowała połowę stołów.

– Daj, ja skończę. – Podeszłam do niej, bo zaczęło brakować miejsc przy tych już umajonych. – Zbierz zamówienia, zaraz ci pomogę.

Uwinęłam się w trzy minuty i ruszyłam obsługiwać klientów. Postanowiłam robić swoje i nie zawracać sobie Zenią głowy, w końcu był to problem ojca, bo to nie ja jej płaciłam. Tatko nalewał piwo, a ja miotałam się po sali, roznosząc zamówienia. Gości wciąż przybywało.

– Przydałaby się Marcysia – krzyknęłam do ojca w drodze do kuchni.

– Damy radę. – Tatko puścił do mnie oko. – Już prawie wszyscy zostali obsłużeni, Zenia się zajmie uzupełnianiem garmazerk, ty salą, ja barem, za chwilę połowa wyjdzie do kościoła, to złapiemy odrobinę oddechu.

Niestety, zamiast oddechu złapałam bezdech i to na dłuższą chwilę. Od jakiegoś czasu wydzwaniała mi w kieszeni komórka i w końcu postanowiłam ją odebrać.

– Czego? – rzuciłam do słuchawki, bo to była moja siostra, z jakąś bzdurą, jak sądziłam.

– Dom się pali – oznajmiła. – Dym z dołu leci taki czarny i nie wiem, co mam robić.

– Byłaś tam?! – wrzasnęłam do słuchawki.

– Nie...

– To kurde leć i zobacz, ja czekam przy telefonie!

Usłyszałam, jak Marcysia zbiega ze schodów, potem jak kaszle i klnie w żywy kamień.

– I co?!

– Rany boskie! Pali się fotel i dywan, a matka sobie śpi!

- W fotelu?
- Nie, na wersalce. O, i zasłony się zajęły!
- Obudź ją prędko i wyprowadź stamtąd – zarządziłam. – Potem zadzwoń po straż i wiejcie. Zaraz tam będę.
- Nie widzę jej... A, czekaj, chyba spęzła na podłogę...
- Marcysia, weź się ogarnij, bo zaraz będzie za późno! I jak już będziecie na dole, to zastukaj do Gogusia, oni pewnie o niczym nie wiedzą...
- Nie ma go, pojechali dokądś z Rafaelą. – Marcysia rzuciła szybko do słuchawki i się rozłączyła.

Zarzuciłam na siebie kurtkę i kozaki, krzyknęłam do ojca, że jadę do domu, bo coś się tam złego stało, i pognałam do samochodu. Gdy przyjechałam na miejsce, hajcowało się już na dobre, strażacy uwijali się z gaszeniem, mama wisiała na torsie ratownika medycznego (bo przyjechało również pogotowie) i rozprawiała o czymś teatralnie płaczliwym głosem.

- Sobie... pan wyobrażaaa? – zawodziła. – Moja własna córka. Przez nią ten ogień, i... i... się... w pale nie mieści po prostuuuu...
- Córka spowodowała pożar? – spytał ratownik.
- Tak – chlipnęła matka i jeszcze mocniej przyłgnęła do jego piersi.
- Co ty mówisz? – spytałam, podchodząc bliżej, bo jeszcze nie załapałam, że to mnie obwinia. – Marcysia coś podpaliła?
- Jaka... Marcysia... Ty! Ty podpaliłaś. – Wycelowała we mnie palcem. – Za pomocą tej głupiej... świesz... świeszczki...

Była kompletnie pijana, ale mimo wszystko w lot pojęłam, co tu się stało. Z pewnością zapaliła ozdobną świeczkę, którą dostała ode mnie pod choinkę, urznęła się i zasnęła.

- No nie! – krzyknęłam i kompletnie już się nie hamując, wystartowałam do niej z rękami. – I ty masz czelność opowiadać takie brednie? Właśnie nas pozbawiłaś dachu nad głową...

W tym momencie przyjechał tata i używając całej swojej siły, odciągnął mnie od niej.

- Gdzie Marcysia? – spytał trzeźwo.
  - Gdzie Marcysia?! – krzyknęłam do matki i zanim tata zareagował, zdążyłam nią porządnie potrząsnąć.
  - Poszła po... królika? – Coś jakby jej nagle zaświtało.
- Zrobiło mi się słabo. Marcysia miała królika miniaturkę, gdyby faktycznie po niego wróciła, mogła nie zdążyć uciec...

– Jeśli coś jej się stało, tobie też się stanie – warknęłam i ruszyłam w stronę dymiących zgliszcz.

- Chodzi pani o siostrę? – spytał oswobodzony przeze mnie z objęć matki ratownik. – Jest w karetce, ma robiony opatrunek.

Podbiegłam do karetki i zajrzałam do środka. Marcysia siedziała wewnątrz z zabandażowaną ręką, w drugiej trzymała klatkę z królikiem. Całym i zdrowym.

– Przerąbane, co nie? – spytała ze łzami w oczach.

– No. Ale najważniejsze, że wszyscy żyjemy – odparłam, bo kamień spadł mi z serca.

Strażacy dogasili pożar, zwinęli sprzęt i odjechali. Nie było nam dane spać tej nocy, trzeba było zabrać z domu to, co ocalało, i przewieźć w jakieś inne miejsce. Okna na pierwszym piętrze nie miały szyb, więc ktoś mógł przez nie wejść i wynieść wszystko, co się nie spaliło lub nie zostało zniszczone przez wodę. W sumie ocalał tylko najwyższy poziom i dół, czyli mieszkanie Gogusia. Upchnęłam matkę na tylnym siedzeniu mojego auta, żeby nie przeszkadzała, i zabraliśmy się do roboty. Pracowaliśmy do piątej nad ranem, wynosząc co się dało do mojego i tatki samochodu. Kończyliśmy już, gdy napatoczył się Goguś z Rafaelą.

– O mój Boże! Co się tu stało? – zapytał i zbladł jak ściana.

– Nie widzisz? Pożar był – odpowiedział mu ojciec. – Zobacz, jak tam u was wygląda.

Goguś ruszył w stronę swojego mieszkania, za nim pochlipująca Rafaela oraz my. Okazało się, że oprócz niewielkich zacieków na sufitach wszystko było w porządku.

– No to wy macie gdzie mieszkać – powiedziałam. – W przeciwieństwie do nas...

– Góra też się kupy trzyma – powiedziała Marcysia.

– Ale schody się mogą w każdej chwili zawalić, są nadpalone. – Tata uprzedził lęgnącą się w jej głowie myśl o pozostaniu u siebie. – Wy pojedziecie do babci Kundzi, ja wracam do siebie.

– A nie mogłybyśmy z tobą? Jakoś byśmy się pomieściły... – przynudzała Marcysia.

– Nie – uciął krótko tata. – Aga, zabieraj siostrę i jedźcie, nie spałyście przez całą noc. Zjedzcie u babci coś ciepłego, łyknijcie profilaktycznie po aspirynie i do łóżek.

– Albo może... zamieszkacie z nami? – zaproponowała wielkodusznie Rafaela.

– Ciekawe gdzie – skomentował tata. – Nie, no nie ma co tracić czasu na głupie gadanie. Zbierajcie się, dziewczyny, bo i ja już ledwo na nogach stoję. Poza tym muszę sprawdzić, jak sobie Zenia poradziła.

– No tak, w końcu została sama... Miejmy nadzieję, że chociaż knajpa stoi, jak stała – mruknęłam pod nosem, ale tata usłyszał.

– Tfu! Na psa urok. – Splunął i w szybkim tempie ruszył w stronę swojego auta.

Po jego odjeździe zaczął się kolejny cyrk: Marcysia się uparła, że zostaje, i nie pomogły prośby ani groźby. Dałam sobie spokój dopiero wówczas, gdy przyrzekła, że nie będzie wchodziła do siebie, i gdy Goguś uroczyście przysiągł, że jej dopilnuje. Zaś w połowie drogi do babci obudziła się matka i wrzeszcząc wniebogłosy, kazała mi zatrzymać auto.

– Gdzie... gdzie ty mnie wiesziesz? I dlaczego? – Spojrzała mętным wzrokiem za okno.

– A co, nie pamiętasz? – spytałam, zjeżdżając na pobocze.

Milczała przez dłuższą chwilę, pewnie zastanawiając się, o co chodzi.

– Pa... pamiętam. Dom spaliłaś i nic już nie ma... tylko siwy dym i swąd okrutny – odparła dramatycznym głosem.

Zatrzęsło mną tak, że musiałam wysiąść z auta, bobym sobie pewnie zęby o kierownicę wybiła. Podeszłam do tylnych drzwi, otworzyłam, wywlokłam matkę na zewnątrz, a potem nabrałam w dłonie śniegu i wtarłam go jej w twarz.

– Otrzeźwiej w końcu, głupia pindo, jeśli nie chcesz, żebym cię tu zostawiła! – krzyknęłam, nie bacząc, że mówię do rodzonej matki. – Ja spaliłam? Ja się ululałam przy zapalonej świecy pijana jak świnia?

– Trzeba mi było jej nie dawać – parsknęła mi w twarz śniegiem i odorem alkoholu.

Zatkało mnie. Zamurowało totalnie. Gdyby nie to, pewnie bym jej w końcu przyląła.

– Trzeba było nie chlać – odparłam, hamując się ze wszystkich sił. – Wsiadaj, jedziemy.

– Dokąd?

– Do twojej matki. Tata już do niej dzwonił, wie, co się stało, i przygotowała dla nas pokoje.

– Ale beze mnie. Proszę natychmiast zawrócić! – zażądała stanowczo.

– Oszalałaś? Chyba że też się zamierzasz wbić do Gogusia jak moja siostra, bo nie wiem, czy pamiętasz, ale twoje mieszkanie już zupełnie nie istnieje.

– Mam jeszcze przyjaciół. Do Fitzów mnie zawieź.

– Jak sobie życzysz. – Wepchnęłam ją z powrotem do auta, zatrzasnęłam drzwi i usiadłam za kierownicą.

Dopiero teraz, gdy przerażenie i emocje zaczynały mnie opuszczać, poczułam, jak bardzo jestem przemarznięta, zmęczona i głodna. Nie zamierzałam dłużej użerać się z matką, zapaliłam silnik i ruszyłam. Nie odezwałam się już ani słowem, ale gdy byliśmy już na miejscu, nie darowałam sobie komentarza:

– Na pewno się Fitzowie ucieszą...

Jak tylko wysiadła, zawróciłam i popędziłam z powrotem. Nie spojrzałam nawet w lusterko wsteczne na wypadek, gdyby Fitzowie jednak się nie ucieszyli...

\* \* \*

Dom w dwóch trzecich nadawał się do gruntownego remontu. Zaczęliśmy radzić nad środkami na ten cel, opcje były różne, ale taty chyba najrozsądniejsza. Zaproponował, że sfinansuje, co trzeba, pod warunkiem że matka połowę domu zapisze mnie i Marcysi, bo dotąd figurowała jako jego właścicielka (z Gogusiem na stanie, który miał prawo zamieszkiwać w nim dożywotnio). Tatko chciał, żebyśmy mogły współdecydować o nieruchomości na wypadek, gdyby matka zamierzała wziąć na przykład kredyt pod hipotekę albo po prostu sprzedać go i przepić.

Na dobre czasy prywatnego biznesu zaczął padać cień: była coraz większa konkurencja, wzrastało bezrobocie, ludzie biednieli i trzeba było naprawdę solidnie się nagimnastykować, by utrzymać się na powierzchni. Zwłaszcza że sektor prywatny w naszym kraju zaczął się jako tako systematyzować i coraz mniej można było sobie pozwolić na własną kreatywność. Knajpa tatki jeszcze całkiem nieźle prosperowała, mimo iż wokół powstawały eleganckie lokale i stylowe restauracje. A może właśnie dlatego, bowiem nasi dotychczasowi klienci niekoniecznie lgnęli do luksusu. Hurtownie też nadal miały powodzenie, ale zmiana relacji cenowych na rynku spowodowała, że nie było już tak różowo.

Najbardziej ucierpiał salon matki, bo ten wymagał ciągłego dotrzymywania kroku postępowi technicznemu, fotograficznym modom i kreowanym przez nie, wciąż zmieniającym się gustom klientów. Matka miała jednak to wszystko w nosie, gdyż uważała się za wielką artystkę w swoim fachu, co jej zdaniem samo w sobie powinno wystarczyć, by klienci walili do niej drzwiami i oknami. Niestety, ci nagle upodobali sobie zdjęcia na tle styropianowej repliki kominka, którym dysponowała konkurencja, panny młode zaczęły gustować w fotografiach z leżącym u ich stóp małżonkiem, dzieci natomiast gdzie indziej mogły do woli wybierać w rekwizytach typu miecze, pióropusze czy nawet karabiny. Matka szczerze gardziła taką wiochą i z uporem muła tkwiła przy swoich własnych wizjach, wskutek czego robiono sobie u niej już tylko zdjęcia legitymacyjne. Tak więc groźba, że wkrótce nie będzie miała z czego żyć, była całkiem realna, a co za tym idzie, realne były obawy tatki o jej tak zwany majątek nieruchomy. Mama jednak o przepisaniu na nas połowy domu nawet nie chciała słyszeć, zaparła się, że sama poradzi sobie z remontem, i wara nam wszystkim od tego.

Mijał tydzień za tygodniem, a jakichkolwiek prac remontowych nie było widać. Przeciwnie: działo się coraz gorzej, nadchodziła wiosna, a z nią ulewy, burze i wichury, co powodowało dalsze niszczenie budynku. Gdy Fitzowie w końcu dali matce do zrozumienia, że może powinna znaleźć sobie inne lokum, zaświtała nadzieja, że zmuszona koniecznością zajmie się odbudową zniszczonej kondygnacji, ale ona po prostu wzorem ojca przeniosła się na zaplecze swojego zakładu. Przez pewien czas nie mieliśmy z nią żadnego kontaktu, gdyż o niego nie zabiegała, a na próby rozmowy podejmowane z naszej strony reagowała otwartą

agresją. Pewnie miała żal (już nie tylko do mnie, ale do nas wszystkich) o sytuację, w jakiej się znalazła, bo mama zawsze umiała zrzucić każdą swoją winę na otoczenie.

Stanowisko tatki było jasne: wyłoży kasę na remont w zamian za połowę domu dla córek. Finał sprawy był taki, że matka dom sprzedała w takim stanie, w jakim był. Niestety, Gogusia nikt nie chciał razem z domem nabyć, więc chcąc jakoś tę sytuację rozwiązać, musiała i jemu zapewnić nowe lokum. O ile ten dom, usytuowany w doskonałym miejscu, z wielgaśnym ogrodem i dwoma garażami, był przed pożarem wart naprawdę duże pieniądze, teraz starczyło ich jedynie na zakup dwóch byle jakich kawalerek w dość nieciekawych okolicach. Tak czy inaczej, matka postawiła na swoim, bo przecież tylko o to jej chodziło. Chcąc nie chcąc, Marcysia musiała w końcu również zamieszkać u babci Kundzi, bo przecież nie mogła się wprowadzić razem z Gogusiem i Rafaelą do maleńkiej kawalerki.

– A wiesz, że nawet bym chciała? – poinformowała mnie, gdy wpadła któregoś wieczoru, by zobaczyć, gdzie babcia zamierza ją zainstalować.

– Oszalałaś? – zgorszyłam się.

– Nie, i właśnie dlatego jestem tutaj. Bo oni mi to zaproponowali, wiesz?

– Żebyś z nimi zamieszkała?

– No. Ty sobie nawet nie zdajesz sprawy, jacy geje są sympatyczni... Mili, uczynni i w ogóle. Czulałam się z nimi jak w prawdziwej rodzinie. Prawdziwej, rozumiesz, nie takiej jak nasza...

– Myślę, że potrafię to sobie wyobrazić – odparłam, bo mimo swoich dziwactw Goguś i jego „partnerka” byli naprawdę dobrymi, empatycznymi ludźmi.

– Ej, ale ja mam jeszcze jedną sprawę. – Marcysia nagle sobie jakby o czymś przypomniała. – Wiesz, że już nigdy nie będziemy mogły tam wejść?

– Gdzie? – Nie złapałam, o co jej chodzi.

– No... do tego domu. Do tej piwnicy znaczy. Jest ostatnia okazja.

– A dajże ty mi spokój. – Wzruszyłam ramionami. – Idź sama, jak chcesz. Albo z Gogusiem i Rafaelą, już tam raz ze mną byli.

– Wiem, opowiadali mi, i właśnie dlatego zamierzam tam pójść.

– To idź.

– Ale nie w pojedynkę, a oni już nie chcą. Rafaela na samo wspomnienie zaczęła piszczeć ze strachu.

– Weź więc z sobą kogoś ze swojego „metalowego” towarzystwa.

– W życiu! Ja tam nie chcę żadnego cyrku, chcę tylko zobaczyć, co tam jest. Więc? Idziesz?

– Nie – odparłam już mniej zdecydowanie, co Marcysia bezbłędnie wyczuła.

– Super. Jutro niedziela, a to najlepszy dzień na eksplorację, spokój, czas i te rzeczy... W takim razie widzimy się rano, okej? Przywiozę tu trochę swoich manatków, a potem porywam cię z sobą. Sprzęt sama skombinuję.

- Jaki sprzęt? – Spojrzałam na nią podejrzliwie.
  - Niezbędny.
  - A, no chyba że tak – potwierdziłam, nie wnikając w szczegóły.
- \* \* \*

Pojęcia nie mam, jak Marcysi udało się jednak nakłonić Gogusia i Rafaelę na tę idiotyczną eskapadę, ale gdy przyjechałyśmy na miejsce, obaj czekali już na nas, ubrani w drelichowe kombinezony, na głowach mieli górnicze kaski z latarkami, ponadto Goguś uzbrojony był w kilof, a Rafaela w łopatę. O mało nie wybuchłam śmiechem i pewnie bym to zrobiła, gdyby w tym momencie do ich mieszkania nie wszedł ksiądz z krzyżem w jednej dłoni i kropidłem w drugiej. To mnie nieco otrzeźwiło.

– Ej, ileż można czekać, miałeś już tu być! – Marcysia pociągnęła go za rękaw sutanny, wskutek czego ten o mało się nie wywrócił.

– Sorry, kurewskie korki były na mieście – odpowiedział ksiądz i jakby na dowód swoich trudów otarł stulą spocone czoło.

– On nie jest prawdziwy – wyjaśniła siostra, widząc moje zbaranienie. – Prawdziwy nie chciał przyjść, a ponieważ Antek ma na własność taką księżą kapotę, poprosiłam go. Duch się przecież nie kapnie...

– Antek – Chłopak przedstawił się ogółowi.

– Ojej, ale czad! – zachwyciła się Rafaela. – Gdzie coś takiego można kupić?

– Na Allegro. Ale mogę ci pożyczyć czasem – zaproponował. – Robi wrażenie na imprezach.

– Zwariowałaś? – Goguś zgromił swoją „dziewczynę”, a Antek przyjrzał się jej uważniej.

– Kurczę, myślałem, że jesteś facetem – bąknął zmieszany.

– Nic nie szkodzi. Ja też tak kiedyś myślałam – odparła Rafaela.

– Dobra, dość tych pierdół, idziemy! – zdecydowała Marcysia podniesionym głosem. – Ty będziesz niosła wodę święconą. Prawdziwa jest.

Wręczyła mi małe plastikowe wiaderko, sama zaś ustawiła się na czele ekspedycji. Gęsiego ruszyliśmy w stronę korytarzyka prowadzącego do pralni i owych tajemniczych pomieszczeń, znajdujących się za metalowymi drzwiami. Światło działało bez zarzutu w korytarzyku i w pierwszym z pomieszczeń, mimo to Marcysia zażądała, by Goguś z Rafaelą zapalili latarki.

– Zostawmy może te drzwi otwarte na oścież – szepnęła Rafaela i zadbawszy o ewentualną drogę ucieczki, podparła je kijem od mopa.

Ale gdy tylko przekroczyliśmy próg drugiej komórki, drzwi zatrzęsły się z hukiem, łamiąc kij jak zapałkę. Rafaela krzyknęła.

– Cicho bądź – syknęła Marcysia. – Cokolwiek by się działo, macie zachować spokój!

Posuwaliśmy się zatem w ciszy, nie odstępowałam na krok „księdza”, gdyż moje wiaderko i jego kropidło stanowiły nieodłączny komplet. To pomieszczenie, choć najprawdopodobniej nie ono stanowiło najstraszniejsze miejsce w domu, już zaczynało nas napawać jakimś irracjonalnym niepokojem. O ile można było sobie jakoś wytłumaczyć panującą w nim o wiele niższą temperaturę, trudno było zrozumieć, skąd nagle pojawiło się uczucie jakby napięcia elektrycznego przebiegającego po skórze.

– Iskrzę! – oznajmił Goguś dramatycznym szeptem. – Wy też?

– Kurde! A ja niosę żelazny krzyż! – spietrał się „ksiądz”.

– Żelazny krzyż dostaniesz może za zasługi, o ile nie zwiejesz – skomentowała Marcysia.

– Wolałbym flaszkę...

– Dam ci drugą, ale nie puszczaj tego krzyża, choćby nie wiem co – miauknął Goguś. – I w ogóle, może weź i trochę pokrop!

Podsunęłam Antkowi wiaderko. Chłopak drżącą dłonią zanurzył w nim kropidło i ochlapał wodą wszystko wokoło. Postanowiłam przejąć inicjatywę.

– Masz, trzymaj to wiadro, tak będzie prościej. – Wetknęłam mu w dłoń naczynie i odebrałam krzyż, który wręczyłam Gogusiowi.

Odebrałam mu kilof i tak uzbrojona wysunęłam się naprzód. Pamiętałam, że ostatnie drzwi nie otwierały się łatwo, więc nawet nie próbowałam szarpać się z klamką. Próg ledwo się kupy trzymał, więc bez trudu się go pozbyłam i zaczęłam podważać je kilofem od spodu. Udało się. Drzwi się nie tyle otworzyły, co z hukiem wpadły do środka, odsłaniając czarną prostokątną czeluść.

– Te się przynajmniej same nie zamkną – stwierdziłam półgłosem.

Zrobiłam krok do przodu, usiłując nie potknąć się o leżące drzwi, i zaczęłam ostrożnie obmacywać ścianę przy framudze w poszukiwaniu wyłącznika prądu. Znalazłam, nacisnęłam i z głębokiego mroku zrobił się półmrok.

– Chodźcie tu z tymi latarkami. – Odwróciłam się za siebie, ale tam... oprócz Marcysi nikogo już nie było.

– No i pięknie! – wkurzyłam się. – Gdzie masz tę swoją brygadę „A”?

Siostra dopiero teraz się zorientowała, że wszyscy inni zwiali, i pobiegła z powrotem. Wróciła po chwili sama, ale za to z dwoma latarkami na kaskach. Włożyłam jeden z nich na głowę, Marcysia swój niosła w ręce, przyświecając tu i ówdzie. W komórce panował nieprzyjemny zapach stęchlizny i czegoś jeszcze, jakby zepsutego jaja czy starego spleśniałego sera.

– Ale capi – stwierdziła moja siostra. – Na mój nos tu na pewno jest trup...

– Wąchałaś kiedyś trupa? – spytałam cynicznie.

– Nie, ale gdzieś czytałam, że tak właśnie śmierdzi. Jak zapleśniałe gówno.

– Mnie to niestety nadal nic nie mówi, gdyż nie spotkałam się dotąd ani z jednym, ani z drugim...

– Nie wymądrzaj się, Aga, tylko poświeć w tamten kąt. Tam coś jest i jakby jeszcze bardziej śmierdzi.

– Sama sobie poświeć. Ty masz latarkę w ręce, a ja na głowie, więc ja świecę ogólnie.

Marcysia skierowała strumień światła w kąt pomieszczenia i naszym oczom ukazał się niezbyt duży, okrągły piec na trzech nogach, zwany chyba kiedyś „kozą”.

– Po cholere im tu było takie ustrojstwo? – zdziwiła się Marcysia.

– Może jakieś dziedzictwo rodzinne, nie wyrzucili, bo mieli do niego sentyment...

– Toby nie był używany, tylko by sobie stał, jak na zabytek przystało. A to – to jest podłączone do komina, spójrz na tę rurę, która idzie do ściany – skonkludowała dość logicznie. – I popiół jest w popielniku...

Podeszłam bliżej i za pomocą kilofa uchyliłam szerzej drzwiczki. Fakt, piec był ewidentnie używany.

– Podejrzane – skwitowała Marcysia i otworzyła drzwiczki do paleniska. – Daj no tego kilofa...

Otrzymanym ode mnie narzędziem wygarnęła z niego jakieś resztki i zaczęła im się bacznie przyglądać.

– Kurczaki tutaj piekli, czy co? – spytała, unosząc w górę nadpaloną kość, potem drugą i trzecią...

– Chcę to zobaczyć. – Kucnęłam obok niej, zdjęłam z głowy kask i również poświeciłam w to miejsce.

– To nie jest... Kurwa! To nie jest żaden kurczak! – Wskazałam na coś, co na pierwszy rzut oka mogło wyglądać jak upieczony w popiele ziemniak.

W panice odskoczyłam w tył i wywróciłam się, gdyż zaczęłam o coś wystającego z podłogi, a ściślej mówiąc, z klepiska. Marcysia przyjrzała się temu czemuś uważniej i dostrzegła to, co ja przed momentem: to nie był żaden ziemniak, to była... mała ludzka czaszka!

– Ożeż w mordę! – wykrzyknęła nieco bardziej cenzuralnie niż ja. – A nie mówiłam, że trup?

– Trupek raczej – odparłam, usiłując wstać z tego, na czym siedziałam.

Niestety potknęłam się raz jeszcze, coś chrupnęło pod moimi nogami i fetor, do którego już nieco przywykłyśmy, buchnął ze zwielokrotnionym natężeniem. Treść żołądka podeszła mi do gardła i z wielkim trudem się opanowałam, by nie rzucić pawia.

– Więcej... trupów? – jęknęła Marcysia, zasłaniając dłonią nos i usta.

Pomogła mi wstać i wówczas obie, z pewnego oddalenia, poświeciłyśmy w to miejsce. Zobaczyłyśmy popękana na skutek mojego upadku plastikową przykrywkę czegoś, co w pozostałej części było zakopane w ziemi. Sądząc

z kształtu, była to najprawdopodobniej beczka.

– Ej, trzeba byłoby tam może zajrzeć – zaproponowała Marcysia z nikłym przekonaniem w głosie.

– Nie ma po co, i tak wiadomo, co tam jest – odparłam i powoli ruszyłam ku wyjściu, pociągając ją za sobą. – Chodźmy stąd, pogadamy na zewnątrz, bo ja tu nie wytrzymam już ani sekundy.

Wypadłyśmy na dwór niemal jednocześnie, chciwie łapiąc do płuc normalne powietrze.

– Co to... do kurwy nędzy, jest... – wysapała Marcysia.

– Dzieci – odparłam cicho, jakby bojąc się usłyszeć swoją własną odpowiedź. – Zwłoki dzieci, a ściślej mówiąc płodów, jak sądzę... Nasza pani ginekolog dokonywała tu prawdopodobnie nielegalnych aborcji.

– Aborcji?! Morderstw raczej, bo sądząc z tych spopielonych kostek, musiały to być już całkiem dobrze ukształtowane dzieci – wyrzuciła z siebie Marcysia. – Jak tak można, co? Zabić, spalić... małego człowieka, jakby nie było... To dlatego... te płonące drzwi... nie sądzisz? Znak, że one tam płonęły, jak... jak w krematorium jakimś...

Po jej policzkach pociekły łzy.

– Nie wiem. Nie wiem, siostra. – Utuliłam ją w ramionach i sama o mało co się nie rozbeczałam.

Przypomniało mi się teraz, z jaką gorliwością państwo Gogolowie vel Gogolewscy dopytywali mnie o zmiany, jakie poczyniliśmy w naszym nowym domu. Bo to był przecież kiedyś ich dom i dobrze wiedzieli, co mogliśmy odkryć, porządkując piwnice. Przestałam się w tym jednym momencie dziwić dystansowi, z jakim mnie traktowali, oraz ich niechęci do moich kontaktów z Basile'em...

– Co robimy? Idziemy na policję? – spytała Marcysia.

– Nie, zostawmy to nowym właścicielom. Z pewnością bez problemu odkryją tę makabrę, szlaki mają przetarte. I byłabym za tym, żeby nikomu o niczym nie mówić, nawet Gogusiowi i Rafaeli.

– Uważasz, że to będzie w porządku?

– Nie, nie będzie. Ale gdy pomyślę, że miałby się wokół tego rozegrać jakiś cyrk, dochodzenie, przesłuchania, może jeszcze jakieś konfrontacje z byłymi właścicielami... Nie, nie miałabym na to siły, siostra. Za dużo nam się bałaganu narobiło we własnym życiu.

– Jeśli nowi właściciele to odkryją i zgłoszą na policję, i tak nie unikniemy zamieszania. W końcu myśmy tu mieszkali przed nimi...

– Też tak sądzę, ale sprawa się szybko wyjaśni. Gabinet ginekologiczny pani Gogolewskiej będzie wystarczającą poszlaką dla wykrycia rzeczywistego sprawcy.

## ROZDZIAŁ XI

### Seksualne wybryki tatki

Sprawa szczątków znalezionych przeze mnie i Marcysię zakończyła się dość nieoczekiwanie, w każdym razie dla mnie. Nie skończyła się na policji i w ogóle nie ujrzała, że tak powiem, światła dziennego. Zaraz po wyjściu z tego przeklętego domu jeszcze w sporym szoku i nieziemsko zmęczona udałam się do siebie, czyli do domu babci Kundzi. Marcysia została, bo miała jeszcze do zabrania trochę swoich rzeczy. Miała zjawić się u babci za godzinę lub dwie, wykorzystując przy okazji Gogusia i Rafaelę jako pomoc w taszczeniu bagaży. Niestety, mijała godzina za godziną, a mojej siostry nie było. Pod wieczór, gdy już poważnie zaczęłam się martwić, zadzwoniłam na jej komórkę, ale nie odebrała. Ani tym razem, ani żadnym następnym, choć wydzwaniałam już średnio co kwadrans. Zadzwoniłam również do Gogusia w nadziei, że może on wie, dokąd poniosło moją siostrę, ale i z nim nie było kontaktu. Mój lęk o siostrę walczył z wściekłością, że oto zamiast położyć się spać i wypocząć po dzisiejszych wrażeniach oraz przed jutrzejszym pracowitym dniem, snułam się od okna do okna, co rusz wybierając w komórce numer Marcysi.

Na kwadrans przed dwudziestą trzecią postanowiłam się ubrać, podjechać do naszego byłego domu i osobiście jej poszukać. Czyniłam to bardzo niechętnie, bo na samą myśl o wejściu do tego straszliwego miejsca przechodziły mnie ciarki. Gdy byłam już całkiem gotowa, na klatce schodowej rozległ się jakiś rumor, huk, jęki i inne nieprzyjemne odgłosy. Wyjrzałam ze swojego pokoju i ujrzałam całą zaginioną trójkę, a konkretniej Gogusia i Rafaelę, wlokących po schodach moją siostrę. Na pierwszy rzut oka wyglądała, jakby była ciężko ranna czy coś w tym rodzaju, ale Marcysia była po prostu... kompletnie zalana!

Gdy dotaskali się wreszcie na górę, spostrzegłam, że Goguś i Rafaela tylko odrobinę odbiegają od stanu mojej siostry. Różnica była taka, że oni samodzielnie trzymali się na nogach.

– Nie wiem, czy najpierw mam was zabić, czy zapytać, co się stało – warknęłam pod nosem.

– Wszystko mi jedno – odparła Rafaela płaczliwie.

– Mnie również... – zawtórował jej Goguś.

– Okej, ale to potem. Teraz mówcie. I połóżcie ją gdzieś, na miłość boską...

– Będę... rz... rz... – wybełkotała moja siostra, po czym zrzygała mi się do łóżka, w którym zainstalowali ją kompani od gorzały.

W obawie, że nie jest to jej ostatnie słowo, pobiegłam do łazienki po miskę.

Zdążyłam w ostatniej chwili. Goguś i Rafaela przycupnęli w fotelach, popatrując na mnie z lękiem w oczach. I słusznie, bo ja, trzymając głowę Marcysi nad miską, przez cały czas zasypywałam ich wyrzutami, że pozwolili jej się doprowadzić do takiego stanu.

– Racja słuszna, nasza kulpa – przyznał w końcu Goguś ze skruchą. – Ale gdybyś ty widziała... wieee... działa...

– Właśnie, gdybyś z nami była... Tego nie dało się na szcze... szczeż... – Rafaela nie mogła poradzić sobie z zaplanowaną wypowiedzią, więc dokończył za nią Goguś.

– Na szczeżwo – oznajmił nie bez trudu.

– Na trzeżwo? – upewniłam się, a oni skinęli głowami.

Marcysia znowu dostała torsji, więc musiałam na chwilę przerwać swoje dociekania. Niestety, czekała mnie nieprzespana noc. Oprócz czuwania nad gówniarą trzeba było jeszcze po niej sprzątnąć i zmienić pościel. Może nawet niejeden raz...

– Mówcie wreszcie, co się stało, ale się streszczajcie – zażądałam w wolnych przebiegach. – Gdzie, u cholery, byliście przez tyle czasu i czemu przynajmniej jedno z was nie odebrało telefonu?

– Ja swój zgubiłem – powiedział Goguś.

– Na cmentarzu – dodała Rafaela. – Jeśli go nie zakopaliśmy, to się znajdzie za dnia...

– Co... takiego??? – Wydawało mi się, że się przesłyszałam.

– No wiesz, mógł nam wpaść do grobu – uściślił mętnie Goguś.

– Nie, w ten sposób do niczego nie dojdziemy. Zaczynjcie od początku. Co się wydarzyło po moim wyjściu? – spytałam, z trudem się opanowując.

– Pako... pakowałyśmy rzeczy Marcysi i ona... nagle w histerię wpadła normalnie. Powiedziała, że jesteśmy świnię wszyscy, a ty pierwsza. – Rafaela wycelowała we mnie palcem. – Bez czci i Boga w sercu. Że policja policją, że i owszem, więzienie jak najbardziej, ale że te dzieci należy pochować w święconej wo... wodzie.

– Ziemi chyba – sprostował Goguś.

– Niech ci będzie. I tak nas otuma... toniła, zmatasz...czyła, że się zgodziliśmy pomóc.

– I to wy wpadliście na pomysł, żeby spoić trzynastoletnie dziecko?

– Nie, nie my – zaprzeczył gorliwie Goguś. – Ten ksiądz...

– On też tam był?

– A jak? – zdziwiła się Rafaela. – Pochówek bez księdza?

Gdyby nie to, że moje ręce zajęte były durnym łbem Marcysi, opadłyby mi do samej podłogi. Spojrzałam na nią i na jej towarzyszy. Wszyscy troje byli bladzi jak nieszczęście oraz brudni, przy czym moja siostra jeszcze dodatkowo obrzygana

gdzie popadło. Nie było sensu teraz ani dyskutować, ani prawić im morałów, ani nawet zbluzgać ich z góry na dół.

– Słuchajcie, proponuję, żebyście tu zostali, aż jako tako dojdziecie do siebie – zaproponowałam w przekonaniu, że lepiej, aby już dziś niczego więcej nie nawywijali.

– To by było nawet całkiem rozsądne – przytaknął Goguś. – Kundzia już śpi?

Tak zazwyczaj wyrażał się o swojej matce, gdy jej nie było w pobliżu.

– Śpi, ale ją obudzę i uprzedzę, że was rano może zastać w salonie na kanapie. Pilnujcie Marcysi i jakby co, podsuńcie jej miskę.

Była druga nad ranem, przy dobrych wiatrach miałam przed sobą pięć godzin snu. Ta myśl dodała mi energii, więc szybko przygotowałam miejsce do spania, doprowadziłam do porządku siostrę i moje łóżko, sama zaś położyłam się na dwóch fotelach.

\* \* \*

Gdy szykowałam się do pracy, moja siostra jeszcze spała, a Gogusia i Rafaeli już nie było. Po kuchni kręciła się babcia, robiąc sobie śniadanie.

– Ja nie wiem, czy dobrze zrobiłam, przygarniając was pod swój dach – powiedziała dość chłodno. – Bo jeśli każda kolejna noc ma wyglądać tak samo, to ja dziękuję...

– Nie będzie, na pewno nie będzie. – Cmoknęłam staruszkę w policzek, by ją udobruchać. – Ot, taki mały wypadek przy pracy, ale już się nie powtórzy, obiecuję.

– Mam nadzieję – odparła i już nie wróciła do tematu, nawet podzieliła się ze mną jajecznicą.

Babcia Kundzia nie należała do osób pamiętliwych ani zawziętych, dlatego nie było opcji, że nas ze swojego domu wyrzuci prędzej, niż same zdecydujemy się wyprowadzić, mimo to postanowiłam porozmawiać z tatą o jakimś sensownym rozwiązaniu tej sytuacji. Miałam dziś dniówkę zaczynającą się rano, czyli o dziewiątej. To nie była pora natłoku klientów, więc zamierzałam przeprowadzić tę rozmowę jak najszybciej.

Weszłam do knajpy jak zwykle od zaplecza i usłyszałam jakąś ożywioną rozmowę, która natychmiast ustała, gdy trzasnęły za mną drzwi. Za barem siedziała pracownica taty Zenia i jadła śniadanie, tata siedział naprzeciwko niej i wpatrywał się w nią z uwagą godną lepszej sprawy.

– Rany, ale ty masz spust! – wyrwało mi się, gdy spojrzałam na rozłożone przed nią talerze.

Na jednym z nich były śledzie w śmietanie, na drugim udko z kurczaka z sałatką, na trzecim kawał drożdżowego ciasta ze śliwkami. I chyba z pół

bochenka chleba w wiklinowym koszyczku.

– A i owszem, jem za dwóch – odparła Zenia z pełnymi ustami.

– Żebyś jeszcze pracowała za dwóch – nie darowałam sobie, zwłaszcza że mój fatalny nastrój ciągle jeszcze się utrzymywał.

– Dajcie sobie spokój, co? – wtrącił się tatko. – Nie pora na kłótnie.

– Nie? A na co?

– Na rozmowę.

– A o czym tu rozmawiać? – spytała Zenia między jednym kęsem a drugim.

– W ciąży jestem, i tyle... Za mąż wychodzę niedługo.

– Wobec tego gratuluję. Ale ponieważ ciąża to nie choroba, mam nadzieję, że nie ucierpi na tym twoja praca – zastrzegłam na wypadek, gdyby oczekiwała jakiejś taryfy ulgowej.

– Ej, weź jej coś powiedz! – dziewczyna zwróciła się z pretensją do mojego ojca. – Niech się tak do mnie nie odzywa!

Spojrzałam na niego i odniosłam bardzo przykre wrażenie, że on może z tą ciążą mieć coś wspólnego. Tatko szybko odwrócił wzrok, co wystarczyło mi za potwierdzenie.

– Czy powinnam i tobie pogratulować? – spytałam dla formalności.

– Tak się... złożyło – odparł dość oszczędnie.

– Aha. A kiedy ślub?

– Jak najszybciej – odpowiedziała za niego Zenobia. – I z szacunkiem proszę od teraz.

Jeszcze wczorajszego wieczoru wydawało mi się, że już nic gorszego nie może nam się przydarzyć, ale grubo się myliłam. Ta wyblakła żmija zamierzała wbić się do naszej rodziny, jeszcze bardziej ją podzielić i pozbawić mnie i siostrę jedyne go przyzwoitego rodzica. W ciągu tych kilku minut rozmowy zdążyła już zresztą pokazać, kto tu teraz będzie rządził...

– No chyba ci to nie przeszkadza? – zapytała Zenobia, dobijając mnie jeszcze bardziej. – W końcu ty masz swoje życie, nie? A właśnie, przychodził tu kilka razy jakiś taki... do ciebie... Niezły byczek, hi, hi.

– Kto? – zwróciłam się z pytaniem do tatki, choć się jak najbardziej domyślałam.

– Ten mechanik, który drze z ciebie kasę. Pogoniłem go precz, bo prosił, żeby ci przypomnieć o terminie kolejnego przeglądu.

– Podwozia... – dodała Zenia z krotkhwilnym uśmiechem.

– Zamknij się, gdy cię nie pytają o zdanie – warknęłam.

– Powiedz jej coś wreszcie! – zażądała ponownie Zenia.

– Właśnie, powiedz mi coś, ale na osobności. – Nie czekając na nic, złapałam tatkę za rękaw i pociągnęłam za sobą do magazynu. – A teraz słucham! Ty jej zmajstrowałeś dzieciaka?

– Na to wygląda...

– I co? Naprawdę zamierzasz się z nią ożenić?!

– Powiem tak... niechętnie, aczkolwiek chyba nie mam wyjścia.

– Jak to nie masz? – oburzyłam się. – Możesz uznać potomka i płacić jej alimenty, ale na miłość boską, nie funduj nam z Marcysią takiej macochy!

– Niestety, nie mogę tak postąpić, córeczko. To by było nie w porządku, w końcu jestem dorosłym, doświadczonym facetem i mogłem o tym pomyśleć wcześniej. Zenia jest młodziutką dziewczyną, nie może przez całe życie sama ponosić konsekwencji moich kilku chwil słabości...

– Jak sobie chcesz. – Wzruszyłam ramionami i zostawiłam go samego.

Niestety, w tej sytuacji nie mogłyśmy liczyć z siostrą na jego pomoc w kwestii mieszkania, zwłaszcza materialną, bo przecież i on teraz musiał się postarać o jakieś przyzwoite lokum dla swojej nowej rodziny. Byłam wściekła i płakać mi się chciało, nie chciałam jednak dawać satysfakcji mojej przyszłej macosze i robiłam dobrą minę do złej gry. Praca paliła mi się w rękach, jak zawsze, gdy potrzebowałam dać upust emocjom – wysprzątałam salę i kuchnię (a raczej poprawiłam po Zeni), przygotowałam przystawki i przekąski, razem z tatką wymieniliśmy pustą beczkę po piwie na pełną, bo ciężarnym przecież nie wolno dźwigać. Ani nawet turlać. Potem przez jakiś czas kompletnie nic się nie działo i pierwszą osobą, jaka pojawiła się w tym dniu w knajpie, była... Marcysia. W bardzo opłakanym stanie zresztą.

– Czemu nie jesteś w szkole? – spytałam.

– Naprawdę uważasz, że powinnam tam dziś być? – Spojrzała na mnie przekrwionymi oczami.

– Chyba nie... – Ruszyło mnie sumienie, bo znałam z autopsji taki stan. – Siadaj, zjesz coś?

– Dziękuję, ale napiłabym się czegoś zimnego.

Nalałam soku pomarańczowego do wysokiej szklanki i usiadłyśmy przy najbardziej oddalonym od baru stoliku.

– Wściekła jesteś na mnie, prawda? – spytała płaczliwie.

– Byłam wczoraj. I może byłabym do teraz, ale nasz tatuś pobił twoje wyczyny na łeb.

– Boże, co się stało?

– Najpierw ty mi wyjaśnij, co ci do łba strzeliło z tym pochówkiem. I z chlaniem, rzecz jasna.

– Bo... widzisz, ja wczoraj... gdy miałam pakować laptop, rzuciłam jeszcze okiem do internetu, żeby zobaczyć, co grozi lekarzowi za takie mordercze aborcje... I okazało się, że nasza sprawa jest już przedawniona. Rozumiesz?

– Serio?

– Serio! Jeśli ten proceder miał miejsce wcześniej niż pięć lat wstecz, już nic

oprawcom za to nie grozi.

Słyszając teraz od Marcysi o czymś takim, wcale nie byłam zdziwiona jej oburzeniem, mnie samą dotknęło to do żywego.

– No a skoro tak – kontynuowała – pomyślałam sobie, że nawet jeśli będzie z tego jakaś afera, skończy się niczym. A te biedne trupki zbiorą łopatą do worów i wyrzucą do kontenera na śmieci. Tak przecież nie mogło być, żeby one ani za życia nie zaznały życia, ani po śmierci. No to namówiłam Gogusiów, Antka i urządziliśmy im pogrzeb. Musieliśmy poczekać do zmierzchu i trochę się w międzyczasie znieczulić...

Siostra spojrzała na mnie tak, że roztopiło mi się serce. W jej wzroku było i poczucie winy, wielka żalność, i bunt przeciwko niegodziwościom świata. Podeszłam do niej i z całej siły przytuliłam ją do siebie.

– Dobrze zrobiliście, Marcysiu – wyszeptałam jej do ucha. – To było takie małe... a właściwie bardzo duże zadośćuczynienie.

– Naprawdę? Myślałam, że mi się od ciebie oberwie...

– Za co? Za twoje dobre serce?

Znów rzuciłyśmy się sobie w ramiona i wówczas dostrzegłam, że Zenia bacznie obserwuje nas z niezbyt skutecznego ukrycia. Pewnie sobie pomyślała, że te siostrzane szloch i cikliwości odbywają się na jej cześć, z rozpacz, że usidliła nam ojca. To mi przypomniało, że muszę, chcąc nie chcąc, powiedzieć o sprawie Marcysi.

– Ta żółta nas podgląda. – Spojrzałam ukradkiem w stronę skradającej się Zeni. – Myśli, że rozmawiamy o niej...

– Czemu o niej? – zdziwiła się Marcysia.

– Bo to ona jest dziś, że tak powiem, gwiazdą programu. Zaciążyła z tatusiem – wyrzuciłam z siebie bez owijania w bawełnę.

Marcysi na chwilę odebrało mowę. Ale ta wiadomość pomogła jej błyskawicznie zwalczyć resztki kaca.

– Nie wierzę! – krzyknęła, o ile to możliwe zduszonym szeptem.

– Nie? No więc spójrz na tę jej jaszczurczą gębę i przemyśl to jeszcze raz.

Moja siostra odruchowo obejrzała się przez ramię.

– Jaszczurcza, fakt. Boże! Będziemy miały jaszczurcze rodzeństwo!

– No, chyba że się do ojca upodobni. Wtedy będziemy miały głupie...

Ostatnia wymiana zdań rozbawiła nas na tyle, że wybuchnęliśmy śmiechem. Jeszcze bardziej nam się poprawiło, gdy Zenobia pokraśniała jak rak na swym alabastrowym licu, myśląc pewnie, że się z niej nabijamy.

– Chodź. – Trąciłam siostrę z łokcia. – Musisz coś zjeść, bo inaczej ci nie przejdzie.

Nakarmiłam Marcysię podobnym zestawem, jakim uraczyła się na śniadanie Zenia (ciąża bowiem oraz kac rządzą się w kwestii upodobań kulinarnych

podobnymi fanaberiami), po czym wysłałam ją na zaplecze do spania.

– Mam z tobą do pogadania, ojciec – zwróciłam się do tatki pod wieczór, w krótkiej przerwie między obsłużeniem jednego a drugiego gościa.

– Ja myślę, że raczej nie ma o czym – spłoszył się ciężowy winowajca. – Wszystko już ustalone. Będzie ślub, potem chrzest, a potem...

– Gówno pod płótem – weszłam mu w słowo. – Mniejsza z tym. Nie bój się, chodzi mi o zwykłe sprawy techniczne.

Na te słowa ojciec spiekł raka, jak przedtem jego flama.

– Nie o te sprawy – poprawiłam się, gdyż tatko pewnie zrozumiał, że zamierzam go odpytywać o intymne szczegóły. – Tylko że kurde, trzeba ustalić, co dalej. Wszyscy za bardzo nie mamy gdzie mieszkać, myślałam, że... że jakoś razem wynajmiemy coś albo kupimy, ale teraz...

– Teraz może być dokładnie tak samo. Z tym że słowo „wszyscy” nabrało jakby innego wymiaru.

– A w życiu! – oburzyłam się. – Chyba nie sądzisz, że zamieszkamy razem z tą... tą...

– Hamuj się, Aga, bo mówisz o mojej przyszłej żonie! – przerwał mi tatuś poszukiwania odpowiedniego epitetu.

– ...tą... twoją przyszłą żoną – dokończyłam tak, jak sobie życzył.

– A czemuż to? Mielibyśmy szansę na stworzenie normalnej, pełnej rodziny. Dotarłybyście się w końcu, jestem tego pewien.

– Może i pełnej, ale normalnej raczej nie – mruknęłam pod nosem. – Tak czy inaczej, znajdź dla mnie chwilkę po zamknięciu lokalu, okej?

– Okej – zgodził się tatko, acz niezbyt chętnie.

\* \* \*

Jak tylko knajpa opustoszała, zaserwowałam Marcysi dubeltową kawę dla rozjaśnienia umysłu, po czym, nie bez pewnego trudu, zwabiłam na zaplecze ojca. Tuż za nim podążała wyraźnie senna już Zenobia.

– Ej, zebranie ściśle rodzinne to jest! – zaprotestowała Marcysia, parszkając fusami.

– A ja to co, nie rodzina? – nabzdyczyła się nasza jeszcze-nie-macocha.

– Nie. Ślubu z ojcem jeszcze nie masz – poparłam siostrę.

– Weź im coś powiedz! – Zenia swoim zwyczajem zażądała wsparcia od ojca.

Tata poczuł się dość niezręcznie, jakby nie wiedząc, po której stronie ma się opowiedzieć.

– Dajcież spokój, dziewczynki – powiedział tylko i posadził Zenię między nami na kanapie.

– Przejdźmy zatem do sedna. Jak stoisz finansowo, tatku? – spytałam bez

ogródek.

– Tak sobie. Tymczasem, bo w niedługiej przyszłości czeka mnie chyba sporo wydatków.

– No niestety. – Zenia uśmiechnęła się z zadowoleniem. – Obrączki, suknia ślubna, wesele, wyprawka dla małego, chrzest...

– No zaraz, a ty co? Suknię sobie chyba panna młoda kupuje sama, a wesele finansuje się po połowie! – oburzyła się Marcysia.

– Niestety, ale ja nie mam na to kasy. Bo skąd mam niby mieć? Z tej roboty?  
– Dziewucha wymownie rozejrzała się dookoła.

– No więc wesela nie będzie, a suknię co najwyżej dostaniesz po babci Kundzi. – Moja siostra nie dawała się spuścić po kiju. – Zwęzi się, skróci i będzie w sam raz.

– Ej, no! Weź jej coś powiedz! – Zenia trąciła ojca z łokcia, ale ten jakby nie kwapił się do wypowiedzi.

– A w ogóle to się nie wtrącaj – podsumowałam. – Bo chodzi o to, tatusiu, że my nie chcemy w nieskończoność siedzieć babci na głowie, ty też chyba nie zamierzasz do końca życia mieszkać w knajpie na poddaszu, więc sobie pomyślałyśmy, że trzeba by zebrać siły i coś zorganizować wreszcie. Coś konkretnego i na stałe.

– Ale skoro tak się rzeczy mają – pociągnęła temat Marcysia – chcemy cię prosić, żebyś nam się chociaż dorzucił do mieszkania. Myślę, że dziadek Grzesiek i obie babcie też ruszą kabzą, na matkę nie ma co liczyć, ona sama cienko piszczy...

– W jednym macie słuszną rację. – Zenia ponownie zabrała głos. – Nie zamierzamy z waszym ojcem mieszkać na poddaszu knajpy, dlatego niestety, ale radźcie sobie same.

Spojrzałyśmy z Marcysią na siebie, nie spodziewając się z jej strony aż takiej bezczelności. Na moją wygadaną siostrę mogłam jednak liczyć w każdej ekstremalnej sytuacji.

– Można wiedzieć, jakim prawem otwierasz swoją jaszczurczą paszczę na temat, o który nikt cię nie pytał? – warknęła groźnie.

– Marcysiu! – Tym razem tata ujął się za Zenobią sam z siebie. – Nie można w ten sposób, córeczko.

Niedoszła macocha wygramoliła się spomiędzy nas, usiadła ojcu na kolanach i obłapiła go za szyję, jakby chciała powiedzieć „mój ci on, nie wasz, a skoro tak, to i jego forsa jest moja”.

– No nie wiem... Może jakiś kredyt bym wziął. – Tatko w końcu odniósł się do tematu. – Jakby interes nadal szedł tak, jak idzie, spłaciłbym go za kilka lat.

– Chyba nie zamierzasz na dzień dobry wpakować nas w długi, Misiaczkę? – zaoponowała Zenia. – Weź pod uwagę, że niedługo zostaniesz ojcem...

Nastąpiła chwila milczenia. Na tyle długa, bym mog-ła uznać spotkanie w takim gronie za bezcelowe.

– Dobra, tatau. Rozmowy nie było, damy sobie jakoś radę same – oznajmiłam, wstając.

– Właśnie, a skoro tak, na nas już czas. – Marcysia nieoczekiwanie zgodziła się ze mną.

Opuściłyśmy knajpę z dumą i godnością, zostawiając tatkę w towarzystwie triumfującej Zenobii. I niestety, nie było nam do śmiechu.

W drodze do domu nawet specjalnie nie komentowałyśmy zaistniałej sytuacji, przyrzekłyśmy sobie jedynie, że żadna z nas już nigdy ani słówkiem nie poruszy z ojcem powyższego tematu. To samo dotyczyło Zeni oraz ich potomka.

– Tabu? – upewniła się Marcysia.

– Tabu – potwierdziłam z całym przekonaniem.

## ROZDZIAŁ XII

### Tabu

Temat Zenobii, zgodnie z tym, co sobie obiecałyśmy, nie wrócił na tapetę przez dłuższy czas. I być może nie wróciłby już nigdy, gdyby nie rozwój wypadków, jak zwykle w naszej rodzinie obfitych w nieoczekiwane zdarzenia. Ale po kolei. Mniej więcej miesiąc po odbyciu owej znamiennej rozmowy odwiedziła nas w domu babci Kundzi matka. Od czasu, gdy zamieszkała w swojej kawalerce, był to pierwszy raz, gdy ujrzały ją nasze oczy. Szczerze mówiąc, nawet się nie zastanawiałam, skąd takie długie milczenie z jej strony, teraz jednak na jej widok nasunęły mi się pewne podejrzenia. Otóż matka, dotychczas krucza, zażywna brunetka, objawiła się nam jako płowa blondynka à la Marilyn Monroe z czasów, gdy już nie żyła. To znaczy nie jako jej trup, ale wersja, którą pewnie byłaby, gdyby udało jej się osiągnąć wiek naszej matki. Nawet pieprzyk miała pod nosem namalowany. Oprócz koloru włosów, mama zmieniła również całkowicie sposób ubierania się – z artystyczno-ekstrawaganckiego na elegancko-seksowny. Obcisła sukienka z wywindowanym na maksa biustem. A zatem musiał kryć się za tym jakiś facet.

– Matko Boska Częstochowska – jęknęła na jej widok babcia. – A cóżeś ty sobie, Joanna, zrobiła?

– Nie podoba ci się? – spytała nasza rodzicielka i wyjąwszy ręką z patelni usmażone przez babcię na obiad udko z kurczaka, zaczęła wcinać je z ogromnym zapałem.

– Na diecie jestem – wyjaśniła.

– Widzę – mruknęła babcia pod nosem. – Usiądź chociaż jak człowiek, podam ci talerz i sztućce.

– Nie fszeba – odparła matka z pełnymi ustami. – Już chończę.

– Można wiedzieć, kto ci to wszystko zrobił? – spytała Marcysia.

Matka spojrzała na nią zdziwiona, a gdy w końcu załapała, o co pyta jej córka, wzruszyła ramionami.

– Nie kto mi zrobił, tylko dla kogo ja to robię – uściśliła. – Na imię ma Fred i jest najfajniejszym samczykiem, jakiego w życiu spotkałam, postanowiłam więc nieco zainwestować w ten związek. Wizerunkowo.

– Super – pochwaliłam z przekąsem. – A tak w ogóle, masz do nas jakiś interes czy tak sobie przysłaś?

– Wyżreć nam kurczaka na przykład? – dorzuciła babcia.

– Fajnie widzieć, jak bardzo się cieszycie z mojej wizyty. – Matka chyba

poczuła się urażona.

Nikt nie potwierdził ani nie zaprzeczył, wszystkie trzy czekałyśmy na dalszy rozwój wypadków.

– No dobra, sprawę mam – skapitulowała w końcu.

– Mów... – szepnęłam pełna najgorszych przeczuć.

– Wiecie, że sprzedałam dom, prawda? I że kupiłam za te pieniądze mieszkania dla siebie i Gogusia?

– Wiemy – odpowiedziałyśmy chórem.

– No to ja mam dla was propozycję... e...

– Mamy zgadywać? – spytała Marcysia, gdyż matka urwała w pół zdania i milczała przez dłuższą chwilę.

– Zaraz powiem, daj mi się skupić, kurczę – odparła, unosząc pokrywkę patelni.

– Jeśli to ono cię rozprasza, to proszę, zrzekam się swojego kawałka na twoją rzecz – zaproponowałam, bo coraz bardziej irytowała mnie ta sytuacja.

Chciałam jak najszybciej dowiedzieć się, co też wymyśliła nasza rodzicielka, a znając ją, miałam pewne podstawy do niepokoju.

– Na pewno? – spytała, podnosząc kolejne udko do ust.

– Na pewno. Zjedz i mów wreszcie.

– Bo... y... Rany, jakie dobre. Czym przyprawiałaś, mammo?

– Kocim gównem – warknęła babcia. – Gadasz w końcu czy nie?

Matka w pierwszym odruchu wrzuciła niedojedzony kawałek z powrotem na patelnię, po chwili jednak wyjęła go i znów zaczęła jeść.

– Zamienić szę chciałabym z wami – wyartykułowała z pewnym trudem. – Na miechania.

– Co takiego? – spytała babcia.

Mama przełknęła szybko i powtórzyła:

– Zamienić bym się chciała z wami na mieszkania. My z Fredem wzięlibyśmy ten dom i Gogusia z przyległościami, a wy nasze dwie kawalerki. Jedna byłaby dla ciebie, mamuś, a druga dla Agi i Marcyśki.

Babcia wpatrzyła się w swoją córkę z uwagą i przez dłuższy czas nic nie mówiła. Spodziewałam się, że szuka w głowie odpowiednich bluzgów, którymi mogłaby ją na tę okoliczność uraczyć, ale gdy po chwili przemówiła, i mnie, i Marcysi niemal oczy wyszły z orbit.

– Może to i jest jakaś myśl... Co wy na to? – zwróciła się do mnie i siostry.

– Ależ babciu! Chciałabyś na stare lata kisić się w jednym pokoju z kuchnią gdzieś na totalnym zadupiu? – zdumiała się Marcysia.

– Oczywiście, że bym nie chciała. Ale być może rozwiązałoby to tymczasem chociaż waszą sytuację. Mój dom robi się jakby coraz większy, coraz trudniej mi go sprzątać, a nawet przemieszczać się po tych niezliczonych komnatach. Poza

tym, nawet jakbyśmy zrobili jakąś ogólnorodzinną ściepę, i tak nie zbierzemy więcej niż na kawalerkę dla was. Zwłaszcza po tym, co nawyrabiał wasz tatuś.

– Co nawyrabiał? – zainteresowała się matka, ponieważ chyba tylko ona w całej rodzinie nie poznała tego niusa.

Niestety, my z siostrą w myśl powziętego zobowiązania nie mogliśmy jej odpowiedzieć, w końcu tabu to tabu, więc wyręczyła nas babcia.

– Uwiodła go jedna taka i teraz musi się żenić, bo przychówek w drodze.

– Ja... jaka? – Informacja najwyraźniej zrobiła na matce wrażenie, babcia zaś radośnie wbiła jej kolejną szpilę:

– Nie wiem jaka, nie znam. Młodsza w każdym razie od ciebie o jakieś trzydzieści lat.

– Ach tak? – Matka odruchowo wciągnęła brzuch i wypięła biust. – Chociaż... nie sądzę. Na pewno go wrabia, mój były, naiwny małżonek nie jest trudnym łupem. Trzeba by było to zbadać...

Spojrzałyśmy na siebie z siostrą z paniką w oczach, ponieważ temat aż się prosił o pociągnięcie, a my byłyśmy związane danym sobie słowem...

– Ciul z tabu, Aga. – Marcysia trąciła mnie łokciem. – Idea jest, a to rzecz nadrzędna.

Też byłam tego zdania, ale nie chcąc być łamistrajką, czekałam, aż inicjatorka naszej zмовы milczenia powie to pierwsza. No bo fakt, o tym nie pomyślałyśmy, a przecież najprostszym rozwiązaniem było napuszczenie na jaszczurkę naszej własnej matki.

– Co więc zamierzasz? – zapytałam niewinnie. – Bo nam też się zdaje, że ona leci wyłącznie na tatusiową kasę.

– Niedoczekanie, kurwizyonu jednemu! – Matka wytarła tłuste od kurczaka dłonie w opiętą na dupie czerwoną sukienkę i udała się do wyjścia, pozostawiając nas z niedokończonym tematem zamiany mieszkań.

\* \* \*

W poniedziałek rano, gdy tylko pojawiłam się w knajpie, tatuś za pomocą jakichś tajemniczych znaków wywabił mnie na zewnątrz i wciągnął między kontenery na śmieci.

– Pech, Aga, cholerny pech – oznajmił półgłosem.

– No pewnie, że pech. Żenić się w twoim wieku, dzieci niańczyć... Inaczej tego nazwać nie można – przyznałam.

– Nie o to chodzi. – Tatuś wychylił głowę znad kontenerów i rozejrzał się uważnie. – Joanna była u mnie w sobotę, a ponieważ Zenia pojechała na weekend do rodziców, została do niedzieli.

– O? Czego chciała? – spytałam, udając zdziwioną.

– Nie wiem właśnie i w tym rzecz. Była bardzo miła, przywiozła sernik

z brzoskwinia i butelkę żołądkowej gorzkiej. I...

– Podobała ci się w nowym wydaniu? – przerwałam, nie bardzo chcąc znać szczegóły.

– W nowym?

– No. Jako niezbyt udana replika Marilyn Monroe – uściśliłam, zastanawiając się, jak ojciec mógł tak drastycznej metamorfozy nie zauważyć.

– Nie rozumiem... Jakiej Marilyn?

– Monroe. Takiej seksbomby z lat sześćdziesiątych, wszyscy o niej słyszeli. Ty nie?

Tata roześmiał się w głos, po czym przypomniawszy sobie o potrzebie konspiracji, przysłonił usta ręką, próbując powstrzymać tę nieoczekiwaną wesołość.

– Daruj, Aga, co jak co, ale twojej matki na Marilyn w życiu nie udałoby się przerobić. Nawet gdyby ufarbowała się na blond.

– A... nieufarbowana była?

– Pewnie, że nie. Miała jak zwykle ten swój artystyczny, kruczy kok à la krzak agrestu na wietrze.

Cwaniara – pomyślałam. – Taką gierkę sobie mamunia ułożyła... Ale żeby na nowo ojca uwieść, musiała wrócić do poprzedniego wyglądu, inaczej niczego by nie zdziałała. Musiała się zatem przefarbować lub nałożyć perukę...

– No dobra, tatuś, mniejsza z tym. Powiedz mi, czemu tak dramatyzujesz? Nawet jeśli coś między wami zaszło, to przecież nie była zdrada. Trudno raczej zdradzić kochankę z własną żoną, nawet była.

– Nie w tym rzecz, córeczko. Ja sobie chyba uświadomiłem, że nadal ją kocham...

Zrobiło mi się ojca żal. Bo nawet jeśli matczyne środki miałyby uświęcać słuszny cel, pewne było, że w ten sposób tylko namiesza mu w głowie i na pewno do niego nie wróci.

– Czego zatem oczekujesz ode mnie?

– Rady.

– Udzieliłam ci jej już wcześniej, nie pamiętasz? Uznaj to dziecko, płac, wychowuj, ale się nie żeń. Mnie się osobiście coś ta Zenia nie podoba.

– Mnie też nieszczególnie, ale kurczę... trzeba przecież ponosić odpowiedzialność za swoje czyny, prawda? – spytał, jakby liczył, że zaprzeczę.

– To będzie wystarczająca odpowiedzialność. Ale zrobisz, jak zechcesz.

Spojrzałam na coraz bardziej przygnębionego ojca i opuściłam naszą kryjówkę. Nie chciałam brać odpowiedzialności za to, co zrobi, cokolwiek by to było.

– Gdzie się włóczysz? Robota jest – sarknęła Zenia na mój widok. – Trzeba posprzątać salę po piątku, bo nie bardzo się tym przejęłaś, wychodząc jako ostatnia.

Stałam jak wryta. Moja niedoszła macocha właśnie dała próbkę tego, co czeka nas wszystkich, gdy już zaciągnie ojca do urzędu stanu cywilnego.

– To sobie posprzątaj. – Wzruszyłam ramionami.

– W ciąży jestem, nie?

– A co ja mam z tym wspólnego? Bierzesz kasę za robotę, to sprzątaj. Za ciążę się tu jeszcze nie płaci.

– Misiaczkule, powiedz jej coś!!! – wrzasnęła Zenia na widok wchodzącego od zaplecza ojca i ruszyła klusem w jego stronę.

Najprawdopodobniej zamierzała mu się rzucić w ramiona, ale tatko w odpowiednim momencie zrobił krok w bok, skutkiem czego jego rozpędzona narzeczona wyparzyła na zewnątrz.

– Boże mój, Boże, i co ja mam teraz zrobić, Agusiu? – jęknął, przechodząc obok mnie.

– Pojęcia nie mam – odpowiedziałam bezlitośnie i zabrałam się do roboty.

\* \* \*

Sprawa rozwiązała się sama w ciągu miesiąca, co prawda nie bez pewnych perturbacji, ale za to definitywnie. Do tego czasu atmosfera w knajpie była dość smętna, mojej osoby tatuś chętnie unikał, w stosunku do Zeni był natomiast o wiele chłodniejszy niż dotychczas, co ta oczywiście wyczuła i zaczęła systematycznie omdlewać, chcąc zwrócić na siebie jego uwagę. W przerwach szarogęsała się jak dotychczas, choć może nawet jeszcze bardziej. Nie wiem, czy tatko spotykał się nadal z mamą, czy nie, i wolałam raczej nie wiedzieć, więc nie pytałam o to ani jego, ani jej, choć miałam ku temu ostatnio naprawdę sporo okazji. Babcia Kundzia zdecydowała bowiem, że w zamian za dwie kawalerki odda córce swój przepastny dom bez żądania żadnych dopłat czy innego rodzaju rekompensaty. Babcia Kundzia – jedyna gierojka w rodzinie potrafiąca znieść przeciwności losu kosztem pewnego rodzaju ustępstw na swoją niekorzyść.

Plan był następujący: Goguś z Rafałką mieli zająć parter, przystosowując wyjście z kotłowni za zewnątrz jako swoje na wyłączność, matka i Fredi natomiast, dzięki zamurowaniu jednych drzwi i dostępowi do klatki schodowej zyskiwali autonomiczne lokum. O tacie, jak przypuszczałam, nie było w tym wszystkim mowy. Mama, usatysfakcjonowana namieszaniem w jego związku z Zenobią, natychmiast wycofała się z imprezy. To znaczy, wycofałaby się, gdyby nie jeden przykry fakt. O jego zaistnieniu dowiedzieliśmy się wszyscy (to znaczy na początek tata, Zenia i ja), gdy wpadła pewnego dnia do knajpy rozjuszona jak stado szerszeni, była tak podjarana, że nie przywdziała nawet na tę okazję swojej czarnej peruki.

– Heloł wszystkim! – zawołała od progu.

Zjawiała się na tyle wcześnie, że piliśmy sobie właśnie poranną kawę przed

przybyciem pierwszych gości.

– Kto to taki, Misiaczku? – spytała Zenobia półgębkiem.

Tata pobladł i nie odpowiedział. Pewnie przypuszczał, że oto odbędzie się między kobietami zapaśnicza walka o jego osobę. Rzecz miała się niestety o wiele gorzej.

– Jeśli się ożenisz z tą... tą... tfu! Będiesz ostatnim idiotą! – wrzasnęła matka, pochylając się nad nim.

– Fatalnie wyglądasz w tym blondzie – wydukał tatko, chcąc pewnie odwlec punkt kulminacyjny jej przemowy.

– Ja? Fatalnie wyglądam? – ryknęła matka, a Zenia, tak dotąd pewna siebie, skurczyła się we dwoje. – A ty? Z tobą wszystko w porządku?

– Poznajcie się może, panie. – Tatko wciąż balansował na linie. – Moja była żona, a to moja przyszła.

– No właśnie! – Zeni na te słowa nagle wróciła odwaga.

– Nie jestem pewna – sarknęła matka.

– Taaak? A to się pani zdziwi. – Zenia uniosła się z krzesła. – Bo ja mam już, proszę pani, suknię ślubną.

– Fajnie. A ja mam trypra – skontrowała matka krótko.

– Co... pani ma?

– Syfa! I to on mi go sprzedał! – Wycelowała palcem w ojca. – Ciekawe, od kogo go nabył.

Zapanowała ogólna konsternacja. Nawet Zenia nie otworzyła swej jaszczurczej paszczy.

– Nie ma jednak złego, co by na dobre nie wyszło – kontynuowała matka. – Wracam właśnie od lekarza, gdzie musiałam jak na spowiedzi zeznać, z kim się ostatnio kontaktowałam cieleśnie. Teraz wezwie ciebie, mój drogi, i ty się mu wypowiadasz, a potem ją. I dojdziemy w ten sposób aż do Adama i Ewy. Żegnam!

Nawet głośnie trzaśnięcie drzwi nie wyrwało nas z osłupienia. Każde z nas siedziało bez ruchu, na swój sposób analizując słowa matki.

– Ja nigdzie nie idę. – Jako pierwsza odezwała się Zenia. – Byłam dziewicą aż do poczęcia i mnie to nie dotyczy.

– Kurde, a ja się zastanawiałem, skąd ta wysypka... – wymamrotał tatko pod nosem. – Sześć razy zmieniałem mydło, i nic...

– Misiaczku, nie zamierzasz chyba wierzyć tej swojej byłej, liniejącej ze starości oraz zawiści babie? – zapytała Zenobia przymilnie. – Jeśli coś ma, to sama sobie złapała, wygląda na taką.

– Oczywiście, że nie zamierzam jej wierzyć – odparł tatko z pozornym spokojem. – Ale lekarzowi uwierzę.

Tak czy inaczej, gdyby nie upojna noc spędzona z matką, pewnie nigdy sprawa by się nie wyjaśniła. Prędzej przyrodzenie by ojcu odpadło, on zaś

w naiwności swojej do końca życia zmieniałby mydła na inne. Lekarz, do którego musiał się zgłosić, zdiagnozował u niego kiłę i Zenia jako jedna z jego ostatnich partnerek też musiała zaliczyć wizytę w poradni. Taka profilaktyka, w przypadku chorób wenerycznych bowiem istnieje pewnego rodzaju przymus prawny, mający za zadanie skuteczne wyeliminowanie problemu u źródła. Przy tej okazji Zenobia ujawniła nie tylko dane poprzedniego kochasia, ale i prawdziwy termin zajścia w ciążę, a to raz na zawsze wyeliminowało tatkę jako sprawcę. Jaszczurka co prawda próbowała jeszcze różnych kłamstw i sztuczek, zanosila się płaczem, mdlała i darła swe mizerne włosie z głowy, tata już jednak nie dał się jej omamić. Kazał się jej spakować i osobiście odwiózł ją na wieś, z której do naszego miasta przybyła.

\* \* \*

Po wyjaśnieniu sprawy naciąganego ojcostwa tatki całkowitej zmianie uległy nasze plany mieszkaniowe. I nie tylko na skutek powyższych zajść, ale okoliczności jak zwykle zgoła nieprzewidzianych. Ojciec nasz, mianowicie, całe swoje uczucie z niedoszęłego potomstwa ze zdwojoną mocą przelał na to, które już miał, i nagle postanowił odbudować więzi rodzinne. Bez mamy, rzecz jasna, która zgodnie z moimi przewidywaniami wymiksowała się z zaplanowanej przez niego sielanki na rzecz pożycia z Fredem. Mimo to, a może wręcz przeciwnie, z tego właśnie powodu, tatuś zabrał się do rzeczy z niepodobną do niego determinacją. Na dzień dobry sprzedał knajpę, tając ten fakt przede mną i Marcysią. Przez pewien czas pracowaliśmy w niej jak dotąd, ale ja bez świadomości, że właścicielem jest już ktoś inny. A gdy w końcu sprawa się wydała, ojciec postawił na szczerą rozmowę ze mną i siostrą.

– Nie powiedziałem wam na razie o sprzedaży baru – zaczął z niezwykłą pewnością siebie – bo nie wiedziałem, co z moich planów wyjdzie. A tu znów się okazuje, że los sam mnie wyręczył.

– W czym? – zapytała przytomnie Marcysia.

– Nie dalej jak trzy tygodnie temu przeczytałem w miejscowej prasie ogłoszenie o domu na sprzedaż. Nie jakiegoś pierwszego lepszego, ale tego, w którym mieszka wasz dziadek.

– Dziadek Grzesiek? – upewniłam się. – Czyżby się po raz kolejny rozwodził?

– Tego w ogłoszeniu nie było. Nie sądzicie zatem, że to dla nas jakiś znak? Akurat w momencie, gdy szukamy dla siebie czegoś na stałe?

– Dziwne to trochę – zastanowiłam się na głos. – Czemu zatem babcia Kundzia nie wie o tym jako pierwsza? Ona zawsze jest na bieżąco w sprawach dziadka...

– Może jej nie powiedział po prostu?

– Jasne – prychnęła Marcysia. – Ale dał ogłoszenie do gazety, licząc na to, że babcia nagle zaćmy dostanie.

– No ja sam nie wiem właściwie, co o tym myśleć – przyznał tatko. – Ale ogłoszenie jest jak wół. Pokazałbym wam, ale gdzieś mi się ta gazeta zawieruszyła.

– Myślę, że nie ma nic prostszego, jak zwyczajnie zadzwonić do dziadka.

Złapałam za komórkę i po chwili wiedzieliśmy z grubsza, jak się sprawy mają. To nie dziadek sprzedawał dom, ale jego prawowita właścicielka, ciocia Haneczka. Okazało się bowiem, że dziadek domu od niej nie kupił, jak wszyscy łącznie z Iloną sądziliśmy, lecz wynajął. Być może nie spodziewał się, że ich małżeństwo potrwa aż tak długo, i nie chciał się z nią wiązać wspólnym dobytkiem? Tak czy inaczej, Haneczka, która od lat mieszkała za granicą, postanowiła w końcu uregulować swoje sprawy majątkowe w kraju i poprosiła dziadka o wyprowadzenie się. Zastanawiałam się tylko, czemu on sam tego domu nie kupił, ale dziadek, który jak zawsze był mistrzem komplikowania życia sobie i innym, na gwałt zaczął szukać jakiegoś mieszkania. Może nie miał tyle kasy? Nie byłam na tyle ciekawa, by go o to spytać.

Najważniejsze, że był do kupienia dom i to nie pierwszy lepszy, bo prawie nasz rodzinny. Ten dom zawsze bardzo mi się podobał, bywałam w nim jako dziecko, gdy jeszcze zamieszkiwała go Haneczka. Miał taki swój szczególny klimat, a co najważniejsze, wybudowany został na kompletnym odludziu. Nie na zadupiu, a na odludziu właśnie, bo mimo iż do najbliższych zabudowań nie było wcale daleko, nie było dookoła żadnych sąsiadów. Swój wymarzony dom Haneczka postawiła na najwyższym wzniesieniu w mieście, a konkretnie na nasypie utworzonym przez znajdującą się tu podobno przed wiekami kopalnię srebra. Nie wiadomo, czy kopalnia naprawdę istniała, bo nie wspominają o tym żadne źródła historyczne, ale gołym okiem widać, iż wzgórze nie ma naturalnego pochodzenia. Ciocia Haneczka (kobieta piękna, nietuzinkowa i wszechstronnie utalentowana) uwielbiała opowiadać ludziom, że sypia na srebrze. Bez względu jednak na to, co znajdowało się niegdyś pod domem cioci, być może właśnie to coś tworzyło magię tego miejsca.

– Chyba wreszcie będzie choć trochę z górki – odezwała się Marcysia.

– Pod górkę też – odparłam wyrwana z zamyślenia, co niestety, choć głupie i nie na temat, okazało się być w przyszłości prorocze...

– Chciałam powiedzieć, że chyba rozwiąże się nasz najbardziej aktualny problem – wyjaśniła, widząc, że źle ją zrozumiałam.

– Fajnie by było. – Szybko wróciłam do przytomności. – Trzeba zatem obliczyć nasze możliwości finansowe, skontaktować się z Haneczką i zacząć działać.

– To co, kupujemy? – zapytał tatko.

– A będzie nas na to stać? – odpowiedziałam pytaniem.

– Sądzę, że tak. A jeśli nie wystarczy forsy, którą dostałem za knajpę, Haneczka na pewno pozwoli nam resztę spłacić w ratach, jestem o tym przekonany.

I tatko się nie pomylił. Ciocia bardzo się ucieszyła, że dom zostanie w rodzinie, w związku z czym potraktowała nas bardzo ulgowo. W ciągu kilku wieczornych rozmów telefonicznych opowiedziała tacie o powodach swojej decyzji, a musiały być one dla niej naprawdę istotne, skoro wypowiedziała dziadkowi umowę najmu. Haneczka nie była bowiem ani pazerna na kasę, ani w najmniejszym stopniu złośliwa, była za to niesamowicie sentymentalna i to właśnie zdecydowało o losie domu. Okazało się, że całkiem niedawno, powodowana jakąś pilną urzędową sprawą, wpadła na chwilę do kraju, i mimo iż tego zupełnie nie planowała, postanowiła rzucić okiem na swoje włości. Zabawiła tam godzinę jedynie, bo stan, do którego dziadek z Iloną doprowadzili i budynek, i ogród, „rozdarł jej serce na kawałki”.

– Bo wyobraźcie sobie – relacjonował nam prawie tak samo wzburzony jak ona tatko – wyglądało tam jak w melinie. Ilona, która nigdy nie lubiła sprzątać, od pewnego czasu całkiem sobie tę czynność darowała, Grzesiowi zaś panujący bajzel zwiślał i powiewał, gdyż czas spędzany w domu ograniczał do okazjonalnych noclegów. Jego żona chłapała zatem coraz więcej i w sumie nie wiadomo w końcu, co było skutkiem, a co przyczyną. Dość, że Haneczka zastała w swoim wychuchanym gniazdku sterty butelek i śmieci, lepkie od brudu i wilgoci ściany, bo dach zaczął przeciekać i nie było komu go naprawić. Jej ukochany, układany w mozaikę dębowy parkiet był kompletnie zdewastowany, bo Niunia paliła nim w kominku. Antyczne meble miały poobrywane drzwiczki, witryny powybijane szyby, z porcelanowej zastawy po prababce nie zostało nic.

– Przecież... byłam tam jakoś niedawno i nie widziałam aż takiej degrengolady – wyrwało mi się, bynajmniej nie w obronie Ilony.

– Niedawno, czyli kiedy? – spytała Marcysia.

– No... jakieś... jakieś... – Zaczęłam liczyć w pamięci. – Pięć lat temu?

– To faktycznie niedawno. – Tatuś uśmiechnął się ponuro.

– Fakt – przyznałam. – To wystarczająca ilość czasu, by obrócić dom w ruinę.

– I to właśnie przeważało o jego sprzedaży. Haneczka bardzo nie chciała tego robić, ale w końcu uznała, że lepiej, aby poszedł w obce ręce, niż miałby zostać całkiem zrównany z ziemią.

– W takim razie z pewnością będzie zadowolona z rozwiązania tej sytuacji.

– Jest zadowolona – podkreślił tatuś aktualny stan rzeczy. – Ja też, bo Haneczka wyszła z propozycją, żebyśmy za pieniądze, które mamy, przeprowadzili w domu remont, a ona odliczy nam wszystkie koszty od jego ceny. Przyjedzie do Polski w maju, wówczas załatwimy sprawę formalnie i uregulujemy kwestie

finansowe. Czekamy zatem, aż Grzegorz się wyprowadzi, i ruszamy do dzieła, córeczki. Do przyjazdu ciotki zdążymy zrobić willę na błysk!

Na te słowa rzuciłyśmy się tatce na szyję. Każde z nas natychmiast uruchomiło wyobraźnię, widząc już oczyma duszy nasz pierwszy, własny, z prawdziwego zdarzenia dom i sielskie, spokojne życie z dala od wszystkich irytujących spraw świata tego.

\* \* \*

Dziadek wraz z małżonką opuścili dom Haneczki nadspodziewanie szybko i spodziewanie dyskretnie. Tatko dostał od niego SMS-a, gdy było już po wszystkim. Nic dziwnego, że ulotnili się cichaczem, zważywszy na to, w jakim stanie zostawili dotychczasowe mieszkanie. Wszyscy byliśmy jednak tak szczęśliwi, że ani w głowie nie było nam robienie im wyrzutów, a już broń Boże żądanie, by doprowadzili dom do w miarę przyzwoitego stanu, bo to mogłoby wszystko znacznie przedłużyć. Pracowaliśmy pełną parą, przez pierwszy tydzień wywożąc ciężarówkami śmieci i porzucony w pośpiechu, badziewny dobytek poprzednich lokatorów. Tatko dwoił się i troił, chcąc jak najwięcej prac remontowych zrobić samemu i jednocześnie utrzymać ostatnie swoje miejsce pracy, czyli hurtownię, na dotychczasowym poziomie. Było to już niestety nasze ostatnie, jedyne źródło utrzymania i gdyby nie zaoferowane przez naszą sentymentalną Haneczkę odliczenie kosztów remontu domu od jego ceny, doprowadzenie go do możliwości użytkowania zajęłoby nam nie miesiące, a lata.

Zapał, optymizm i poczucie, że oto otwiera się przed nami nowy rozdział życia, dodawały nam siły do pracy i energii twórczej, tak potrzebnej w dziedzinach, gdzie dobry pomysł może czasem zastąpić spory wydatek.

## ROZDZIAŁ XIII

### Makabryczny numer cioci Haneczki

Był maj, pogoda przepiękna, panosząca się już do-okoła soczysta, młoda zieleń pięknie wpisała w swój naturalny krajobraz nową wersję stojącego tu od lat domu. Szczególnie pięknie prezentował się jego rudy dach z prawdziwej dachówki, piaskowa elewacja i ciemnobrązowe balustrady wokół tarasu i wzdłuż schodów. Taras, ocieniony starymi krzewami kolorowo kwitnących bzów, stanowił dla nas prawdziwie sielski zakątek, gdzie moglibyśmy wypić wieczorną filiżankę kawy czy nawet lampkę wina. Siadywaliśmy sobie tam we trójkę na zakończenie każdego dnia i snuliśmy fantazje na temat tego, jakie wrażenie uczynią na Haneczce nasze starania. Ciocia miała się zjawić u nas już za dwa tygodnie i jakkolwiek do zakończenia prac remontowych czas leciał nam jak szalony, teraz jakby zwolnił, nie pozwalając nam się doczekać finału całej sprawy.

Jeśli chodzi o mnie, ten nadspodziewany luz powinien mi być na rękę. Na mojej uczelni zbliżała się sesja egzaminacyjna, ale ta rozszalała wiosna, kwitnący bez i sączone leniwie winko w towarzystwie najbliższych jakoś nie sprzyjały nauce. Moja dusza i umysł bujały w przestworzach, serce i ciało natomiast odczuwały dotkliwy deficyt dotyku męskich dłoni. Mimo wszystko starałam się, nie chcąc wprowadzić w nasze unormowane życie zgrzytu w postaci oblanych egzaminów, i uczyłam się na tyle, na ile pozwalały mi błogie rozleniwienie i niepokojące ciało chucie. Niespotykany komfort ostatnich tygodni sprawił, że każdą odczuwaną niedogodność przeżywałam teraz w dwójnasób. Uznałam zatem, że zarówno dla dobra mojego, jak i mojej edukacji, a co za tym idzie, całej mojej rodziny będzie lepiej, gdy problemowi jak najszybciej zaradzę. Najprostszym rozwiązaniem było odnowienie znajomości z Damiankiem, mimo że nasze rozstanie, za sprawą interwencji tatki, mogło być dla niego bardziej niż niemiłe...

Pewnego pięknego, ciepłego wieczoru, gdy bzy pachniały jeszcze upojniej, a rozgwieżdżone niebo skrzyło się niczym sylwestrowe fajerwerki (w każdym razie i ja, i moje hormony tak to widziały) sięgnęłam do torebki po portmonetkę, by stwierdzić, czy stać mnie będzie na kolejny, niekoniecznie pilny przegląd mojego auta. Nie było. Mogłam sobie od biedy pozwolić na wymianę żarówki i mniejsza o to, że wszystkie były sprawne. Póki co oczywiście, ale skoro prawidłowe oświetlenie samochodu jest jednym z elementów bezpieczeństwa kierowcy, uznałam, że jego stan wymaga natychmiastowego sprawdzenia. Poinformowałam zatem tatkę i Marcysię, że nagle skroił mi się pewien pilny wyjazd, i nie czekając,

aż zaczną zadawać pytania, na które trudno mi będzie logicznie odpowiedzieć, pobiegłam do auta.

Damianka zgodnie ze swoimi przewidywaniami zastałam w warsztacie. Trudził się widać z jakąś pilną naprawą, był cały brudny od smaru i lekko spocony. Zdziwił się na mój widok.

– A... Aga? Co ty tu robisz? – Spojrzał na mnie z perspektywy oddolnej, wysuwając głowę spod reperowanego właśnie auta.

– Sprawę mam, pilną – odparłam krótko i zwięźle.

Damianek dość opieszale porzucił dotychczasowe zajęcie, wytarł dłonie w kombinezon i stanął naprzeciw mnie.

– Kłopoty są? – spytał z niewyraźną miną.

– Tak, żarówka mi wysiadła – odpowiedziałam szybko.

Zbyt szybko, bo gdybym zorientowała się sekundę wcześniej, o jakie kłopoty pyta, chętnie pociągnęłabym ten wątek, ciekawa jego reakcji. Damianek odetchnął z ulgą, a ja uświadomiłam sobie, że przecież nie po to tu przyszłam, żeby straszyć go niechcianym ojcostwem. Ten chwilowy przestrah jednak zrobił swoje, bo chłopak stał się znacznie miłszy.

– Okej, mała, zaraz to sprawdzimy. – Uśmiechnął się szeroko. – Wskakuj do auta i dawaj wszystkie światła po kolei.

Zrobiłam, co kazał, a Damianek patrzył z uwagą.

– Wygląda na to, że wszystkie żarówki działają – skonstatował. – Ale może... czasowo coś nie styka? Otwórz maskę, zobaczymy, co jest grane.

Zrobiłam to, wysiadłam z samochodu i podeszłam do niego. Mechanik pochylał się nad maską, a ja razem z nim, dbając przy tym, by mój wydekoltowany biust był przez cały czas na wysokości jego oczu. Damianek stawał się coraz bardziej rozproszony, wreszcie zatrzasnął klapę, wyprostował się i stanął naprzeciwko mnie. Podeszłam bliżej i wspiełam się na palcach.

– Wjedziesz mi na kanał? – szepnęłam mu do ucha. – Trzeba będzie sprawdzić styki...

To chyba przekroczyło granice jego wytrzymałości, bo złapał mnie mocno za ramiona, odwrócił tyłem i rzucił na maskę.

– Tego chcesz? – szeptał, jedną ręką wyzwalając się z kombinezonu, a drugą mnie z bielizny. – Tego?

– Tak – jęknęłam i chwyciłam się wycieraczek.

Wszystko odbyło się szybko i gwałtownie i trwało znacznie krócej, niżbym sobie tego życzyła. Po wszystkim chłopak wciągnął na siebie z powrotem opuszczony do kolan kombinezon, sam już otworzył maskę i rzucił okiem na żarówki.

– Tak czy inaczej, wkręcę ci nowe – oznajmił. – To będzie dziewięćdziesiąt zeta: trzy dychy za materiał, trzy dychy za robotę i trzy dychy za ekspres.

– Za ekspres... – powtórzyłam bezwiednie. – I co im jest? Tym moim żarówkom?

– Nie wiem. Napięcie w porządku, styki okej, wszystko świeci.

– Na... napięcie w porządku??? – wrzasnęłam poirytowana, bo w końcu nie po to tłukłam się do niego po nocy, by dać się zaliczyć w minutę i piętnaście sekund, nic z tego nie mieć i na dodatek wyskoczyć z ostatniej stowy. Prawie stowy...

– A nie? – dziwił się Damianek.

– Nie! Natężenie i owszem, ale napięcia zero! Wy faceci zawsze macie napięcie gdzieś, bo wam zawsze świeci, byle styki były pod ręką. A tu właśnie o napięcie chodzi. O na-pię-cie! Dawaj te żarówki, sama sobie je wkręcę i nie zapłacę ci ani grosza. A za ekspres to ty mi wiesz, a nie ja tobie!

– Wariatka – bąknął Damianek zdumiony, ale żarówki mi wręczył. – Co ty sobie w ogóle, laska, myślisz, że kim ty jesteś? Mojej dziewczynie nawet do pięć nie dorastasza... Gruba jesteś, nieciekawa i niezadbana.

– A, więc teraz mamy dziewczynę? – zachichotałam. – Współczuję nieboraczce w takim razie.

– A czegoż to, jeśli można wiedzieć?

– No bo jeśli wystarczy, że jakaś gruba, nieciekawa dziewczucha wypnie tyłek, a jej facet natychmiast zaczyna myśleć futem, to przekaz jej moje wyrazy ubolewania.

Wsiadłam do auta, trzasnęłam drzwiami i odjechałam. Puściłam radio na cały regulator, żeby nie słyszeć własnego szlochania, miejscami przechodzącego w spazmy. Gnojek! – roztkliwiałam się nad sobą. – Z drugiej zaś strony ja sama tego chciałam... ale nie tak, do cholery! Czyżby matka naprawdę miała rację, że każdy facet nadaje się wyłącznie do szybkiego, bezmyślnego bzykania? A co z grą wstępną, że już o czułych słowach i gestach nie wspomnę? Ganiłam się i żałowałam swojego głupiego pomysłu. Dojeżdżając do domu, ryczałam już na swój własny temat, że być może to ze mną jest coś nie tak... Bo czemu nigdy dotąd seks nie dawał mi żadnej przyjemności? Żadnej, ale to żadnej? A po nim czułam się zawsze jak na straszliwym kacu?

– Jesteś! – Marcysia wpadła na mnie w holu, mimo iż zamierzałam niespostrzeżenie przemknąć do swojego pokoju.

– Jestem. Nie zapalaj! – spróbowałam ją powstrzymać przed włączeniem światła, niestety bezskutecznie.

– O rany boskie, kurde jego mać katarzyniarza w mordę jedyną! – Siostra wyrzuciła z siebie spontaniczną, autorską wiązanekę. – Co ci się stało? Zgwałcił cię ktoś, czy co?

– W pewnym sensie – odparłam. – Zależy, z której strony na to spojrzeć...

– Ty kogoś zgwałciłaś? – zarechotała. – No to musiał walczyć do upadłego,

sądząc z twojego stanu.

Podeszłam do lustra. Włosy miałam potargane, rozmazany na pół twarzy tusz do rzęs, a na ramionach, szyi i talii czarne ślady łap Damianka.

– Daj mi już dziś spokój, Marcysiu, okej? – wyszeptałam zmęczonym głosem. – Jedno ci tylko powiem i zapamiętaj to sobie na zawsze: faceci to pizdy.

Nie wiem, co moja siostra sobie pomyślała, nie zależało mi na tym w tej chwili. Jedyne, o czym marzyłam, to by jak najszybciej wziąć prysznic i móc normalnie zasnąć.

\* \* \*

Tak czy inaczej, mogłam w końcu stwierdzić, że terapia Damiankiem pomogła. Moje hormony na jakiś czas przestały wierzgać, a nawet poszły na współpracę, pozwalając mi skoncentrować się na sprawach o wiele ważniejszych niż męskie przyrodzenia. Do przyjazdu ciotki zaliczyłam trzy egzaminy i dwa kolokwia, zaczęłam też biegać, by zrzucić kilka kilo, i nie dlatego, że Damian nawtykał mi od grubasek. Albo dobra, przyznaję, że dlatego właśnie, ale z pewnością nie dla niego ani jakiegokolwiek innego kutaфона. Dla siebie, w myśl hasła: nowy dom, nowe życie, nowa ja. Dzięki temu, gdy nadszedł dzień przylotu Haneczki, mogłam włożyć na siebie, co chciałam, bez obaw, że to czy owo wyeksponuje mi się w sposób niepożądany. Chciałam zrobić na niej wrażenie, bo ciotka zawsze ogromnie mi imponowała: urodą, sylwetką, stylem ubierania i stylem bycia.

Haneczka była siostrą dziadka Grzesia, o tyle jednak od niego młodszą, że teraz właśnie przeżywała swój najlepszy okres kobiecej dojrzałości. Do Stanów wyjechała piętnaście lat temu powodowana miłością do czarnoskórego Ethana, którego wyrwała na dyskotece w Krakowie. Ethan, gówniarz jeszcze wtedy, natychmiast oszalał na jej punkcie i tego samego roku jesienią przyjechał do Polski na studia. Zaiskrzyło. Haneczka, mająca w genach, jak wszyscy w naszej rodzinie, jakieś seksualne ADHD, o dziwo ustatkowała się przy jego boku, w trzy lata zbudowała dom, w którym zamierzała z Ethanem zamieszkać. Niestety, nie wypaliło. Nie z jego czy jej powodu, ale zaściankowej mentalności mieszkańców naszego miasteczka. Nikt spośród nich nie widział dotąd żywego Murzyna, i Ethan natychmiast stał się miejscową sensacją, obiektem kpin i ataków, ciotka zaś przedmiotem ogólnego potępienia. Pomieszkali w tym domu raptem dwa lata, po czym postanowili przeprowadzić się do Stanów. Byli nad podziw udaną parą, niestety, rok temu jej czarnoskóry ukochany uległ śmiertelnemu wypadkowi i Haneczka została sama. Na razie nie zamierzała wracać do Polski, bo wszystko, co łączyło ją i kojarzyło się jej z Ethanem, znajdowało się w Ameryce, ale gdy podczas krótkiej wizyty w kraju zobaczyła, w jakim stanie jest jej ukochany dom, postanowiła go sprzedać i jak najszybciej zapomnieć o tym miejscu. Miejscu oraz

ludziach...

– Aleś się wystroiła, ja cię nie mogę. – Marcysia przerwała mi rozmyślenia o Haneczce, wpadając do łazienki, gdzie dokonywałam ostatnich makijażowych poprawek.

– Bo czemu nie? – Okręciłam się wokół własnej osi, prezentując jej w pełnej krasie moją nową sukienkę.

– Nawet nieźle – podsumowała Marcysia i wypchnęła mnie sprzed lustra. – A teraz, proszę pani, pięć minut dla prawdziwej gwiazdy.

– Taaa, gwiazdy. – Spojrzałam wymownie na jej dzinsy z dziurami na kolanach i T-shirt z napisem „zajebista ze mnie glista”.

Nie miałam ochoty na przekomarzanki, więc ewakuowałam się, zanim siostra zdążyła mi odpowiedzieć. Usiadłam sobie na tarasie i czekałam, wypatrując taksówki, bo Haneczka nie chciała, żebyśmy odbierali ją z lotniska. Ojciec od rana pichcił w kuchni, a ponieważ zabronił nam do niej wstępu, nie miałam żadnego towarzystwa. Godzina do spodziewanego przyjazdu ciotki dłużyła mi się niemiłosiernie, ale czas, choćby nie wiem jak bywał złośliwy, musiał posuwać się naprzód, i w końcu się doczekałam. Zbiegłam z tarasu do ogrodu, by przywitać ciotkę, zanim zrobi się przy niej tłok.

– Aga, jaka ty jesteś... rasowa – powiedziała między jednym cmoknięciem a drugim.

Byłam przeszczęśliwa, bo to określenie w ustach Haneczki stanowiło największy komplement, jakim raczyła obdarzyć coś lub kogoś.

Wzięłam od niej walizkę, która swoim rozmiarem i ciężarem nie zapowiadała dłuższego pobytu ciotki w kraju. Gdy już wszyscy obściskali ją do syta i tata zaczął nakrywać do stołu, Haneczka zaprotestowała, żądając najpierw chwili odpoczynku dla siebie. Zaprowadziłam ją więc do przygotowanej dla niej sypialni, trochę rozczarowana, że nie miała życzenia od razu obejrzeć domu. Ciotka odpoczywała do późnych wieczornych godzin, a gdy się w końcu pojawiła, trzymała w dłoni butelkę whisky, którą zamierzała uczcić nasze spotkanie.

– Dawajcie prędko kielichy, zaczniemy od toastu – oznajmiła, uśmiechając się nieznacznie.

– Za nas? – spytał tatko.

– A za kogóż by innego? Na szczęście nie ma między nami żadnych intruzów.

Ciotka nawiązała do swojej prośby, którą wyraziła przed przylotem, by nie robić z tej okazji żadnego rodzinnego spędu. Prosiła wręcz, by jej wizytę zachować w tajemnicy. Nie dociekaliśmy dlaczego, widocznie po prostu nie miała ochoty widzieć się z pozostałymi członkami rodziny. I dobrze, bo Haneczka była wyjątkowo nieimprezowa, najwyraźniej ciągle jeszcze cierpiała z powodu śmierci Ethana. Po szczegółowym zdaniu relacji, co u kogo z nas słyhać, zapadła

smętnawa cisza. Tatko wyglupiał się, jak umiał, by ożywić nieco atmosferę, wracał do co przyjemniejszych wspomnień, komplementował Haneczkę i adorował. Niestety, cały jej temperament gdzieś się ulotnił, więc dał sobie w końcu spokój.

– A... ten notariusz przyjedzie jutro z rana? – upewniła się w pewnym momencie ciocia.

– Tak, między dziesiątą a jedenastą – potwierdził tatko. – Tak ci pilno do podpisania cyrografu?

– Po to tu przyleciałam, jak by nie było. Najpierw niech już ten dom będzie wreszcie wasz, potem zaszalejemy. – Ciocia puściła do niego oko. – Porywam was na kilka dni do Zakopanego, co wy na to?

– Do Zakopanego? – zdziwiła się Marcysia. – Myśleliśmy, że zechcesz tu jeszcze przez kilka dni pomieszkać...

– O, nie, nie – zaprotestowała ze śmiechem. – Jeszcze bym się rozmyśliła, i co wtedy?

– W takim razie, dziewczyny, kierunek Zakopane – podjął szybką decyzję tatko.

– A twoja praca? – spytałam, bo w naszej obecnej sytuacji zamknięcie hurtowni, choćby na kilka dni, oznaczało chwilowe zaciśnięcie pasa.

– Nie zając. – Tatko wzniosł w górę swój kieliszek. – Należy nam się kilka dni odpoczynku jak psu micha.

– O, tak – przyznała Haneczka, rozglądając się do-okoła wzrokiem pełnym aprobaty.

I to w zasadzie był jedyny komplement z jej strony pod adresem naszych starań.

\* \* \*

Notariusz zjawił się kilka minut po dziesiątej. Rozłożył na stole w kuchni laptop i wszystkie potrzebne dokumenty, ale Haneczka jeszcze spała, więc poprosiliśmy, żeby trochę zaczekał. Pan Bradło, bo tak się nazywał, wypił kawę, zjadł sernik, potem wypił jeszcze jedną kawę, a ciocia wciąż się nie pokazała. Gdy zaczął nerwowo przebierać palcami, postanowiłam pójść ją obudzić.

– Ciociu – szepnęłam najpierw dość cicho, by jej nie przestraszyć, potem powtórzyłam kilka razy głośniejszym głosem, ale nie zareagowała.

Obeszłam łóżko z drugiej strony, żeby spojrzeć w jej odwróconą w stronę okna twarz, i... zamarłam. Haneczka miała szeroko otwarte, nieruchome oczy i sinoblade usta.

– Ciociu! – krzyknęłam wreszcie na cały głos, szarpiąc ją za ramię, ale ono bezwładnie opadło na łóżko.

Wybiegłam z sypialni, wrzeszcząc wniebogłosy, by ktoś zadzwonił po pogotowie, i tatko błyskawicznie, bez zbędnych pytań wykonał moje polecenie.

Niestety, było już na to za późno. Haneczka według słów lekarza zmarła zaraz po północy, najprawdopodobniej na zawał serca. Byliśmy wszyscy, łącznie z notariuszem, w sporym szoku. Zdolność myślenia i mowy odzyskał najszybciej ten ostatni.

– Kto dziedziczy po zmarłej? – zapytał.

– Nie wiem... – bąknął tata. – Nie miała legalnego męża ani dzieci...

– Rodzice? Rodzeństwo?

– No to chyba dziadek Grzesiek jedynie – powiedziałam, choć jego pytania wydawały mi wtedy się absolutnie nie na miejscu.

– Żyjący? – drążył notariusz.

– Owszem.

– Wobec tego, jak już państwo załatwią wszystkie sprawy związane z pochówkiem i dojdą trochę do siebie, proszę o kontakt. – Prawnik wyjął z portfela swoją wizytówkę, pewnie na wypadek gdybyśmy poprzednią zgubili, i położył ją na stole obok wizytówki zakładu pogrzebowego, którą zostawił lekarz.

– Miałaś rację, Aga. Raczej nie będzie z górki tylko pod górkę – podsumowała smętnie Marcysia po jego wyjściu.

– Musimy teraz wziąć się w garść, biadolić będziemy później – powiedział tато przytomnie. – Nie możemy przecież zostawić Haneczki w łóżku.

Nie chce mi się opisywać koszmaru, jaki przeżyliśmy w tym dniu i kilku następnych. Najwięcej zdrowego rozsądku w każdym razie zachowała Marcysia, która Haneczki prawie wcale nie pamiętała i bolała nad jej śmiercią o wiele mniej niż my z tatą. Wygooglowała jeszcze tego samego dnia ustawę o dziedziczeniu i wyszło jej, że gdyby dziadek zrzekł się spadku, kolejnymi zstępnymi będą mama i Goguś, a gdyby oni również się zrekli, następne byłybyśmy my z Marcysią. Moja siostra podjęła się poinformowania rodziny o wizycie Haneczki i jej niespodziewanej śmierci, a także wysondowania spadkobierców, czy byliby skłonni odrzucić spadek w zamian za podzielone pomiędzy ich trójkę pieniądze, jakie mieliśmy zapłacić cioci. Całkiem nieoczekiwanie dla nas wszyscy zgodzili się na takie rozwiązanie, a nawet na partycypowanie z tych środków w kosztach pogrzebu i stypy.

– Nie są znowu tacy najgorsi – podsumowała Marcysia zaraz po przekazaniu nam tych informacji.

– Owszem, ale tylko w najbardziej dramatycznych sytuacjach – spuentował tatuś.

– Dobrze i to – mruknęła Marcysia pod nosem. – W takim razie podzwonię i poszukam miejsca na stypę.

\* \* \*

Na pogrzeb Haneczki przyszło mnóstwo ludzi. Część spośród nich

z pewnością znała ją w przeszłości, pamiętała i darzyła sympatią, ale byli i tacy, których na tę smutną ceremonię przywiodła zwykła ciekawość czy wręcz potrzeba ewentualnej sensacji. Ci odeszli z niedosytem, bo nic nieprzewidzianego się nie wydarzyło. Jedyne msza pogrzebowa i pochówek na parafialnym cmentarzu kosztowały nas nieco więcej niż zwykle, ponieważ ksiądz ze względu na niemoralne prowadzenie się ciotki (czyli życie w konkubinacie i na dodatek z Murzynem) nie chciał wprowadzić trumny do kościoła. Za odpowiednią opłatą zmienił zdanie, a nawet dość ciepło wyrażał się o cioci podczas kazania, co z pewnością niektórym mocno rozczarowało. Stypa w gronie najbliższych Haneczce osób przebiegła godnie i spokojnie, wszystkie rozmowy poświęcone były jej i tylko jej, i mimo że uroczystość była mocno zakrapiana, każdy z gości do końca trzymał fason.

Dziadek Grześ pojawił się bez Ilony, co natychmiast wykorzystała babcia Kundzia, intensywnie dotrzymując mu towarzystwa. Na pytanie Gogusia, gdzie to podziewa się jego małżonka, odparł krótko, że nie układa się ostatnio między nimi najlepiej, ale nie jest to pora i miejsce, gdzie miałyby się nad tym rozwodzić. Miał rację, zwłaszcza że powód nieobecności Ilony na pogrzebie mógłby nas wszystkich pogrążyć w jeszcze głębszej żałobie... Okazało się bowiem, ale to już nieco później, że nikt z nas we wstępnych kalkulacjach spadkowych nie wziął pod uwagę Jaśka, syna Ilony i dziadka, w związku z czym wszyscy zrzekający się po Haneczce spadku zrobili młodzieńcowi zgoła nieprzewidziany prezent, czyniąc go jedynym i niekwestionowanym spadkobiercą. Ilona, nie chcąc nikomu swoim widokiem zasugerować udziału Jaśka w całej sprawie, nie przyszła po prostu na pogrzeb, mało tego, odczekała, aż mama, Goguś i dziadek dopełnią wszystkich formalności, i dopiero wówczas oboje wytoczyli działa. Kupno domu Haneczki po rynkowej cenie w ogóle w naszym przypadku nie wchodziło w grę, w każdym razie na pewno nie prędko, a Jaśkowi bardzo się śpieszyło. A ponieważ sam teraz mieszkał za granicą, chciał sprzedać dom, zgarnąć kasę i wrócić do siebie. W grę pewnie wchodził też jakiś amerykański spadek po Haneczce, ale to nas już kompletnie nie interesowało. Tato próbował jeszcze z Jaśkiem pertraktować w celu rozłożenia płatności za dom na raty, ale on nawet nie chciał o tym słyszeć, gnojek jeden, na chińskich zupkach chowany... I nie żeby mu ta forsa była na gwałt potrzebna, bo finansowo miewał się lepiej niż dobrze, ale cóż zrobić, prawo prawem, Jasiek Jaśkiem, a my znów byliśmy w czarnej dupie...

Po kilku dramatycznych dniach podszytych żalem, lękiem i wreszcie wściekłością, ojciec ruszył głową i po rozważeniu kilku różnych możliwości w końcu zaczął ubiegać się o kredyt. We frankach, bo w owym czasie było to najlepsze rozwiązanie z możliwych. Jasiek poszedł nam na rękę o tyle, że po otrzymaniu połowy należności w gotówce zgodził się zaczekać na resztę pieniędzy do chwili uzyskania kredytu. To było do zrobienia, pod warunkiem że... tato

sprzeda hurtownię. Wymyśliliśmy zatem, że aby jakoś przeżyć, tatko będzie musiał jak najszybciej znaleźć pracę, ja niestety już nie będę mogła sobie pozwolić na płatne studia, a zatem albo dziekanka, albo całkowita rezygnacja i rzecz jasna również jakaś praca. Trochę nam to wszystko namieszało w życiu, nie mając jednak innego wyjścia, musieliśmy się szybko przestawić na inne tory. Ale kiedy już wreszcie udało nam się kupić ten dom, odetchnęliśmy z ulgą.

Na początku nie było aż tak dramatycznie, tatko podjął pracę w hipermarkecie z elektroniką w charakterze ochroniarza, biorąc dodatkowo wszystkie dorywcze prace, jakie mu się nawinęły, ja zaś w niedługim czasie załapałam się do pracy w biurze dużej firmy zajmującej się testowaniem i wystawianiem certyfikatów dla odlewanych ze stali części maszyn górniczych. Pieniądze, jakie mi tam zaproponowano, były większe niż wypłata tatki razem ze wszystkimi obrywami. Marcysia w ramach wkładu własnego w naszą sytuację znacznie ograniczyła swoje materialne potrzeby i tak sobie żyliśmy, chciałoby się powiedzieć, długo i szczęśliwie. Niestety, nic bardziej mylnego.

## ROZDZIAŁ XIV

Czaruś

Boże, jaki wieśniak – to była moja pierwsza myśl, gdy zobaczyłam faceta, który miał zostać moim szefem. Niewysoki, niespecjalnie zgrabny, z durnowatym wąsem na gębie i wpuszczonymi w cholewki kozaków nogawkami garniturowych spodni. Nie zatarł tego wrażenia nawet wówczas, gdy się odezwał.

– Czarek. – Podał mi rękę na przywitanie. – Mam nadzieję, że będzie nam się razem dobrze współ... echem... współpracowało.

Tu zmierzył mnie wzrokiem z góry na dół, a moje trzy przyszłe koleżanki obrzuciły mnie niechętnymi spojrzeniami. Trochę mnie to rozbawiło, bo jeśli poczuły się zazdrosne o szefa, to zupełnie bezpodstawnie. Pomyślałam sobie, że nawet gdyby był ostatnim samcem na Ziemi, jego buraczany image gwarantował mu całkowitą nietykalność z mojej strony. Po pewnym czasie uznałam, że on chyba odniósł inne wrażenie, bo zaczął mnie wyraźnie adorować. Na początek kilka razy poprosił mnie o dłuższe pozostanie w pracy, kusząc trzykrotną stawką za nadgodziny, co w naszej sytuacji finansowej było naprawdę nie do pogardzenia. Pierwsze dwa dni takich „nadgodzin” nie wzbudziły we mnie żadnego niepokoju, robiłam, co do mnie należało, pod koniec dniówki szef zamawiał coś na ząb i butelkę wina w charakterze dodatkowej premii. Z alkoholu jako osoba dojeżdżająca do pracy autem nie korzystałam, a i z wyżerki niezbyt obficie z powodu nieustającej diety. Puszczalam również mimo uszu komplementy, którymi mnie obdarzał, jeśli nie dotyczyły moich działań służbowych.

Taka postawa sprawiła, że Czaruś na jakiś czas przestał dawać mi dodatkowe zlecenia. Zauważyłam jednak, że patrzy na mnie z coraz większym zainteresowaniem i tak kombinuje, by jak najczęściej, pod byle pretekstem, móc mnie dotknąć. A to podając mi coś do ręki, a to otrzeć się o mnie, przechodząc obok w bliższej odległości niż to konieczne, to znów uczynnie ścierając mi z policzka plamkę, której tam nie było. Irytowało mnie to rzecz jasna, póki jednak nie przekraczał pewnej granicy, nie robiłam z tego problemu, zwłaszcza że bardzo zależało mi na pracy. Problem natomiast robił się zupełnie niezależnie ode mnie w relacjach z koleżankami z pracy. Od początku były mi niezbyt przychylny, a wraz z nasilaniem się awansów Czarusia, z którymi wcale, nawiasem mówiąc, się nie krył, było coraz gorzej.

– Możecie mi powiedzieć, o co wam chodzi? – spytałam, nie wytrzymując już kolejnego nieuzasadnionego focha.

– Nie rozumiem? – Jego autorka, płomiennoruda Aneta, uniosła w górę

wypielęgowane brwi.

– No właśnie – poparła ją druga, również Aneta, dla odmiany krucza brunetka.

– Czepia się chyba po prostu – skomentowała Marcela, blondynka z wyglądu i charakteru.

– Nie, nie czepiam się – odparłam spokojnie. – Widzę przecież, że coś do mnie macie, ale nie wiem co...

Dziewczyny jak na komendę wzruszyły ramionami i powsadzały nosy w ekrany swoich komputerów.

Dziwna dla mnie była ta sytuacja, ponieważ one same wyglądały, jakby lada chwila miały sobie skoczyć do gardeł, jednak w niechęci do mnie stanowiły wyjątkowo zgrane trio. Postanowiłam zatem, skoro już zaczęłam, dociekać dalej, posiłkując się pytaniami pomocniczymi.

– Chodzi wam może o szefa? O to, że robi do mnie oczy?

Dziewczyny milczały.

– No dobra, a jeśli faktycznie o to, skupcie się raczej na nim, nie na mnie. Mnie jego umizgi zupełnie nie interesują.

– Akurat – bąknęła Marcela. – Tak się tylko mówi, a myśli całkiem co innego...

– A nawet jeśli? – spytałam zaczepnie.

– W takim razie poinformuję cię o czymś – dorzuciła ruda Aneta. – Szeff ma żonę i dziecko.

Chyba mnie to wkurzyło. Bo jakim prawem te trzy puste lale mogły podejrzewać mnie o chęć puszczenia się z nim?

– Tak? A wy co? Wynajęte jesteście przez nią do ochrony jego cnoty?

– Bezczelna – prychnęła czarna Aneta i na tym temat się zakończył.

Nie dla Czarka, niestety. Facet stawał się coraz bardziej zdeterminowany, a sztuczki, które stosował, nie pozwalały mi na ostrzejszą reakcję, gdyż ich pretekstem zawsze były zadania służbowe. A to dyktował mi coś u siebie w gabinecie, to znów zabierał swoim autem na rozmowy z kontrahentami. Jego słowa, a także czyny stawały się coraz śmielsze, nie na tyle jednak, by trzeba było mu w końcu dać w pysk i zrezygnować z posady lub czekać, aż sam mnie wyrzuci. Na pracy cholernie mi zależało, zarabiałam bardzo dobrze i naprawdę nie chciałam żadnych kłopotów. Ale gdy próbowałam delikatnie z nim na ten temat porozmawiać, udawał zdziwionego i twierdził, że przecież niczego złego nie robi, lubi mnie po prostu i tyle. Niestety, jego sympatia do mnie z czasem przybrała takie rozmiary, że któregoś razu na sam koniec dniówki wezwał mnie do siebie, złapał w pół, przycisnął do ściany i przyssał się wargami do moich ust. Nie zdążyłam nawet zareagować i w tym momencie do gabinetu wtargnęła ruda Aneta, która już przecież kilka minut temu wyszła do domu. Czarek odskoczył ode mnie

jak oparzony i zapytał, czy czegoś zapomniała.

– Mam zbyt dobrą pamięć, by o czymkolwiek zapomnieć – odparła zmijowato.

Złapałam torebkę i wybiegłam z gabinetu. Byłam wściekła. Na niego, na siebie za kompletny brak refleksu i na Anetę, która pewnie tylko czyhała, by mnie zastać w podobnej sytuacji. Strażniczka cudzej cnoty się znalazła...

Do domu dojechałam jeszcze bardziej wściekła, nakręcając się po drodze wspomnieniem całego zajścia. Przy wjeździe na naszą posesję dostrzegłam wielkiego białego dodge'a, którego właściciel co jakiś czas beztrudno parkował na naszym terenie. To wkurzyło mnie jeszcze bardziej, a ponieważ tym razem nawinął mi się pod rękę kierowca, postanowiłam skorzystać i z okazji, i z nastroju, by proceder skutecznie zakończyć.

– Czy to już nie jest lekka przesada? – spytałam gniewnie, podchodząc do odwróconego do mnie tyłem kołosa. – Ja rozumiem, że można raz, w pilnej sytuacji zostawić samochód na cudzym podjeździe, no, nawet i dwa, ale z tego, co widzę, pan się tu już całkiem zadomowił!

Mężczyzna odwrócił się w moją stronę, co odrobinę zbiło mnie z pantofelki, bo okazał się zajebiście przystojny. Wysoki, smagły, z czarnymi włosami spiętymi w niedbały kucyk i piorunująco błękitnymi oczami. Moja konsternacja nie trwała jednak długo, gdyż akurat przeżywałam fazę niechęci do całej męskiej populacji.

– No? Co się pan tak patrzy? Może należałoby przeprosić i odjechać?

Facet uśmiechnął się, jakby wcale niezrażony moim wywodem, i przez chwilę patrzył na mnie w milczeniu.

– Niesamowite... Nieprawdopodobne... To... pani tu teraz mieszka? – spytał głupawo.

– Zgadza się. Nie wiem, co w tym niesamowitego, i wszystko mi jedno, radzę jednak nie nadużywać mojej cierpliwości, okej?

– Jasne, już się zmywam – odparł, wsiadł do auta i pośpiesznie odjechał.

– Coś ty taka wściekła? – spytała Marcysia, widząc, jak z impetem rzucam na krzesło torebkę, jakby to ona była winna czemukolwiek.

– Bo... Bo wszystko mnie wkurza dzisiaj! Najpierw szef, a potem jakiś dureń przed naszą bramą.

– Karol?

– Jaki znowu Karol?

– No... syn tych, co mają sklep na dole. Znasz go przecież.

– Sowińskich?

– Dokładnie.

– Bzdura. Sowińscy mają przecież tylko jednego syna.

– Zgadza się. I to właśnie jest on. – Marcysia spojrzała na mnie jak na głupią.

– Nie wciskaj mi kitu, bo ja wiem, jak wygląda syn Sowińskich!

Chyba się wszyscy dziś uparli, łącznie z moją siostrą, żeby w końcu wprowadzić mnie z równowagi.

– Może widziałas go, jak był mały, ale ludzie niestety rosną i z czasem się zmieniają. – Marcysia wzruszyła ramionami. – Chcesz pierogów?

– Z czym? – spytałam, skupiając się już wyłącznie na swoim pustym brzuchu.

– Z ruskimi. Ruskich, znaczy.

– Dawaj.

Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jaka jestem głodna, bo z powodu tych wszystkich emocji na chwilę przestałam odczuwać jakiegokolwiek fizyczne niedogodności. Przy drugim talerzu „ruskich” nastrój mi się nieco poprawił i świat przestał wydawać się taki wrogi. Do tego stopnia, że opowiedziałam w końcu Marcysi o moich perypetiach z szefem.

– A to cham – skomentowała krótko. – Musisz chyba już teraz pokazać mu, gdzie jego miejsce, żeby się nie nakręcił zbytnio.

– Wiem, i tak właśnie robię, ale co z tego, kiedy do gostka nic nie dociera? Najchętniej pieprznęłabym tą robotą, ale drugiej takiej nie znajdę. Za takie pieniądze, znaczy.

– Powiedz to tacie. – Marcysia zachichotała. – Może ma jeszcze gdzieś tę siekierę, którą przepędzał amantów matki...

– Siekierą to i ja się już umiem posługiwać – prychnęłam. – Tylko w tym przypadku to nie jest żadne rozwiązanie. I... nie mów niczego ojcu na wszelki wypadek, dobrze?

– Spoko.

Marcysia zabrała się do zmywania, a ja poszłam do siebie, by spróbować choć trochę odpocząć.

\* \* \*

W pracy jakby wszystko się unormowało, szef po swojej idiotycznej akcji więcej już jej nie powtórzył i był dla mnie miły w sposób całkiem poprawny. Trwało to na tyle długo, że moje biurowe koleżanki przestały być tak ostentacyjnie niemiłe i nawet ktoś patrzący z zewnątrz mógłby nas uznać za dość zgrany zespół. Pod koniec czerwca jednak, czyli mniej więcej po miesiącu od mojego zatrudnienia w tej firmie, Czarek ufundował dla nas wyjazd integracyjny. W naszym oddziale pracowało dwadzieścia jeden osób płci obojga i wszyscy jak jeden mąż bardzo się z tego ucieszyli. Początkowo rozważałam wymiksowanie się z imprezy, ale w końcu uznałam, że w tak licznym gronie nic mi z jego strony nie grozi, zwłaszcza że od pewnego czasu sprawiał wrażenie, jakby mu przeszło.

Po pierwszym dniu pobytu w malowniczym górskim pensjonacie niemal

utwierdziłam się w tym przekonaniu, bo na wieczornej zabawie poza kilkoma całkiem przyzwoitymi tańcami nie miałam z nim żadnych innych kontaktów. Wtedy niczego jeszcze nie podejrzewałam, nie zdziwiło mnie nawet to, że jako jedyna spośród uczestników wyjazdu dostałam pokój z podwójnym łóżkiem. Podobno z braku innych...

Nie znałam jeszcze na tyle dobrze pracowników naszej firmy, by szampańsko się bawić w którejś z wesołych grup, płatałam się więc tu i tam, głównie skuteczniejąc bruderszafty. Moje trzy koleżanki z biura balowały z osobna, w całkiem innych towarzystwach, mnie i siebie nawzajem kompletnie ignorując. Wcale mi to nie przeszkadzało, przeciwnie, okazało się bowiem, że w naszej firmie poza nimi pracuje kilka całkiem fajnych osób. Niestety, przypieczętowanie kieliszeczkami każdej kolejnej znajomości sprawiło, że postanowiłam urwać się z imprezy, zanim kompletnie się zaleję. W sumie już byłam zalana, miałam jednak jeszcze świadomość, że oto nadszedł moment, gdy mogę opuścić lokal o własnych nogach. Dowlokłam się na piętro na piechotę, bo nie chciałam z nikim spotkać się w windzie. Otworzyłam drzwi swojego pokoju i... szczęka mi opadła. Apartament cały tonął w różach, na stole w wiaderku z lodem chłodził się szampan, były owoce, zimne przekąski i przygotowane do zapalenia świece. W pierwszym odruchu wycofałam się rakiem w przekonaniu, że pomyliłam pokoje, zanim jednak wyszłam na korytarz, ktoś złapał mnie od tyłu w tali i szepnął:

– Ależ tak, to wszystko dla ciebie, kochanie...

Odwróciłam się. To był Czarek. W przeciwieństwie do mnie świeżuchny jak kwietniowy poranek, wystrojony jak nigdy dotąd. W nieskazitelnie białej koszuli, dzinsach i granatowych tenisówkach nie wyglądał jak wieśniak. Wyglądał tak trochę... hipstersko. Nawet wąsa przyciął do przyzwoitych rozmiarów.

– To dla ciebie, Aga – powtórzył. – Cały ten wyjazd jest wyłącznie dla ciebie...

Objął mnie w pasie i zaczął całować w szyję. Najwyraźniej dopiero co wziął kąpiel, pachniał przyjemnie jakimś żelem i dobrą wodą kolońską. Zakreśliło mi się w głowie. Być może magia chwili, zaskoczenie oraz wypity alkohol sprawiły, że nie poczułam oburzenia ani wstrętu jak dotychczas. Jego dłonie były delikatne, a pocałunki przyjemne. Zamknęłam oczy. Czarek pieścił mnie coraz śmieiej, a ja nie mogłam się nadziwić, że moje ciało zaczyna reagować na te zabiegi. Czułam mrowienie w piersiach i w dole brzucha, przyjemny bezdech, gdy zbliżał swoje usta do moich, by w ostatniej chwili przesunąć je po policzku i zacząć muskać płatki moich uszu. Coraz bardziej pragnęłam, by mnie w końcu pocałował w usta, wargi piekły mnie żywym ogniem, ale on w pewnym momencie przestał.

– A teraz napijemy się szampana – szepnął, pocałował mnie w rękę i poprowadził do stołu.

Zapalił świece, zgasił światło i usiadł naprzeciwko mnie. Jego oczy płonęły, na twarzy gościł lewo dostrzegalny uśmiech. Wprawnym ruchem otworzył butelkę i napełnił kieliszki.

– Jesteś moją księżniczką – powiedział, unosząc swój kieliszek. – Wypiję więc za to, by ta chwila nie okazała się tylko bajką. A gdy obudzimy się następnego dnia, by nie okazała się snem...

Lampka szampana po całej baterii wypitych drinków pozbawiła mnie resztki oporu i gdy Czarek wziął mnie za rękę i poprowadził w stronę łóżka, nie protestowałam nic a nic. Powoli rozebrał mnie, potem siebie i wrócił do przerwanych pieszczot. To było niesamowite, ale mężczyzna, który jeszcze wczoraj nie budził we mnie niczego poza odrazą, z minuty na minutę sprawiał, że zatracalam się w jego ramionach coraz bardziej. Całował mnie i dotykał w taki sposób, że gdyby znowu przestał, sama błagałabym o jeszcze. Z nim po raz pierwszy w życiu przeżyłam rozkosz, o której już zaczynałam myśleć, że jest tylko literacką fikcją. Gdy było już po wszystkim, nie ubrał się i nie wyszedł, jak się spodziewałam, ale wciąż przy mnie leżał, w milczeniu głaszcząc mnie po włosach, aż zasnęłam. A gdy obudziłam się rano, Czarek siedział ubrany w fotelu przy łóżku i patrzył na mnie tak, jak potrafi tylko patrzeć do obłądu zakochany facet...

– Dzień dobry, Stokrotko. – Postawił na stoliku filiżankę aromatycznej kawy.

– Dzień dobry – odparłam trochę zawstydzona.

– A zatem to nie była bajka, a jeśli jednak, to z gatunku *neverending story* – szepnęła, całując wnętrze mojej dłoni.

– *Neverending*? – spytałam, nagle uświadamiając sobie pewien przykry fakt.

– A... twoja żona?

– Nie mam żony – odparł.

– Jak to... a przecież... przecież...

– Wiem, tak mówią co niektórzy – wszedł mi w słowo.

– Nie masz? – upewniłam się z pewną ulgą.

– Nie. Marta nie jest moją żoną. To znaczy... kobieta, z którą mieszkam.

– I z którą masz dziecko?

– Owszem. Takie rzeczy się zdarzają, a potem wiążą z kimś na długie lata, mimo iż w takim układzie nie ma żadnych uczuć, poza rodzicielskimi.

– Mimo wszystko to nie fair. Wobec tej... Marty. Tak uważam.

– Ona również ma swoje życie. – Czarek wzruszył ramionami. – I według mnie, nie fair by było całkiem zrezygnować z siebie dla idei, którą można realizować równolegle ze spełnianiem własnych potrzeb.

– Rozumiem zatem, że był to z twojej strony jednorazowy wyskok?

– O, nie! Tego nie powiedziałem. – Czarek roześmiał się. – Ja... po prostu teraz już nie wyobrażam sobie siebie bez ciebie.

– Więc jak to widzisz? – drażylałam, bo chciałam wiedzieć, na czym stoję.  
– Będziemy razem.  
– Jak? A Marta?  
– Dajmy się temu w sposób naturalny wypalić do końca. Tak będzie zdrowiej i spokojniej. A to już całkiem niedługo – dodał na widok mojej zawiedzionej miny.

Czarek pochylił się nade mną i pocałował namiętnie. Poczułam dziś to samo co wczoraj, czyli że moje odczucia nie były jakąś pijacką iluzją.

– Wyjdz, chcę się ubrać – poprosiłam. – Trzeba będzie zejść na śniadanie.

\* \* \*

Gdy zeszłam do jadalni, byli w niej już wszyscy. Niestety, bo trudno było mi znieść spojrzenia współpracowników, mimo iż nikt nie sprawiał wrażenia, jakby się miał domyślić, co zaszło między mną i szefem. Czarek siedział obok młodego informatyka i obaj rozprawiali o czymś z zaangażowaniem. Usiadłam kilka miejsc od niego i zajęłam się jedzeniem. Na szczęście nie toczyła się żadna ogólna konwersacja, do której powinnam się była włączyć, ludzie wyglądali na dość zmęczonych, mimo wczesnej pory dnia. Od czasu do czasu spoglądałam ukradkiem na mojego nocnego kochanka i za każdym razem ze zdziwieniem stwierdzałam, że wcale nie jest taki beznadziejny, jak mi się na początku wydawało. Być może to emocje, jakich zaznałam za jego sprawą, stworzyły mi inną perspektywę postrzegania jego osoby, pozwoliły dostrzec pozytywy, których wcześniej nie zauważałam? Nie miałam pojęcia, że oto zaczynam się w nim zakochiwać i to dlatego moje „szkiełko i oko”, jak to się mawia, zaczęło powoli zachodzić różową mgłą...

Kolejnego wieczoru nic się między nami nie wydarzyło, mimo że ja przez cały dzień układałam sobie w głowie, w jakich słowach, chłodnych i wyniosłych, odmówię mu, gdy będzie znów chciał się ze mną przespać. Czarek jednak nie szukał ze mną kontaktu, nie obdarzał ukradkowym uśmiechem, nie wodził za mną płomiennym spojrzeniem. Zamiast więc wymyślać kolejne sposoby na danie mu kosza, czułam się coraz bardziej zawiedziona. Gdy po kolejnym dniu imprezy weszłam do swojego pokoju, były w nim te same kwiaty, wszystko inne było pięknie uprzątnięte. Wzięłam kąpiel i nasłuchiwałam kroków w korytarzu, żadne z nich jednak nie ucichły nagle pod moimi drzwiami...

Rano po śniadaniu przyszła pora wyjazdu, a ponieważ ja na szczęście przyjechałam tu własnym autem, teraz nie musiałam wracać ze wszystkimi. Spakowałam się szybko, rzuciłam napotkanym po drodze do wyjścia osobom krótkie „do widzenia” i odjechałam. Czarka między nimi nie było, co przyjęłam z ogromną ulgą. W samochodzie włączyłam sobie płytę Kasi Kowalskiej, która jak nikt inny umiała ubrać w słowa to, co sama czułam w obliczu porażek z facetami.

Znałam na pamięć wszystkie piosenki z tej płyty, szczególnie dobrze robiła mi *Pieprz i sól*. Przyprawiałam nią sobie zatem przez całą drogę ostatnie doznania i już prawie udało mi się zamienić ulotną słodycz poprzedniej nocy w zgagę oraz refluks, gdy nagle zobaczyłam przed sobą znajome granatowe volvo, mrugające wszystkimi światłami po kolei. Gdy samochód zjechał na najbliższy parking, zgodnie z intencją znaków dawanych mi przez kierowcę zrobiłam to samo.

– Już myślałem, że nie uda mi się ciebie wyprzedzić, pędziłaś jak szalona! – Czarek podbiegł do mnie, złapał w ramiona i okręcił dookoła.

– Gonileś mnie?

– No jasne. Gonilem króliczka mojego. A tak w ogóle to mam coś dla ciebie.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął z niej małe pudełeczko.

W środku był srebrny łańcuszek z serduszkami.

– Podoba ci się? – spytał.

– Podoba. Z jakiej to okazji?

– Wisiorek wszystko wyjaśnia. Symbolizuje, znaczy.

– Nie rozumiem – bąknęłam lekko zmieszana.

– Rozumiesz.

Czarek podszedł bliżej, objął mnie za ramiona i szepnął:

– Kocham cię, mała...

– Bzdury. Nikt nie zakochuje się tak szybko, poza tym przez cały wczorajszy dzień nie wyglądałaś na zakochanego.

– Po pierwsze, wcale nie szybko, bo bujam się w tobie od kilku dobrych tygodni, a po drugie, musiałem zachować pozory. Ze względu na ciebie i dla twojego dobra.

– W sumie... – zawahałam się. – No właśnie, powiedz mi może przy okazji, skąd taka wrogość do mnie ze strony koleżanek z biura? Bo mam niejasne przeczucie, że chodzi im o ciebie.

– Nie domyślasz się? – Czarek przyciągnął mnie do siebie i pocałował w szyję. – Bo każda z nich chciałaby być na twoim miejscu. Zazdrosne są po prostu i nie masz się czym przejmować.

Brzmiało zupełnie logicznie. Przytuliłam się do niego i po raz pierwszy w życiu było mi tak dobrze w objęciach faceta. Jak na ironię losu tego właśnie, który do przedwczoraj miał u mnie opinię skończonego buca...

– Hej, spójrz za siebie, mała – powiedział roznamiętnionym głosem.

Obejrzałam się, ale nic szczególnego nie zobaczyłam.

– Widzisz ten mały, przytulny motelik?

– Owszem – odparłam, powoli domyślając się, do czego zmierza.

Czarek wziął mnie za rękę i bez pytania o zdanie poprowadził w stronę budynku. Poszłam z nim, nie protestując. W moteliku spędziliśmy kolejną noc i pół dnia, a ja coraz bardziej nie mogłam się nadziwić sama sobie. Bo jak to możliwe,

by mężczyzna, pod każdym względem nie w moim guście, mógł aż tak zawrócić mi w głowie? Być może to, że był szarmancki i troszczył się o moje samopoczucie, czego nigdy nie zaznałam ze strony moich byłych, wywarło na mnie tak ogromne wrażenie? Nie bez znaczenia były też z pewnością jego łóżkowe talenty, a zwłaszcza to, że mu zależało, aby i mnie było dobrze. W każdym razie gdy już wreszcie dotarłam do domu, nie potrafiłam myśleć o niczym innym, jak tylko o Czarku i spędzonych z nim chwilach.

\* \* \*

Sielanka trwała równo trzy miesiące. Czarek zabierał mnie na randki do zajazdów i moteli usytuowanych w bezpiecznej odległości od naszego miasta. Zachowywał się naprawdę z klasą, już nie zaczepiał mnie w pracy i dyskrecja, w jakiej udało nam się utrzymać nasz romans, uspiła dotychczasową podejrzliwość moich koleżanek. Wyglądało na to, że wszystko idzie ku dobremu, a ja, zakochana po uszy cierpliwie czekałam, aż któregoś dnia Czarek mi oznajmi, iż jego związek z Martą właśnie umarł śmiercią naturalną. Nie dopytywałam i nie poganiałam, nie chciałam bowiem rozbijać na siłę jego nieformalnej rodziny. Ufałam mu po prostu.

Pewnego razu jednak dziwne zachowanie mojego organizmu na tyle dawało mi się we znaki, że poszłam z tym do lekarza. Byłam w ciąży. Nie powiem, że się jej spodziewałam, ani też, że się z niej ucieszyłam. Nie powiedziałam mu o tym od razu, najpierw musiałam się przekonać, jak ja sama się z tym czuję. Pierwszą osobą, która dowiedziała się o moim stanie, była mama, a sprawił to jak zwykle przypadek. Moja rodzicielka po długim czasie niewidzenia nagle pojawiła się u nas w domu, chciała pogadać z ojcem, ale ponieważ akurat go nie było, zrobiłam jej kawę i usiadłyśmy w kuchni. Ja od pewnego czasu nie piłam kawy, gdyż jej intensywny zapach powodował u mnie odruch wymiotny. Niestety okazało się, że działa to również na odległość i jak tylko postawiłam przed mamą filiżankę, puściłam niekontrolowanego pawia. Zdażyłam się jedynie odwrócić do niej tyłem.

– Z kim? – zapytała mama rzeczowo.

– Co z kim? – udałam, że nie wiem, do czego zmierza.

Usunęłam z podłogi moją ubogą na szczęście treść żołądkową i usiadłam w pewnej odległości od matki, a szczególnie od jej kawy.

– Z kim w ciąży jesteś, się pytam – doprecyzowała.

Nie było sensu kręcić.

– Z takim jednym...

– No ja myślę, że nie z dwoma, bo tak się raczej nie da – odparła. – I co dalej? Wyjdiesz za niego za męża, czy jak?

– Nie wiem.

– A ja wiem. – Matka spojrzała na mnie z niechęcią. – Nie wyjdiesz, bo on

się z tobą nie ożeni.

– Dlaczego tak uważasz? – spytałam z irytacją.

– Bobyś nie mówiła, że nie wiesz. W tych sprawach każda niewiadoma jest zawsze na nie. Wiem z doświadczenia.

– Z jakiego doświadczenia? Przecież tata się z tobą ożenił!

– Tak, ale to nie była żadna niewiadoma. Przeciwnie, sprawa była oczywista jak ten księżyc na niebie.

– Bredzisz – prychnęłam. – I wiesz co? Wcale nie bądź taka pewna. On jeszcze nie wie, ale jak się dowie, na pewno się ucieszy. Bo mnie kocha.

– O? Nie popędziłaś do niego od razu z tak radosną wiadomością? Okrutna jesteś – ironizowała matka. – A komuś powiedziałaś w ogóle?

– Tobie właśnie mówię, czego już zaczynam żałować – powiedziałam ze złością.

– I super – ucieszyła się. – A jeśli rzeczywiście wiem tylko ja, dam ci radę: zachowaj swój sekret wyłącznie dla siebie i jak najszybciej załatw co trzeba.

– Mam... się wyskrobać?

– Fuj, nieładnie powiedziane. Raczej pozbyć się kłopotu. Naprawdę, wierz mi, wiem, co mówię. Kimkolwiek jest szczęśliwy tatuś, nie licz na to, że ukłęknie przed tobą i ucałuje cię w brzemienną macicę. Takie rzeczy dzieją się tylko w filmach. Więc zrób to, zanim rozchlapiesz komu się da, bo tak naprawdę, na cholerę ci to dziecko?

Mimo iż całą sobą buntowałam się w środku przeciw radom matki, jakiś przeblask rozsądku kazał mi się nad jej słowami zastanowić.

– Pogadam z tatą, poradzę się jeszcze – powiedziałam trochę wbrew sobie.

– No i właśnie o to chodzi – prychnęła matka. – Najpierw poradzisz się ojca, potem siostry, babek i Bóg wie kogo jeszcze i każdy powie ci co innego. Jeśli myślisz, że w ten sposób będziesz mądrzejsza, to się grubo mylisz. Jeszcze bardziej nie będziesz wiedziała, co robić. Teraz jest pora na decyzję i szansa, że uda ci się wszystko zachować w sekrecie.

Byłam mocno przejęta tym, co powiedziała. Siedziałam w milczeniu, patrząc w jeden punkt.

– A zresztą, rób co chcesz. – Mama wzruszyła ramionami, dopiła kawę i wyszła.

Po chwili, gdy doszłam nieco do siebie, zaczęłam sobie wyrzucać, że pozwoliłam na tę rozmowę i że przez moment miałam jakiegokolwiek wątpliwości w stosunku do Czarka. Przecież skoro postanowił stworzyć rodzinę temu dziecku, które już miał, mimo iż nigdy nie kochał jego matki, naszemu, poczętemu z miłości, stworzy ją tym bardziej. Taką normalną, ze ślubem kościelnym, chrztem i wszystkimi należnościami...

Postanowiłam nie narażać się na dalszą niepewność i jak najszybciej

powiadomić Czarka o ciąży.

## ROZDZIAŁ XV

Tuż przed odjazdem pociągu

Tego dnia włożyłam do pracy sukienkę w kwiatki, w której najbardziej podobałam się Czarkowi. Ułożyłam włosy, zrobiłam delikatny makijaż i tak uzbrojona weszłam do jego gabinetu.

– Cześć, piękna. – Uśmiechnął się na mój widok, złapał mnie za rękę, przyciągnął do siebie i szybko cmoknął w usta. – Co tam?

– Mam ci coś do powiedzenia – oznajmiłam, co jakiś czas spoglądając na drzwi.

– Tak? – Uśmiechnął się jeszcze promienniej. – Słucham więc.

– Będziemy mieli dziecko.

Uśmiech błyskawicznie znikł z jego twarzy, ustępując miejsca chłodnej powadze.

– Jak to? – spytał. – My?

– My. Ty i ja.

– Co... wobec tego zamierzasz?

– Co ja zamierzam? – Chyba nie zrozumiałam pytania.

– Właśnie – odparł Czarek. – Przecież to ty jesteś w ciąży, nie ja.

– Owszem, ale sama ze sobą nie zaszłam – mruknęłam, bo coraz mniej podobała mi się ta rozmowa.

– Oczywiście, że nie, kochanie – powiedział uspokajająco. – Dlatego ja pokryję wszelkie koszty.

– Koszty... czego?

– Zabiegu. Bo chyba nie zamierzasz urodzić? – zdziwił się.

– Nie rozumiem... Czemu nie chcesz mieć drugiego dziecka? Przecież lada chwila i tak będziemy razem, więc po co odbierać mu życie?

– Jakie... lada chwila... Czy ja mówiłem, że lada chwila? – zdziwił się jeszcze bardziej.

– Mówiłeś. Mówiłeś, że między tobą i Martą od dawna niczego nie ma i że czekasz, aż wasz związek sam z siebie straci rację bytu. I że to będzie niedługo.

– No tak, tak... – Czarek poskrobał się po policzku. – Ale wiesz, pojęcie „niedługo” jest raczej względne i każdy je inaczej rozumie. Dla mnie to oznaczało kilka miesięcy, rok, może półtora...

– Okej, wobec tego ja zaczekam. Możemy spotykać się nadal w tajemnicy, ja donoszę tę ciążę, urodzę i podchowam dziecko sama przez pierwsze miesiące. Weźmiemy ślub, zanim się zdąży zorientować, że nie ma ojca.

– Ślub? – Czarek wybałuszył na mnie oczy.

Spojrzałam w te oczy z całą przenikliwością, na jaką było mnie stać, odwróciłam się na pięcie i wyszłam. Byłam naprawdę w sporym szoku. Nie tak widziałam przyszłe relacje między nami, nie spodziewałam się, że zajdę w ciążę, a już najmniej spodziewałam się, że Czarek okaże się taką świnią. A na to się zanosilo. Do końca dniówki unikałam go, jak mogłam, potem wyszłam po angielsku, nie mówiąc nikomu do widzenia. W aucie do łask wróciła płyta Kasi Kowalskiej, i chyba tylko ona sprawiła, że się nie rozbeczałam. Przy końcu drogi do domu postanowiłam osłodzić sobie choćby tylko kilka kolejnych chwil i zatrzymałam się pod sklepem Sowińskich z zamiarem zakupu największej tabliczki czekolady, jaką mają. Za ladą stał młody facet, który tak mnie onegdaj zdenerwował parkowaniem na naszym podjeździe. Pomyślałam, że Marcysia miała rację i że w istocie jest to syn właścicieli sklepu, którego nie widziałam na tyle długo, że mógł się aż tak zmienić.

– Czym mogę służyć? – zapytał uprzejmie.

– Czekoladą – mruknęłam pod nosem.

– Polecam tę. – Mężczyzna położył przede mną tabliczkę bakaliowej. – Jest naprawdę smaczna.

– Za mała.

Facet przebiegł wzrokiem po półce ze słodyczami i już miał sięgnąć po nieco większą, przez chwilę się zawahał i wybrał w końcu tabliczkę zbliżoną wielkością do klawiatury komputera.

– Może być? – spytał z uśmiechem.

– Tak. Ile płacę?

– Nic. To będzie w ramach rekompensaty, że postawiłem kilka razy auto na pani włościach.

– Mowy nie ma – sprzeciwiłam się. – Nie przyszłam tutaj na żebry!

Facet spojrzał na mnie i widocznie dostrzegł czającą się w moich oczach furję, bo skapitulował i przyjął należność.

– Mogę o coś spytać? – mimo wszystko zaryzykował.

– No?

– Coś się stało? Jest pani bardzo smutna.

– Nie pana sprawa – odburknęłam.

– Wiem, że nie moja. Ale gdybym mógł w czymś pomóc...

– A właściwie, czemu nie? – spytałam z szyderczą słodyczą, bo właśnie wstąpił we mnie jakiś diabeł.

– Co mogę dla pani zrobić?

– Niech się pan ze mną ożeni. Zaznaczam jednak, że jestem w ciąży.

Mężczyzna spojrzał na mnie zdumiony. Przez chwilę milczał, a potem uśmiechnął się przekornie.

- Dobrze, jestem gotów.
- Dureń! – spuentowałam i wyszłam.

Bo jakim prawem ten idiota natrząsał się ze mnie? Nie tak powinien był zareagować, to ja miałam być górą i pozostawić go w przykrym osłupieniu. Niestety, stało się dokładnie na odwrót. Facet irytował mnie, odkąd tylko przepędziłam go spod bramy, a ponieważ teraz mieszkaliśmy po sąsiedzku, widywałam go czasami, a on za każdym razem kłaniał mi się z przesadną uprzejmością i uśmiechał się ironicznie, jakby chciał powiedzieć: „w dupie mam twój zakichany podjazd, głupia babo”. Takie w każdym razie odnosiłam wrażenie.

\* \* \*

Wieczorem, gdy leżałam na kanapie w salonie, nażarta czekoladą do nieprzytomności, zadzwonił Czarek.

- Wyjdź przed dom – poprosił i się rozłączył.

Narzuciłam na ramiona sweter i zbiegłam w dół do bramy, bo przypuszczałam, że nie odważył się podejść pod drzwi. Miałam rację.

– Cześć, kochanie – powiedział ciepło i wyjął zza pleców wielki bukiet czerwonych róż. – Przepraszam cię za moją reakcję, ale... zrozumi. To było dla mnie wielkie zaskoczenie.

– Tyle jestem w stanie zrozumieć – odpowiedziałam na wszelki wypadek chłodno. – Mam nadzieję, że zastanawiałeś się, co będzie z tym wszystkim dalej?

– Myślałem tylko o tym, ale nie wiem. Uczciwie ci mówię, na razie nie wiem po prostu. Marta jest bardzo złośliwą kobietą i gdybym jej powiedział, że chcę odejść do innej kobiety, zrobi wszystko, by zatruć życie nam obojgu. Najlepiej by było faktycznie zaczekać, aż to samo się rozpadnie.

- Nie musisz jej mówić, że do innej kobiety – zasugerowałam.

Czarek uśmiechnął się gorzko.

– Nie musiałbym. Gdybym ją chciał zostawić nagle, z dnia na dzień, domyśliłaby się. I zapewniam cię, że szybko by się dowiedziała, w czym rzecz. Daj mi więc trochę czasu, a będzie, jak mówiłaś. Na razie bądźmy ze sobą na takich zasadach jak dotychczas, a wszystko samo się ułoży. Okej?

Czarek objął mnie i pocałował namiętnie. Na szczęście było już ciemnowo.

- A może... wyskoczmy dokądś na noc? – zapytał szeptem.

Elektryzujący dotyk jego dłoni i ust sprawił, że nie odmówiłam.

- Zaczekaj chwilę w samochodzie, zaraz wracam.

Pobiegłam do domu po najpotrzebniejsze rzeczy i poinformowałam tatkę, że wrócę do domu nazajutrz po pracy. Gdy byłam już z powrotem na dole, pomyślałam, że powinnam jechać swoim autem, by nie podjeżdżać rano pod firmę samochodem Czarka. I by mieć czym wrócić z pracy do domu.

- Zostaw to mnie – powiedział, gdy podzieliłam się z nim swoimi

przemysleniami. – Wsiadaj i nie marudź, słoneczko.

Zanocowaliśmy w motelu na obrzeżach miasta. Było cudownie, jak za każdym razem. Najpierw zjedliśmy kolację w restauracji, tam Czarek zamówił jeszcze owoce i sok pomarańczowy z dostawą do pokoju.

– Witaminki dla was – oznajmił z uśmiechem.

Znów poczułam się wspaniale, beztrąsko i bezpiecznie. Kochaliśmy się do samego świtu, zatracając się kompletnie w każdym kolejnym akcie i wciąż nie mając siebie dosyć. W którymś momencie poczułam w dole brzucha silny ból, wyswobodziłam się z ramion Czarka i pobiegłam do łazienki. Po moich udach cienkimi strużkami ciekła krew... Przeraziłam się tak bardzo, że wpadłam do pokoju i natychmiast zaczęłam się ubierać.

– Musisz zawieźć mnie natychmiast do szpitala – zażądałam nerwowo. – Coś złego się dzieje.

– Co takiego? – spytał zaniepokojony.

– Krwawię. I mam jakieś skurcze bolesne.

– Nie panikuj, kochanie. – Przysunął się do mnie i objął czule. – Takie rzeczy zdarzają się w pierwszych tygodniach ciąży, samo ci przejdzie.

– A jak nie przejdzie?

– Przejdzie, na pewno.

Czarek na chwilę mnie uspokoił, ale gdy ból zaczął się nasilać, powtórzyłam swoją prośbę znacznie bardziej kategorycznie. Uparłam się po prostu i chcąc nie chcąc, zawiózł mnie na pogotowie. Okazało się, że ciąża jest zagrożona i że muszę zostać w szpitalu.

– I co teraz będzie? – zapytał Czarek, odprowadzając mnie na salę.

– Nic. Wracaj do domu, ja powiadomię tatkę, a potem samo się okaże.

Lekarka, która się mną zajmowała, powiedziała, że to był dla dziecka decydujący moment i że zdążyłam w ostatniej chwili. Zadała mi również kilka dziwnych pytań, na przykład czy nie próbowałam się pozbyć ciąży, zażywając w tym celu środki, które mogłyby spowodować poronienie.

– Co mi tu pani sugeruje? – oburzyłam się. – Gdybym zrobiła coś takiego, to przecież nie pędziłabym do szpitala, żeby ratować moje dziecko!

Lekarka spojrzała na mnie jakoś dziwnie i powiedziała:

– To pani sprawa, ja nie wnikam. Najważniejsze, że się udało zażegnać kryzys, proszę więc uważać... hm... czym się pani odżywia, bo drugim razem może się pani nie udać rozmyślić.

Miałam zamiar zrębać babę na funty za takie wycieczki pod moim adresem, ale dałam sobie spokój. Może była zmęczona zbyt długim dyżurem i zła, więc wyżywała się z tego powodu na mnie.

Kryzys co prawda minął, ale ryzyko ponownienia wciąż istniało, dlatego musiałam być po wyjściu ze szpitala pod stałą kontrolą i bardzo o siebie dbać.

Tatko i Marcysia przejęli się moim stanem zdrowia tak bardzo, że w końcu musiałam im wyjawić prawdę, wskutek czego przejęli się jeszcze bardziej, ale już inaczej. Snuliśmy od tej pory wspólnie wizje mojej przyszłości, robiąc nieśmiało plany. Po trzech dniach pobytu w szpitalu i tygodniu zwolnienia lekarskiego wróciłam do pracy. Czarek już wiedział, że nasze dziecko zostało uratowane, bo powiedziałam mu o tym przez telefon. Pomyślałam, że miło by było, gdyby zaprosił mnie dokądś, by to uczcić, tak zwyczajnie, w jakiejś przytulnej kawiarence, bo na razie miałam szlaban na współżycie. Niestety, w tym dniu był tak zajęty, że nie byłam w stanie zobaczyć się z nim sam na sam.

– Co to dzisiaj za młyn mamy? – zapytałam rudą, wszechwiedzącą Anetę.

– Czy ja wiem? Taki sam jak co dzień – odparła.

– Ale może ciut większy – dorzuciła czarna Aneta.

– Ciut to i owszem – zawahała się Marcela. – Ale raczej nie dużo.

Wobec takiego obrotu sprawy ociągałam się z wyjściem do domu, jak mogłam, by choć na koniec móc zamienić z Czarkiem kilka słów. Niestety, nie doczekałam się takiej chwili i w końcu również sobie poszłam. Jeszcze tego samego dnia próbowałam się kilka razy do niego dodzwonić, ale jego komórka była wyłączona. Przez kilka kolejnych dni, gdy nadal nie byłam w stanie nawiązać z nim ani kontaktu osobistego, ani telefonicznego – tłumaczyłam sobie, że w istocie dopadły go jakieś wzmożone obowiązki. Staralam się przeczekać i nie narzucać mu się zbyt nachalnie, ale gdy któregoś razu spotkałam go na korytarzu, po prostu podeszłam i spytałam:

– Znajdziesz dla mnie trochę czasu po pracy?

– Obawiam się, że nie – powiedział. – Mam kupę rzeczy do zrobienia, a poza tym prosiłbym, abys trochę szybciej wywiązywała się ze swoich zadań. Nie nadążasz z robotą i spowalniasz innych.

– Byłam w szpitalu, dopiero co wróciłam – poinformowałam go, jakby nie wiedział.

– Więc nadrob jak najszybciej zaległości, proszę.

– Na miłość boską, co ci się stało przez te kilka dni? Inaczej rozmawialiśmy ostatnio...

– Inaczej. Bo jeszcze nie wiedziałem, że chcesz mnie zrobić w cudze dziecko.

– Cu... cudze? Jak do tego doszedłeś, jeśli można spytać? – Czułam, że oczy zaczynają zachodzić mi łzami.

– Ot, intuicja...

Po tych słowach Czarek wszedł do męskiej toalety. Podeszłam do okna i uchyliłam je trochę, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Jego zachowanie wprawiło mnie w niemały szok, z trudem opanowywałam wzbierający płacz. Gdy odrobinę doszłam do siebie, wróciłam do biura i zabrałam się do pracy.

– Coś taka nieswoja? – zapytała Marcela.

– Przeciwnie, swoja. Bo niczyja inna – odpowiedziałam.

Marcela przez chwilę próbowała zrozumieć moje słowa, bezskutecznie chyba, bo w końcu machnęła ręką i też zabrała się do roboty.

\* \* \*

Zawzięłam się. Zawzięłam się tak mocno, że ani jeden mięsień nie drgał na mojej twarzy, gdy Czarek z dnia na dzień wymyślał coraz to nowe sposoby, by dać mi do zrozumienia, że na żadne inne relacje z nim, poza służbowymi, nie mam już co liczyć. Mało tego, że wszystkich sił starał się mnie upokorzyć, najchętniej publicznie. Od naszej rozmowy pod kiblem upłynęło kilka tygodni, które musiały mi wystarczyć na opancerzenie się w skorupę. Byłam teraz odpowiedzialna nie tylko za siebie, ale i za życie, które nosiłam w sobie, musiałam więc oddzielić je szczerze od całego tego syfu, który rozgrywał się dookoła. Paradoksalnie mój „mały problem” dodawał mi sił do życia i walki o samą siebie. Pokochałam go z całej mocy i wszystko, co robiłam, robiłam z myślą o nim. I dziękowałam Bogu, że nie pozwolił mi na popełnienie zbrodni, której nie wybaczyłabym sobie do końca życia, i która pozbawiłaby mnie tego, co dziś mam najcenniejszego: Maciusia. Bo w pierwszych dniach, gdy jego tata okazał się być ostatnią gadziną, rozważałam taką ewentualność, rozmawiałam z tatą i siostrą, próbując zasięgnąć ich rady. Oboje doszli do podobnych wniosków, a mianowicie, że są przeciwni takiemu rozwiązaniu, aczkolwiek uszanują moją decyzję. Czyli było dokładnie tak, jak mówiła mama – wcale nie stałam się dzięki nim mądrzejsza. Babcię Kundzię w ogóle pominęłam jako doradczynię, w obawie, że natychmiast każe mi skakać z drabiny lub moczyć się w ukropie. Była jeszcze tylko jedna jedyna osoba, której mogłam się zwierzyć – babcia Hania. Pojechałam do niej bardzo wcześnie rano, by zdążyć na ósmą do pracy. Jakiś anioł czuwał nade mną, bo babcia w tym dniu wyjeżdżała do sanatorium i akurat wsiadała do taksówki mającej zawieźć ją na dworzec. Powiedziała mi o tym w wielkim pośpiechu, bo pociąg miała raptem za pół godziny.

– W takim razie jadę z tobą na dworzec – zdecydowałam i usiadłam obok niej na tylnym siedzeniu.

Po drodze opowiadałam co i jak, mocno ściskając ją za rękę. Babcia słuchała w skupieniu.

– Nosisz w sobie dziecko – powiedziała. – Niczego o nim jeszcze nie wiesz, nie znasz nawet jego płci, pojęcia nie masz, jak potoczyłyby się jego losy, kim mogłoby zostać w przyszłości. I jeśli nie pozwolisz mu się narodzić, wierz mi, że do końca życia będziesz sobie zadawała te pytania, w dzień i w nocy, przy każdej najmniejszej okazji. Ale możesz dać sobie szansę, by życie ci na nie odpowiedziało. Sobie i jemu... Nie odbieraj życia, Agusiu, które sama mu dałaś,

taka jest moja rada.

Szłyśmy na peron w całkowitym milczeniu, obie na pewno myśląc o tym samym. Gdy podjechał pociąg, uścisnęłam babunię z całych sił i już wiedziałam, co mam robić.

– Dziękuję, babciu Haniu – powiedziałam cicho, bo wzruszenie blokowało mi struny głosowe.

– Trzymaj się, wnusiu. – Babcia się uśmiechnęła. – I się nie poddawaj.

Babcia Hania, mądra i dobra, od zawsze była jakby trochę zepchnięta na margines życia rodzinnego. Wszyscy przypominali sobie o niej w sytuacjach wymagających najwyższego wsparcia, czyli duchowo-moralnego. Inne problemy, szczególnie natury finansowej, powierzało się krewnym ze strony matki, z mniejszymi kłopotami radziło się sobie samemu, ale gdy w grę wchodził największy kaliber, skuteczna była jedynie ona. Do dziś jestem jej wdzięczna za tamtą radę, a Opatrzności, że pozwoliła mi zdążyć na ten pociąg. Dzięki babci Hani zyskałam cel i siłę do walki z przeciwnościami losu, nosiłam wysoko uniesioną głowę, z pogardą spoglądając na ojca mojego dziecka. Im bardziej dawał mi w kość, tym bardziej stawałam się silna, pracowałam tak sumiennie, że nawet gdyby bardzo się starał, niczego nie mógłby mi zarzucić. Na szczęście czułam się bardzo dobrze, byłam pod systematyczną kontrolą lekarza, który przy każdej wizycie stwierdzał, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Stan zagrożenia dawno minął, dzidzius rozwijał się prawidłowo, rosnąc jak smok, i mój brzuch stawał się coraz bardziej widoczny. Koleżanki z pracy coraz ciekawiej spoglądały na ten obszar mojego ciała, szepcząc czasem po kątach, aż któregoś dnia Marcela przysiadła się do mojego biurka pod pretekstem skorygowania jakichś faktur. Ewidentnym pretekstem, bo nie było czego korygować.

– Przecież wszystko masz tutaj dobrze. – Spojrzałam na nią zdziwiona.

– Rzeczywiście... Zdawało mi się chyba. A u ciebie? Też wszystko dobrze?

– A nawet i lepiej – odpowiedziałam z uśmiechem.

– Tak? – spytała lekko rozczerowana, licząc pewnie, że opowiem jej o ciąży.

– Tak.

– Bo coś nam się zdaje, że ktoś tu zostanie matką – pojechała po bandzie.

– Spostrzegawcze jesteście. Możecie mi w takim razie pogratulować.

– A kiedy ślub? Mamy nadzieję, że nas zaprosisz – wtrąciła się czarna Aneta. Gratulacje jednak nie padły.

– Raczej nie. To będzie bardzo kameralna uroczystość – brnęłam dalej na tę samą nutę.

– No cóż, będziemy musiały przeboleć. Kimże jest szczęśliwy wybranek, jeśli można spytać? – dołączyła do rozmowy Aneta ruda.

– Spytać można, ale moja odpowiedź nic ci nie da, bo go nie znasz.

To na razie załatwiło sprawę. Dziewuchy przez jakiś czas dały mi spokój,

a nawet jakby stały się trochę miłsze. Obie Anety były już matkami i w geście jakiejś organicznej solidarności rzucały się do pomocy, gdy miałam coś ciężkiego podnieść, wentylator w bardziej upalne dni kierowały w moją stronę, częstowały słodyczami, którymi dotychczas obżerały się same. Marceli też się udzieliło. Tylko szef był dla mnie ciągle niemiły, ale do tego już zdołałam się przyzwycząić. Pewnie nie czuł się zbyt komfortowo w sytuacji w jakiś sposób przymusowej: nie mógł pozbyć się swojego wyrzutu sumienia, prawo pracy chroniło bowiem kobietę ciężarną przed zwolnieniem. Jego narastającą frustrację dawało się odczuć każdego dnia. Potęgowały ją zdecydowanie mój spokój, pogoda ducha i żelazna cierpliwość do jego fochów.

\* \* \*

Do końca ciąży, jak to się mówi, to ja byłam „z tarczą”. Czarek po wielu bezskutecznych próbach uprzykrzenia mi życia zaczął schodzić mi z drogi, zwłaszcza że coraz częściej jego zachowanie wobec mnie spotykało się z cichą dezaprobatą moich koleżanek. Cichą, bo żadna z nich nigdy w mojej obronie nie stanęła, ale dawało się ją wyraźnie odczuć. Miłe to było dla mnie, ale i dziwne. Może po prostu tak zwana solidarność jajników istniała nie tylko w anegdotach?

Pracowałam do samego końca, czyli do dnia porodu. Pierwsze bóle odczułam pewnego mroźnego, styczniowego dnia późnym wieczorem. Do szpitala zawiózł mnie tatko, Marcysia rzecz jasna pojechała z nami. Maciuś przyszedł na świat kilka godzin później, bez żadnych komplikacji. Był piękny! Miał na główce gęsty meszek czarnych włosów, niebieskie oczka i patrzył na mnie tak ufnie... Jakby od razu wiedział, że zawsze, ale to zawsze, każdego dnia i każdej nocy swojego życia będzie mógł liczyć na mnie jak na Zawiszę. I w ogóle był kochany. Bardzo rzadko płakał, szybko zaczął się uśmiechać i rozpoznawać znajome twarze. Byłam bardzo szczęśliwa. Nieraz zastanawiałam się, jak to możliwe, że tak paskudny osobnik jak Czarek mógł spłodzić takie чудо. Bo Maciuś był podobny do niego kropla w kroplę, jednak w takim ujęciu, że wszystko, co w jego ojcu wydawało się brzydkie, u niego było piękne. Chociaż... może i Czarek, mając raptem kilka miesięcy, był piękny, kto to wie?

W każdym razie mój urlop macierzyński przebiegał jak błogi sen, z dala od wszystkiego, co przykre, pośród tego, co bezpieczne, miłe i znajome. Im bliżej końca urlopu, tym intensywniej się zastanawiałam, czy powinnam wracać do pracy. Tatko mnie przekonywał, że będzie w stanie nas utrzymać, jeśli matka zacznie płacić alimenty na Marcysię, bo jak na razie zupełnie nie przejmowała się bytem swojej małoletniej córki. Całkiem na poważnie myślał o złożeniu jej takiej propozycji. Ba, na tyle poważnie, że w razie odmowy miał zamiar załatwić sprawę przed sądem. Żadna z nas nie miała nic przeciwko takiemu rozwiązaniu i w sumie wszystko zaczęło zmierzać w tym kierunku, gdy nagle, jak to w naszej rodzinie, los

roześmiał się nam w nos.

Kurs franka, w którym spłacaliśmy kredyt na dom, z dnia na dzień wzrósł dwukrotnie, a to całkowicie zmieniało postać rzeczy. Ojciec ze swojej pensji nie wyrobiłby ze spłacaniem rat i najędzniejszym choćby utrzymaniem domu, ale ja z moimi zarobkami owszem. Wobec takiego obrotu sprawy to tatko zwolnił się z pracy i zajął się wychowaniem wnuka, ja zaś wzięłam na swoje barki rolę głównego żywiciela rodziny. Razem z kasą od matki wystarczało nam pieniędzy dosłownie „na styk”, mimo iż ojciec w wolnych chwilach dorabiał, gdzie się dało, głównie strzygąc ludziom trawniki i pomagając w pracach remontowych. I znów na chwilę nasza sytuacja się unormowała, bo choć odmawialiśmy sobie wszystkiego, czego się dało, nie można było powiedzieć, że żyliśmy w nędzy. Czasem wpadał nam dodatkowy grosz od jednej czy drugiej babci, a nawet od Gogusia, mocno przejętego moim macierzyństwem. Zdawał sobie nieborak sprawę, że on nigdy nie zostanie ojcem, a Rafaela matką, pokochali więc Maciusia jak swojego. W sytuacjach krytycznych zostawiałam go nawet pod ich opieką i muszę przyznać, że zajmowali się nim bardzo troskliwie i odpowiedzialnie.

Wracając jednak do rzeczy, czyli do mojej pracy, w dniu powrotu z macierzyńskiego czekała na mnie miła niespodzianka. Koleżanki zrobiły zrzutę i obdarowały mnie wyprawką dla małego, czego absolutnie się nie spodziewałam. W sumie wciąż nie byłam w stanie ich rozgryźć. Nie lubiły siebie nawzajem i nie lubiły mnie, czasem jednak potrafiły ukazać całkiem ludzką twarz, co było dla mnie kompletnie niezrozumiałe. Czemu? Bo moim zdaniem ich zachowaniami nie rządziły żadne reguły. Mogłam się czasem zatyrać na śmierć, by którejś w czymś pomóc, i zero wdzięczności, foch focha poganiał. Innym razem znów, gdy niczym szczególnym sobie na ich przychyłność nie zasłużyłam, bywały nadspodziewanie miłe. W pewnym momencie przestałam się już nad tym zastanawiać, byłam po prostu zawsze gotowa na takie relacje, jakie były. Przyjęłam zatem w wyrazami wdzięczności ich prezent dla Maciusia i zabrałam się do pracy. Otworzyłam szufladę biurka, by sięgnąć po długopis, i... na samym wierzchu zobaczyłam kilka banknotów. W sumie pięćset złotych. Już miałam spytać koleżanek, czy wiedzą coś na temat tych pieniędzy, ale ugryzłam się w język. Pewna myśl przebiegła mi bowiem przez głowę i tłukła się w niej na tyle intensywnie, że w końcu poszłam zapytać o nie Czarka.

– Dostałam może jakąś premię? – wypaliłam bez wstępów. – Bo jakaś kasa mi się płacze po szufladzie i nie wiem, z jakiego tytułu i od kogo...

– Ode mnie – odparł, podnosząc głowę znad komputera.

– Za co?

– Forma wsparcia dla samotnej matki. I tak będzie co miesiąc.

– Jak to? – zdziwiłam się. – Przecież nie uważasz tego dziecka za swoje.

– Nie uważam. – Czarek obrócił się razem z fotelem w moją stronę. – Ale

jestem litościwym szefem.

Poczułam się, jakby dał mi w twarz. W pierwszym odruchu miałam zamiar rzucić mu tymi pieniędzmi w gębę, pomyślałam jednak, że nie stać mnie na taki gest. Chce – niech płaci. W końcu Maciuś, choć maleńki, ma swoje potrzeby, ma także ojca, mimo że skurwysyna. Najwyższa pora się do tego przyzwyczaić.

## ROZDZIAŁ XVI

Jak mama stała się babcią

Wszystko w życiu ma swój czas; jest czas na troski, a nawet bolesne ciosy, ale jest też czas na wyciszenie i zapomnienie. Czas burz i czas spokoju. Mój mały synek dawał mi tyle radości i spełnienia, że inne sprawy, jakiegokolwiek by były, zeszły na dalszy plan. W pracy zachowywałam się niemal jak automat, robiłam swoje i wychodziłam, śpiesząc się do domu. Dopiero tam odżywałam. Zabierałam Maciusia na spacer, uczyłam go stawiania pierwszych kroków, opowiadałam mu bajki, bawiłam się z nim, jakbym sama wciąż jeszcze była małą dziewczynką. Synek chował się zdrowo, rozwijał bardzo dobrze i to rekompensowało mi wszystko inne. W naszym życiu na powrót pojawiła się matka. Nie było jej, gdy trzeba mnie było nauczyć obchodzenia się z noworodkiem, gdy Maciuś miewał bolesne kolki i nieraz padając z nóg, nosiłam go na rękach do świtu, nie było jej nawet na jego chrzcie. Nie w smak jej było, że została babcią. Przyszła odwiedzić wnuka, gdy skończył okrągły rok. Przyniosła pod pachą konia na biegunach, czekoladę z orzechami i flaszkę wódki.

– Nie miałyśmy okazji napić się pępkówki – oznajmiła. – Oblejemy więc pierwsze urodziny Mateuszka.

– Maciusia – poprawiłam ją.

– A, to i nawet ładniej. – Pochyliła się nad wnuczkiem, gładząc go po policzku.

– Nie ziej mu tu gorzałą – zaprotestowałam, wyczuwszy, że matka jest już na lekkim rauszu.

– Nie zieję – odparła z urazą. – Nic dziś nie piłam.

– A wczoraj?

– Odrobinkę. Masz jakiś sok? Zrobimy sobie po drinku.

– Mam sok, ale ja nie piję. Dziecko mam, co wreszcie zauważyłaś chyba.

– Może nie bądź taka złośliwa, co? – sarknęła matka. – Każdy miewa w życiu gorsze chwile, właśnie przyszłam, żeby naprawić relacje między nami. Ojciec jest?

– Jest.

– Zawołaj go. A Marcysia?

– Marcysi nie ma.

Poszłam poszukać tatki, ale na wszelki wypadek wzięłam z sobą Maciusia, gdyby matce przyszło do głowy brać go na ręce czy coś w tym rodzaju. Nie bardzo miałam zaufanie do jej zdrowego rozsądku. Ojca znalazłam w ogrodzie, wiesział

pranie, które wstawiłam kilka godzin temu i kompletnie o nim zapomniałam. Posadziłam Maciusia na trawniku i włączyłam się w tę czynność.

– Mama przyszła, chce się z tobą widzieć – poinformowałam go, gdy już skończyliśmy.

– Nie wiesz, czego chce? – spytał bez entuzjazmu.

– Zintegrować się chyba. Flaszkę przyniosła i konia.

– Konia? Po co konia? – zdziwił się tatko.

– Na biegunach, dla Maciusia.

– Dobrze i to. – Ojciec wytarł wilgotne ręce w nogawki spodni, wziął na ręce wnuka i udał się za mną.

Mama wciąż siedziała przy stole w kuchni, przy tym samym drinku, sądząc po pozostałej w butelce ilości alkoholu.

– Cześć – powiedziała, nie wstając. – Przyszłam was odwiedzić. Możemy usiąść razem na chwilę?

– Przecież nigdy cię nie wyganiałem – skomentował jej słowa ojciec. – Zastanawiam się tylko, co się stało.

– A co się miało stać?

– Jakoś bez powodu nas do tej pory nie odwiedzałaś.

– Jeśli koniecznie musi być jakiś powód, powiem ci, że zaczynam właśnie nowe życie.

– Widzę. – Tatko wymownie spojrzął na butelkę.

– A ja widzę, że nikt się tu z mojej wizyty nie cieszy! – uniosła się matka. – Same złośliwości na dzień dobry!

– Okej, uspokój się, Joanno, nie zamierzałem cię obrazić – powiedział tatko ugodowo, oddając mi Maciusia. – Zjesz kawałek sernika? Tyle co upiekłem, jeszcze ciepły.

– Robisz za gospodynię? – spytała i nie czekając na odpowiedź, dodała: – Dawaj, przekonam się, jak ci idzie.

– Ktoś musi – powiedziałam cierpko. – Ja zarabiam na życie, innej kandydatki na gospodynię w tym domu nie ma.

Matka wstała, zdjęła wiszącą na oparciu krzesła torebkę i ruszyła do wyjścia.

– Daj już spokój, Aga – powiedział tatko, pobiegł za nią i szybko przyprowadził z powrotem.

Matka usiadła na powrót przy stole i rozplakała się w głoś. Drżały jej ramiona, trzęsły się ręce, wielkie łzy spływały po twarzy. Zrobiło mi się nieswojo.

– Przepraszam – szepnęłam.

Mama płakała nadal, przestała dopiero wówczas, gdy udzieliło się Maciusiowi i on też zaniósł się głośnym szlochem.

– Ja... ja napra...wdę chcę zmienić swoje życie – powiedziała urywanym głosem. – Muszę. Jestem chora...

Przy stole nastała cisza. Spojrzeliśmy na siebie z tatką z niewyraźnymi minami.

– Co ci jest? – on zapytał pierwszy.

– Mam raka wątroby. To znaczy... mam nadzieję, że miałam... jestem po operacji i chemioterapii. Gdy byłam tu ostatnim razem, wybierałam się właśnie do szpitala. Chciałam zapytać, czy mogę cię podać jako osobę upoważnioną do informacji, ale cię nie było...

– Nie mogłaś mi wówczas o tym powiedzieć? – spytałam, przypominając sobie teraz ostatnią wizytę matki.

– Chciałam, ale miałaś wtedy własne problemy. Cięża ci wyskoczyła.

Fakt, teraz już pamiętałam wszystko, co wówczas zaszło. Puściłam przy niej pawia i zorientowała się, w czym rzecz. Była wtenczas bardzo niemiła, ale może dlatego, że dowiedziała się o swojej chorobie.

– Nie powinnaś pić – powiedziałam.

– Wiem. Staram się, do wczoraj nie miałam kropli alkoholu w ustach. Ale jak się zaczęłam zastanawiać, czy mam jakąś motywację do całkowitego wyzdrowienia, czy... w ogóle mam... dla kogo... – Matka znów pociągnęła nosem, ale szybko się opanowała.

Już miałam zapytać, gdzie się podział jej ostatni gach, ale szybko ugryzłam się w język. Żal mi się jej zrobiło.

– No pewnie, że masz dla kogo – odpowiedział jej tata z przejęciem. – Jeśli już nie dla mnie, to dla swoich córek, dla wnuka!

– Dla wnuka? – upewniła się matka i zrobiła taki gest, jakby chciała go wziąć ode mnie, ale szybko cofnęła ręce.

– Dla wnuka – powiedziałam i posadziłam jej Maciusia na kolanach.

Tym razem mój synek się nie rozplakał, zainteresował się bowiem jej naszyjnikiem i o mało co go nie zerwał.

– Nie wolno, kochanie – skarciłam go łagodnie.

– Ależ nic nie szkodzi. – Mama uśmiechnęła się przez łzy. – Niech zrywa, gdyby go to miało ucieszyć.

Spędziliśmy razem czas do popołudnia, matka zjadła z nami obiad, a później poszliśmy wszyscy na spacer. Nie wypita już więcej ani kieliszka, wpadła za to na pomysł, że chętnie zabierze z sobą wnuka na wczasy nad morze. Miała już wykupiony turnus na sierpień.

– No niestety, ale z takimi rzeczami będziesz się jeszcze musiała wstrzymać – powiedział tatko. – Mały nie zna cię jeszcze na tyle, by mógł spędzić z tobą dwa tygodnie z dala od domu.

Byłam mu wdzięczna za tę refleksję, bo ja bym to pewnie ujęła inaczej. Powiedziałbym, że nie ufam do końca w jej zadeklarowaną trzeźwość...

\*\*\*

W ten sposób rodzina nam się jakby powiększyła, mama gościła u nas bowiem niemal co dzień, aż do wyjazdu nad morze. Nie zauważyłam, żeby popijała, dlatego postanowiliśmy z tatką i z Marcysią, że damy jej szansę, i nawet jeśli wciąż bywała irytująca, nie wyrażaliśmy się niechętnie o jej wizytach. Z pewnością dzięki nim łatwiej jej było wytrwać w trzeźwości. Z czasem pozwoliłam jej nawet zabierać synka na niedalekie spacerunki, gotować mu zupki, bawić się z nim bez mojego nadzoru.

Którejś niedzieli, gdy wykorzystałam czas wspólnej przechadzki mojego synka z mamą na nadrobienie za-ległości w domowych porządkach, przez myte właśnie okno zauważyłam, że oboje siedzą już na huśtawce przed domem, Maciuś zaś raz za razem wkłada coś do budzi z bardzo zadowoloną miną. Pełna niepokoju porzuciłam swoje zajęcie i zbiegłam do ogrodu. Mój syn dzierżył w łapce lizaka wielkości mojej pięści i upajał się jego lepka słodyczą.

– Kupiłaś mu taką bryłę cukru? – spytałam z niesmakiem.

– Nie kupiłam. Maciuś dostał w prezencie od starej Sowińskiej.

– Od starej Sowińskiej czy od młodego Sowińskiego? – spytałam, bo coś mnie tknęło.

– Od niego – przyznała matka niechętnie. – Ale prosił, żeby ci nie mówić.

– I nic dziwnego! Ciekawe, jak mu to teraz zabierzesz, bo nie wyobrażam sobie, żeby miał spałaszować go w całości.

Matka spojrzała bezradnie na zachwyconego wnuczka.

– Nie wiem – odparła stropiona. – Gdyby Maciuś tego lizaka nie zobaczył, tobym mu go nie dała. Ale on mu go wręczył... Miły chłopak, nie sądzisz?

– Nie, nie sądzę – odparłam z irytacją. – Kawał bufona moim zdaniem. Nosi się, jakby był nie wiadomo kim, a stoi za ladą gównianego sklepu.

– Coś ty? – zdziwiła się matka. – Nie stoi przecież, tylko wtedy, gdy trzeba zastąpić matkę. Wyjątkowo raczej, powiedziałabym.

– A co to ma do rzeczy? Tak czy inaczej, spadkobierca sklepikarskiej rodzinki się znalazł – prychnęłam z pogardą.

– Nie wymądrzaj się, Aga, bo nawet jeśli, to jego własne osiągnięcia biją na głowę to, co dostanie w spadku po rodzicach.

– Fajnie, pogratuluj mu zatem ode mnie.

Wyjęłam Maciusiowi lizaka z rąk, bo zdążył zasnąć na kolanach matki.

– Idę kończyć myć okno – szepnęłam i oddaliłam się na palcach.

W sumie nie wiem, czemu młody Sowiński wkurzał mnie tak bardzo, bo gdy się zastanowiłam porządniej, samo naruszenie mojego terenu nie było wystarczającym powodem tak wielkiej niechęci do niego. A denerwowałam się każdorazowo na sam jego widok, nawet z daleka. W sumie starałam się go unikać, ale nigdy mi się to nie udało i gdy się już pojawił choćby w promieniu

kilkudziesięciu metrów, zawsze mnie zauważał i kłaniał się z przesadną uniżonością. Zupełnie nie wiedziałam, jak mam sobie to tłumaczyć, ale jeśli czyjeś intencje nie były wystarczająco jasne, były z pewnością co najmniej nieczne. Po dojściu do powyższej konkluzji zaczęłam pucować szyby tak energicznie, że o mało nie wypchnęłam ich z futryn.

– O jakie osiągnięcia ci chodziło, jeśli można wiedzieć? – zapytałam matkę później.

Uniosła w górę brwi i popatrzyła na mnie zdziwiona.

– Czyje? – spytała po chwili.

– Sowińskiego. Mówiłaś coś o nich przecież.

– Ja ci opowiem – weszła nam w kontekst Marcysia, która raczyła wreszcie wstać i pojawić się w kuchni. – I on ma imię, tak w ogóle.

– Wiem. Coś mi się zdaje, że wpadł ci w oko, bo dużo o nim wiesz – zauważyłam sarkastycznie.

– E tam. Za bardzo ugrzeczniiony jak dla mnie. – Marcysia machnęła ręką i dorwała się do mojej kawy. – Ale ogólnie fajny jest, nie, mama?

– Poszła z łapami! – Odebrałam jej mój kubek i wyjęłam z ręki mój talerzyk z ciastem. – I ciszej, proszę, bo Maciuś śpi.

– Ja też uważam, że fajny – stwierdziła matka. – Przystojny, ustawiony, ujdzie w sumie jak na faceta. A nawet jak na zięcia.

– Przecież mówi, że dla niej zbyt spokojny. – Wycelowałam palcem w Marcysię.

– Dla niej może i tak. – Mama puściła do niej oko i obie zachichotały jak głupie.

– Wiecie co? Zajmijcie się może ciastem, bo jeszcze tata pomyśli, że niedobre mu wyszło. – Podsunęłam siostrze moją porcję i poszłam wziąć sobie nową. – Poza tym nie życzę sobie podobnych sugestii.

\* \* \*

Z Karolem Sowińskim przyszło mi się jednak spotkać twarzą w twarz i to w całkiem niedługim czasie. Otóż wracałam właśnie z pracy, jak zwykle zamyślona na tysiące tematów, dzień był piękny i słoneczny. Zbyt słoneczny, bo padające mi na twarz ostre światło oślepiło mnie na tyle, że nie zauważyłam, iż jadące przede mną auto przygotowało się do skrętu w lewo, i walnęłam w nie ze sporym impetem. Dosłownie wbiło mnie w fotel, cud, że nie otworzyły się poduszki powietrzne.

– Jeszcze tylko tego mi brakowało – mruknęłam pod nosem i wysiadłam.

Moim oczom ukazał się biały dodge z rozwalonym prawym światłem. Przeleciało mi przez myśl, że nie jest najgorzej, ale gdy spojrzałam na przód mojego auta, prędko zmieniłam zdanie. Był totalnie pokiereszowany. Jeszcze

bardziej dobiło mnie, gdy zobaczyłam, kto był właścicielem pechowego samochodu.

– O kurczę – odezwał się w pierwszych słowach nie kto inny, jak właśnie Karol Sowiński.

– Tak to pan sobie może powiedzieć. – Spojrzałam wymownie na jego lampę. – Ja bym musiała raczej rzec „o kurwa”.

– Bardzo mi przykro. – Zignorował moją chamską odzywkę. – Ja to pani wszystko zrekompensuję.

– Pan mnie? – zdziwiłam się. – Przecież to ja w pana wjechałam.

– Tak, ale ja nie włączyłem kierunkowskazu.

Spojrzałam na faceta jak na idiotę, ponieważ jego kierunkowskaz migał do tej pory.

– Pewnie załączył się w czasie uderzenia. – Powiódł spojrzeniem za moim wzrokiem. – Jeśli pani pozwoli, zadzwonię po lawetę i od razu odstawimy pani auto do warsztatu.

– Nie, wezwiemy policję – oznajmiłam hardo.

– Po co? Przecież się przyznałem do winy...

– Nie do swojej. Ktoś to więc musi rozsądzić.

– Pani Ago, niemiłe pani kilka stów w portfelu, a kilka punktów karnych na koncie? – spytał. – Bo potraktują nas oboje w ten sposób. A ja nie mogę złapać już ani jednego, bo zabiorą mi prawo jazdy!

Facet rzeczywiście wyglądał na zmartwionego, więc pomyślałam sobie, że może w istocie chodzi mu o te punkty. Przez chwilę zastanawiałam się, co powinnam teraz zrobić.

– Proszę pozwolić mi załatwić sprawę po dżentelmeńsku – poprosił. – Pewnie nie dojdziemy do tego, kto zawinił, a mnie naprawdę zależy na prawie jazdy. Bez niego mogę pożegnać się z pracą...

– Okej, niech panu będzie – zgodziłam się prawie przekonana.

Mężczyzna w miarę szybko załatwił transport mojego auta i zajął się całą resztą. A ponieważ zdarzenie miało miejsce raptem kilkaset metrów od mojego domu, pobiegłam pośpiesznie do synka.

Przez dwa najbliższe dni jeździłam do pracy autem matki, która ostatnio zawsze stawała na wysokości zadania, gdy była potrzebna. Po tym czasie Sowiński odstawił mi moje pod sam dom, przyniósł również kwiatki, i... kolejnego lizaka dla Maciusia.

– O, nie! – zaprotestowałam. – Moje dziecko nie jada takich rzeczy. Proszę to zabrać.

– Okej, szczerze mówiąc, nie bardzo znam się na dzieciach – powiedział lekko zmieszany. – Może nieco lepiej na kobietach, dlatego pozwoliłem sobie przynieść kwiaty w ramach dodatkowych przeprosin.

Wzięłam od niego bukiet, choć wewnątrz coś we mnie zawrzało. Ten gostek miał naprawdę spory talent do wkurzania mnie. Nie dość, że przylazł z trucizną dla mojego synka, to jeszcze przy okazji nie omieszkął się pochwalić swoimi podbojami.

– Proszę czuć się, jakby nie było sprawy. I gratuluję.

– Czego?

– Znajomości kobiet – wypaliłam, w sumie nie wiem dlaczego ani po co.

– Dziękuję – odparł zdziwiony. – Praktykuję takie gesty na mamie, babci i siostrze.

Zrobiło mi się głupio, bo mogło to zabrzmieć, jakbym była zazdrosna.

– Tym bardziej gratuluję – dodałam z nadzieją na zatarcie takiego wrażenia.

– Wejdzie pan na kawę?

Z tą propozycją wystąpiłam już zupełnie świadomie wbrew sobie, zwłaszcza że tyle co wróciłam z pracy i nie miałam czasu na cze pogaduszki. Chciałam jednak, żeby mężczyzna nie pomyślał sobie, że mam coś do niego. W tę lub inną stronę.

– Chętnie – odpowiedział, a ja robiąc dobrą minę do złej gry, poprowadziłam go do salonu.

Maciuś był z tatką na górze, pomyślałam więc, że jeśli pogwarzę z Karolem jakieś pół godziny, nic wielkiego się nie stanie. Na wszelki wypadek poczęstowałam go wyłącznie kawą, mimo iż dzięki nowo odkrytym talentom taty w naszym domu zawsze było jakieś ciasto. Niestety, ojciec słysząc na dole głosy, zszedł z Maciusiem na dół i widząc niespodziewanego gościa, sam podetknął mu pod nos talerzyk z szarlotką.

– To może ja... wyjdę z nim jeszcze do ogrodu – powiedział, sądząc, że powinien zostawić nas samych.

Z całych sił starałam się nie uzewnętrznić rosnącego zniecierpliwienia, więc uśmiechałam się tylko głupawo.

– Piękny dom – pochwalił Sowiński. – Taki z duszą.

– To zasługa ojca. Ma talent do prac remontowych.

– Z pewnością, ale znać też i kobiecą rękę.

– Nawet cztery! – Marcysia wyłoniła się ze swojej samotni i nieproszona włączyła się do rozmowy. – A tak w ogóle, co cię do nas sprowadza? Podobno Aga ci skasowała auto?

To było pytanie do gościa. Zdziwiłam się, że są na ty.

– Raczej odwrotnie i właśnie przywiozłem samochód twojej siostry, a w nagrodę dostałem filiżankę pysznej kawy.

– Lizus. – Marcysia roześmiała się. – Przyszłam tylko po szarlotkę i już znikam.

Dosłownie jakby się zmówili, żeby mnie zostawić samą w tej niezręcznej

sytuacji. Karol jednak nie okazał się zbyt uciążliwy, porozmawialiśmy przez chwilę na neutralne tematy i sobie poszedł. Nawet całkiem fajnie mi się z nim gadało, nie zamierzałam go jednak zatrzymywać.

Od tej pory irytował mnie już nieco mniej, mniej niechętnie odpowiadałam na jego durnowate ukłony i na tym nasz kontakt byłby się szczęśliwie zakończył, gdyby nie pewien zbieg nieoczekiwanych okoliczności. Otóż Maciusiowi wyrzywały się kolejne ząbki, nawet nie marudził i nie płakał, ale zdarzało się, że miewał wysoką gorączkę. W takim właśnie dniu wzięłam sobie urlop na żądanie, bo ojcu skroił się pilny wyjazd, Marcysia była od tygodnia na obozie jeździeckim, a mama na wczasach. Nie mogłam oddać dzieciaka w takim stanie pod opiekę komu bądź, mimo iż mały już zdążył się przyzwyczaić do awaryjnych sytuacji i czasem bywał zostawiany pod opieką osób mniej sobie znanych. Niestety, w tym dniu coś działo się w firmie i dostałam pilny telefon, by natychmiast przyjechać w sprawie jakichś papierów. Podzwoniłam do kilku sprawdzonych osób, ale żadna z nich nie była w stanie tak nagle oderwać się od swoich zajęć i pobyć przez godzinę z Maciusiem. Już miałam zamiar go ze sobą zabrać, gdy zobaczyłam przez okno płaczącego się jakby bez celu po swoim obejściu młodego Sowińskiego. Wyszłam na taras i zaczekałam, aż mnie dojrzy, po czym pomachałam do niego ręką. Odległość była zbyt duża, żebym miała wrzeszczeć do niego i tłumaczyć, o co chodzi, on jednak na szczęście zorientował się, że coś jest na rzeczy, i przybiegł niezwłocznie.

– Wołała mnie pani? – spytał z lekką zadyszka.

– Tak. Miałabym do pana ogromną prośbę, gdyby miał pan trochę wolnego czasu.

– Owszem, mam i z przyjemnością zrobię, o co pani poprosi.

Zgrzytnęłam zębami na tę rażącą galanterię, po czym szybko streściłam mu swój problem.

– Ależ oczywiście, że zostanę z małym – odparł bez wahania. – Proszę jechać spokojnie.

– Uprzedzam, że będzie marudził, bo mu ząbki rosną. Może nawet płakać, niestety, nie mam innego wyjścia.

– Przeżyjemy obaj, zapewniam. – Uśmiechnął się.

Zaprowadziłam go do synka, który od pewnego czasu bezskutecznie próbował zasnąć, nieprzyjemne doznania spłycały jednak jego sen i wybudzały co jakiś czas. Położyłam w widocznym miejscu butelkę z piciem, żel do smarowania dziąseł i poinstruowałam szeptem Karola, co do czego i kiedy. Wyszłam w pośpiechu, nie oglądając się za siebie, bo gdyby akurat teraz Maciuś zakwilił, nie byłabym w stanie go zostawić.

\* \* \*

Gdy zajechałam do firmy, pierwszą rzeczą, jaką ujrzały moje oczy, były całe góry papierów zalegające na biurkach, szafkach, a nawet podłodze.

– Co się tu dzieje? – spytałam koleżanek, bo teraz dostrzegłam również, że wszystkie szuflady i drzwiczki mojego biurka pootwierane są na oścież.

– Szef nie może czegoś znaleźć. Prosił, żebyś od razu do niego przyszła, jak tylko się zjawisz.

Zapukałam więc grzecznie do drzwi jego gabinetu i weszłam.

– Jesteś. – Odsapnął z widoczną ulgą. – Szukam kopii raportu dla Grostału. Ty go pisałaś.

– Zgadza się – przypominałam sobie z pewnym trudem, bo było to dość dawno, a poza tym w tej chwili cały mój umysł zaprzętał Maciuś.

– No więc daj mi jego kopię.

– Ale ja jej nie mam. Wpięłam do segregatora jak wszystkie inne.

Byłam zła, że z powodu jakiejś dupereli odrywa mnie od dziecka, szczególnie że ze znalezieniem szukanego papieru nie powinien mieć najmniejszego problemu.

– Jak to nie masz?!

– Bo gdzie niby mam mieć? W domu? Wpięłam do segregatora, przecież ci mówię.

– Nie ma.

– Ale... badania dla Grostału były tuż przed tym, jak poszłam rodić, więc może ktoś inny robił ten raport... – przypominałam sobie mgliście.

– Nie kto inny, bo podpis jest twój. – Czarek był coraz bardziej nerwowy.

– Pokaż mi oryginał, może sobie przypomnę.

Spojrzałam mu przez ramię na leżący przed nim papier i mimo iż szybko zabrał mi go sprzed oczu, zdążyłam stwierdzić, że nie znam takiego dokumentu.

– Nie, ja niczego takiego nie napisałam – powiedziałam z przekonaniem. – To wszystko? Bo śpieszę się do dziecka.

– Do którego segregatora włożyłaś kopię?

– Do żadnego. Skoro nie ja to napisałam, nie mogłam mieć w ręce kopii.

Wyszłam, mimo iż Czarek wciąż jeszcze coś do mnie mówił, miałam w końcu dzisiaj urlop.

– Znalazł? – spytała ruda Aneta, gdy przechodziłam obok niej.

– Nie i nic mnie to nie obchodzi – odparłam.

Miałam wrażenie, że na jej twarzy odmalował się dyskretny uśmiezek satysfakcji, za bardzo mi się jednak śpieszyło, żeby dociekać, o co chodzi. Chciałam być jak najszybciej w domu, przy moim synku.

Do domu weszłam najciszej, jak się dało, na wypadek gdyby Maciuś spał. Podeszłam na palcach do jego pokoiku i bezdźwięcznie uchyliłam drzwi. Obrazek, jaki ujrzałam, rozbawił mnie zarazem i rozczulił. Na tapczaniku mojego synka

zwinięty jak rolada spał Karol, a Maciuś na nim. Maciuś trzymał pod pachą ulubionego misia, a Karol tulił do siebie pluszowego królika. Żaden z nich nie wyglądał na cierpiącego. Usiadłam ostrożnie na małym skrawku tapczanu i napawałam się przez chwilę tym widokiem. Karol chyba wyczuł moją obecność, otworzył oczy i spojrzał na mnie zmieszany. Nie mógł się jednak zerwać na równe nogi, bo Maciuś nadal na nim spał.

– Widzę, że nawiązał pan bliższe relacje i z Maciusiem, i z Makssem? – zaśmiałam się cicho.

Mężczyzna spojrzał na królika i również się zaśmiał.

– No cóż, jak to się mawia, przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi...

– Jak było?

– W porządku. Chwilę popłakał i zasnął. Śpi tak do teraz.

Wzięłam ostrożnie w ramiona śpiącego synka, by uwolnić spod niego Karola. Nawet się nie obudził, więc ułożyłam go z powrotem.

– Dziękuję bardzo – zwróciłam się z wdzięcznością do chłopaka. – Jak mogę się panu zrewanżować?

– Może mnie pani poczęstować kawą, jeśli to nie kłopot. Muszę pobudzić krążenie.

Przeszliśmy do kuchni. Zrobiłam dwie kawy i usiedliśmy naprzeciwko siebie.

– Co to za pilna sprawa była, jeśli mogę spytać?

– Och, nawet jeśli pilna, to niepotrzebnie mnie fatygowano. – Machnęłam lekceważąco ręką. – Bo w niczym nie byłam w stanie pomóc.

– Bywa i tak. Czym się pani zajmuje?

– Pracuję w firmie testującej części do maszyn górniczych. Wie pan, jakość wykonania, wytrzymałość i takie tam. Dopiero po przejściu naszych badań mogą zostać dopuszczone do użytku.

– Odpowiedzialne zajęcie – stwierdził z uznaniem mężczyzna.

– Na szczęście nie ja to robię. – Uśmiechnęłam się. – Ja tylko sporządzam raporty na podstawie opinii ekspertów i tylko taka jest w tym moja rola. A pan? Co pan porabia w życiu?

– Mam własną działalność, jak to się mówi. Jeszcze będąc na studiach, rozkręciłem mały interes, który zupełnie niespodziewanie dla mnie przerodził się w całkiem poważny biznes. Międzynarodowy, że tak to ujmę.

– Czyli?

– Handel sprzętem sportowym. Import, eksport, serwis gwarancyjny i pogwarancyjny.

– Dobrze idzie?

– Bardzo dobrze. Teraz nie muszę się już zajmować wszystkim sam,

zatrudniłem ludzi i dzięki temu mam trochę więcej czasu na odwiedzanie rodziców.

– Więc pan tu już nie mieszka?

– Zależy, co pani ma na myśli, mówiąc „tu”. – Uśmiechnął się. – Z rodzicami już nie, ale mam swój dom w tym samym mieście. Jestem prawdziwym lokalnym patriotą i gdy się dwa lata temu zdecydowałam na budowę domu, nie wyobrażałam sobie innego miejsca.

– Podoba się panu w tej pipidówce? – zapytałam zdziwiona.

Wydawało mi się, że każdy, kto miałby szansę się stąd wyrwać, zrobiłby to bez wahania. Ja i moja rodzina również byliśmy przywiązani do swoich korzeni, ale myślałam, że dzisiaj młodzi, wolni i zamożni ludzie myślą innymi kategoriami.

– Podoba mi się. Proszę sobie wyobrazić, że im więcej zwiedziłem świata, tym bardziej podoba mi się tutaj. Tak jakoś mam.

Miło było mi to słyszeć, bo i ja byłam podobnego zdania.

– Chyba źle pana oceniłam – przyznałam z niewyraźną miną.

– Wiem, czułem, że nie darzy mnie pani sympatią...

Zapadło chwilowe milczenie. Dla zatarcia niemiłego wrażenia zaproponowałam wypicie bruderszaftu kawą, na co on przystał bardzo chętnie. Pogadaliśmy jeszcze przez chwilę, a gdy usłyszeliśmy, że Maciuś się obudził, Karol pożegnał się i wyszedł, deklarując, że gdybym jeszcze kiedyś go potrzebowała, to on jest chętny.

## ROZDZIAŁ XVII

Tedi

Od tamtej pory nie unikałam już mojego młodego sąsiada, przeciwnie, jak tylko gdzieś na siebie wpadliśmy, zawsze zamieniliśmy ze sobą przysłowiowe kilka słów, a bywało i tak, że nasze pogawędki się przedłużały na tyle, ile mogłam sobie pozwolić w moim ciągłym biegu. Karol okazał się ciekawym człowiekiem, mądrym, rzeczowym, ale i dowcipnym, ze sporym poczuciem humoru. Zdarzało się, że próbował mnie zaprosić to na kawę, to do kina, twierdząc, że należałoby mi się od życia coś wyłącznie dla mnie. Ja jednak zbywałam te jego propozycje, bo szczerze mówiąc, Karol czasem mnie trochę przerażał. W jego spojrzeniu dostrzegałam niekiedy ten rodzaj zainteresowania, które moim zdaniem było absolutnie nie do przyjęcia. Owszem, chłopak był ładny, kulturalny, miły – dla mnie był jednak tym samym gówniarzem, którego widywałam, odwiedzając w dzieciństwie ciocię Haneczkę.

Miałam chyba siedem lub osiem lat, gdy on pod okiem matki zapierniczał po okolicy na trójkołowym rowerku ze smarkiem pod nosem. Był ode mnie o kilka lat młodszy, co było dla mnie absolutnie nie do przyjęcia i gdyby pozwolił sobie na cokolwiek więcej niż tylko maślane oczy, zamierzałam natychmiast, bez żadnych ceregieli, zerwać naszą znajomość. Miałam jednak nadzieję, że to nigdy nie nastąpi, bo w sumie był teraz jedyną osobą spoza mojej rodziny, z którą miło było czasem pogawędzić.

Któregoś wieczoru, gdy już uśpiłam Maciusia i usiadłam na tarasie, by zapalić papierosa, dostrzegłam przesuwaną się wzdłuż ogrodzenia cień ludzkiej sylwetki. Zanim jednak zdążyłam się wystraszyć, cień zgrabnie hycnął przez płot i objawił mi się w swojej realnej postaci. To był Karol. Postawił przede mną pół butelki czerwonego bordeaux i nieproszony usadowił się naprzeciw mnie. Był na ledwo dostrzegalnym rauszu.

– Hej, właśnie sobie siedziałem w ogrodzie i oblewałem samotnie duży kontrakt mojej firmy, gdy dostrzegłem siedzącą na wzgórzu równie samotną postać. Napijesz się ze mną z tej okazji?

– Czemu nie? – odparłam, bo po całym męczącym dniu i mnie lampka wina dobrze by zrobiła. – Pójdę po kieliszki.

– Ja piłem z gwinta – zaśmiał się Karol. – Urocze wspomnienie pierwszej ukradkowej degustacji z kumplami z liceum...

– Dawaj w takim razie. – Wzięłam od niego butelkę i pociągnęłam kilka łyków.

W ten sposób uporaliśmy się z trunkiem dość szybko. Uznałam, że pora położyć się spać, kontrakt kontraktem, ale dla mnie nazajutrz był najzwyczajniejszy dzień. Wstałam, żeby się pożegnać, a wtedy Karol podszedł do mnie, objął mnie mocno i pocałował. Przez moje ciało przebiegły dawno nieodczuwane dreszcze, z trudem opanowałam narastające emocje i wyrwałam mu się z krzepkich ramion.

– Idź sobie – powiedziałam. – I nie pokazuj mi się więcej na oczy.

\* \* \*

Karol rzeczywiście zniknął z mojego pola widzenia, z tego co wiem, wyjechał zaraz po tym zdarzeniu za granicę w interesach. Może wziął sobie również do serca moją reakcję na jego nieoczekiwane awanse, tak czy inaczej, przez kilka tygodni w ogóle go nie widywałam, co przyjąłam ze sporą ulgą. Nie miałam teraz głowy do odpierania ewentualnych dalszych zalotów, bo mój synek znów zaczął gorączkować. Nadal wyrzynały mu się ząbki i dzieciak bardzo źle to znosił, a mnie jeszcze dwukrotnie zdarzyła się sytuacja, że nie miałam go komu zostawić pod opieką i musiałam zawieźć go do dosyć już niedołącznej babci Kundzi. Uznałam w końcu, że pójdę z nim do lekarza i poproszę o kilka dni zwolnienia, dopóki mama nie wróci z wczasów, a Marcysia z obozu. Tatko ostatnio zajęty był budową kurnika, uznał bowiem, że będziemy dorabiali sprzedażą jajek i drobiu, bywał więc czasem taki zmęczony, że nie miałam sumienia obarczać go dzieckiem. Pomagał mu co prawda jakiś kolega, którego po latach niewidzenia spotkał przypadkiem na mieście, ale tak czy inaczej, pracował bardzo ciężko.

W przychodni był tłum matek z dziećmi, widać mimo ładnej pogody panowała jakaś grypa czy coś w tym rodzaju. Denerwowałam się, bo Maciuś marudził, inne dzieciaki też dawały głośno upust swoim emocjom, co jeszcze bardziej potęgowało jego niepokój. Niestety, nie było innego wyjścia i trzeba było odczekać na swoją kolej. Spoglądałam na drzwi gabinetu w oczekiwaniu, że lada chwila będę miała z głowy przynajmniej jedną osobę z kolejki, i gdy te wreszcie się otworzyły, zobaczyłam w nich rudą Anetę ze swoim dzieckiem. Nigdy wcześniej nie starałam się wyobrazić jej sobie w roli matki, dlatego teraz, mimo iż widziałam, że nią jest, poczułam się z lekka zaskoczona. Ona też mnie dostrzegła i ruszyła w moim kierunku. Po chwili obie spoglądałyśmy na swoich synów w zdumieniu, ponieważ... chłopcy byli niemal identyczni! Obaj mieli gęste ciemne czupryny, okrągłe twarze, zadarte noski i charakterystyczną przerwę między mlecznymi jedykami. Jej synek był jednak, sądząc na oko, o jakieś dwa lata starszy od mojego.

Odruchowo wstałam z krzesła, bo Aneta stała. Postałyśmy zatem przez kilka minut w milczeniu, po czym ona poszła w swoją stronę, a ja na powrót usiadłam. Z tego wszystkiego przestałam liczyć osoby ubywające z kolejki, a i Maciusiowi chyba udzielił się mój szok, bo zupełnie przestał popłakiwać. W sumie nie miałam

za bardzo nad czym dumać, bo skoro mój synek był dosłownie skórą zdjętą z ojca, a synek Anety wyglądał prawie tak samo jak mój, wniosek nasuwał się sam. Zanim jeszcze przyszła nasza kolej, zdążyłam pokoiarzyć kilka spraw, między innymi zrozumieć, skąd wzięła się niechęć Anety do mojej osoby. Myślę, że ja również nie pokochałabym zbyt szybko swojej następczyni...

Lekarka wypisała mi całe czternaście dni opieki na dziecko, miałam więc czas na choćby niewielkie zdystansowanie się do swojego odkrycia oraz na inne przemyślenia. W pierwszej chwili wydawało mi się, że jakoś mocniej to przeżyję, ale skoro już wiedziałam, jaka z Czarka świnia, przyszło mi łatwiej pogodzić się z sytuacją. Wyglądało na to, że mój synek ma dwóch przyrodnich braci, jednego z oficjalnego związku Czarka, a drugiego z romansu z Anetą. Nie miałam pojęcia, co ona pomyślała, ale ustaliłam sobie, że jeśli nie poruszy sama tematu, ja także potraktuję sprawę, jakby jej nie było.

Na razie więc nie podzieliłam się tą informacją nawet z ojcem. Tatko zresztą był tak pochłonięty budową kurnika i związanymi z nim planami, że prawie o niczym innym nie mówił i nie myślał. Ja również miałam przy okazji zajęcie, bo gotowałam obiady dla ojca i jego pomocnika, a ponieważ on pomagał mu całkiem bezinteresownie, przynajmniej tak byliśmy w stanie mu się odwdziaczyć. Przy sprzyjającej pogodzie pracowali do samego wieczora i wówczas jadaliliśmy również wspólnie kolacje, kolega ojca został u nas kilka razy na noc, gdy pokój Marcysi był wolny, a potem całkiem już się zadomowił.

Wydawało mi się, że facet od początku robił do mnie oczy, nie zwracałam jednak na to uwagi, ale teraz, gdy przyszło nam spędzać z sobą więcej czasu, zaczął uderzać ze znacznie grubszego kalibru. Komplementował mnie nieustannie, wodził za mną wzrokiem, zaczął nawet przynosić kwiaty i bombonierki. Gdy zamierzałam odmówić ich przyjęcia, tatuś gromił mnie wzrokiem. Nie chciał pewnie, żeby było mu przykro. Gostek najwyraźniej brał to za dobrą monetę i zaczął już regularnie się do mnie przystawiać, dlatego zawsze, gdy groziło mi z nim jakieś sam na sam, starałam się mieć przy sobie Macusia. Mój synek miał już prawie dwa latka, całkiem sprawnie chodził, a nawet biegał, zaczynał formułować pierwsze proste zdania i ten fakt właśnie miał największy wpływ na jedną z najgłębszych decyzji, jakie zdarzyło mi się w życiu podejmować. Bo... kiedy ni z tego, ni z owego Tadeusz mi się oświadczył, po krótkim wahaniu ja te oświadczyzny przyjąłam. Wiedziałam o nim tylko tyle, że ma czterdzieści lat, jest rozwiedziony, ma z tego małżeństwa pełnoletniego syna i że jeździ na tirach. Teraz akurat miał dłuższy urlop, a ponieważ od kilku lat był w nieustającej trasie i nie miał własnego domu, wolał ten czas spędzić, pomagając tacie, niż waletując tradycyjnie u matki. Kasy miał więcej, niż wydawał, więc mógł sobie pozwolić na popracowanie za friko.

Zanim jednak zgodziłam się zostać jego żoną, dostaliśmy z tatusiem pismo z banku, że frank znów poszedł w górę, co wprowadziło nas niemal w czarną rozpacz.

Jedynym wyjściem dla nas w tej sytuacji byłoby, żeby tatko znów poszedł do pracy, a Maciusiowi trzeba by było znaleźć opiekunkę. I to był pierwszy czynnik, który zaczęłam brać pod uwagę, rozważając ewentualność małżeństwa z Tadeuszem. Myślałam sobie, że jakoś to wszystko zniosę dla wyższego dobra, facet wpadałby do domu na weekendy raz na dwa tygodnie, mogłabym więc przez ten krótki czas postarać się być jego żoną, w skali roku wychodziło jakieś czterdzieści osiem dni plus urlop. Za to dzięki jego finansowemu wsparciu nie tylko związalibyśmy koniec z końcem, ale może i szybciej spłacili dług. Biłam się z myślami w tę i nazad, co jakiś czas napotykałam pełen nadziei wzrok ojca. Dopiero Maciuś sprawił, że się zgodziłam. Nawet nie chodziło o to, by się z Tadeuszem jakoś szczególnie polubili, ale gdy mały zaczął zwracać się do niego, przekręcając jego imię z Tadeuszem na „tatu”, totalnie mnie to rozwaliło, bo brzmiało w moich uszach jak „tatusz”. Powiedziałam więc sobie: raz kozie śmierć! Nawet jeśli ja nie zasługuję na męża jak z bajki, to moje dziecko zasługuje przecież na ojca. I moja już w tym głowa, by się Tedi w tej roli sprawdził jak należy...

\* \* \*

Mój narzeczony bardzo się do ślubu śpieszył. Nalegał, by natychmiast załatwić wszystkie formalności, bo jak najszybciej chciał zostać pełnoprawnym członkiem naszej rodziny i moim mężem, rzecz jasna. Mnie się osobiście wydawało, że tak naprawdę pali mu się do nocy poślubnej, bo tymczasem nie pozwalałam mu na zbyt wiele.

– Ale przecież... już nie jesteś prawiczką, bo masz dziecko – odparł zdziwiony, gdy mu oznajmiłam, że przed ślubem zero seksu.

– Zgadza się – odparłam ze spokojem. – Dlatego teraz już wiem, jaka powinna być właściwa kolej rzeczy...

Tedi zaakceptował moją postawę, widać doszedł do wniosku, że jakoś wytrzyma, zwłaszcza że ślub miał się odbyć w trybie ekspresowym, raptem w dwa tygodnie po tym, jak powiedziałam „tak”. I jakkolwiek on nie mógł się tej chwili doczekać, ja przeciwnie – dostawałam coraz większego cykora. Wątpliwość co do mojej decyzji najskuteczniej wzbudziła Marcysia. Gdy wróciła z wakacji, powiedziałam jej o moich planach, wyliczyłam jej wszystkie „za”, skrętnie omijając „przeciw”, a ona tylko spojrzała na mnie zdziwiona i spytała, czy zdaję sobie sprawę z tego, że jest to decyzja na całe życie, nie tylko na czas spłacania kredytu. Poza Marcysią nikt nie próbował mi tego kroku odradzić, w końcu więc nadszedł dzień, w którym mieliśmy stać się z Tedim mężem i żoną.

W holu naszego domu zebrała się garstka zaproszonych na tę okoliczność gości: moi rodzice, dziadkowie, babcia Hania, Marcysia i Goguś z Rafałką oraz rzecz jasna Maciuś. Ze strony Tediego pojawiła się tylko jego matka. Śmieszna, nieduża kobietka wystrojona jak na audiencję do królowej, w pstrokatą garsonkę

i wielki dziwaczny kapelusz. Wtedy widziałam ją po raz pierwszy. Tuż przed wyjazdem do urzędu stanu cywilnego rozpełtała się straszliwa burza, na zewnątrz wiało jak cholera, przyginając drzewa niemal do ziemi, deszcz lał jak z cebra. Dziadek Grzegorz w ostatniej chwili zrezygnował z udziału w ceremonii, był bowiem obarczony siedzącą na wózku babcią Kundzią, która bardzo ostatnimi czasy niedomagała.

– Jedźcie bez nas – powiedział. – Nie ma sensu, żebym próbował zapchać ją w takich okolicznościach do auta, jeszcze zapalenia płuc dostanie.

Spojrzałam na babcię z zalem, ale ona wyglądała, jakby wcale do niej nie docierało, że nie pojedzie na mój ślub.

– W porządku, dziadku, zostańcie w domu – rzuciłam w pośpiechu i pod rękę z Tadeuszem wyszliśmy wprost w paszczę żywiołu, za nami niechętnie podążyła reszta.

Zanim doszliśmy do samochodów, wszyscy przemoczeni byliśmy do suchej nitki, damy nie miały już na głowach śladu po porannych wizytach u fryzjerów. Moje misterne loki zamieniły się w mokre strąki, sztuczny kwiat, który miałam wpięty we włosy, stracił całą swoją sztywność i obwisł jak mokra szmata, przyklejając mi się do czoła. Spojrzałam przelotnie w lusterko kierowcy i stwierdziłam, że wyglądam jak ofiara utonięcia, z plamami opadowymi w górnych partiach twarzy. Tadek wyglądał nie lepiej, włosy sterczały mu pod nienaturalnym kątem od tyłu do przodu, bo widać tak akurat ułożył mu je wiatr. Poza tym był czymś upačkany na gębie, ale ponieważ jego wygląd był mi całkiem obojętny, nie zwróciłam mu na to uwagi.

W urzędzie było jeszcze na tyle czasu, by doprowadzić się do jako takiego porządku. Oczywiście nadal piękna nie byłam, ale po starciu tuszu do rzęs spod oczu i lekkim zmierzwieniu oklapłych włosów było już ciut lepiej. Stroik wyrzuciłam do kosza w toalecie.

Ceremonia ślubna trwała jakieś dwadzieścia minut, pewnie nie zdążyłabym się nawet porządnie rozmyślić, gdyby w ogóle coś takiego wchodziło w grę. Właściwie czułam się jak we śnie, jakbym to wcale nie była ja, tylko jakiś teatr, w którym brałam przypadkowo udział, albo jak zabawa z dzieciństwa, w której urządziło się na niby śluby i wesela. Gdzieś z tyłu głowy miałam przez cały czas słowa Marcysi, że to na całe życie. Na-ca-łe-ży-cie! Ale trudno. Skoro to ja zgotowałam synkowi taki los, teraz musiałam mu to jakoś zrekompensować. Choćby własnym kosztem...

Na dość skromnym, domowym przyjęciu było mi już trochę lepiej, bo zaraz po obiedzie wlałam w siebie dwa dubeltowe drinki. Mogłam sobie na to pozwolić, bo Maciuś był przez cały czas pod czujną opieką mamy, która od pewnego czasu pozostawała bardzo solidną abstynentką. To do niej zadzwonił dziadek Grzesiek z informacją, że ani jego, ani babci Kundzi nie będzie na moim miniweselu, bo

babcia gorzej się poczuła i dziadek musiał odtransportować ją do domu. Mama sprawiała wrażenie bardzo zmartwionej tym faktem, aż za bardzo jak na nią, popłakiwała nawet, ukradkiem starając się to przede mną ukryć. Myślałam, że to nagły stan trzeźwości uczynił ją raptem taką wrażliwą i rodzinną, na drugi dzień z samego rana dowiedziałam się niestety gorzkiej prawdy.

Babcia Kundzia zmarła w dniu, w którym brałam ślub. Mało tego, zmarła w moim własnym domu, jeszcze zanim wyjechaliśmy do urzędu. Odeszła tak cicho, że dziadek zorientował się w momencie naszego wyjścia, nie chcąc jednak robić zamieszania, zataił ten fakt i dopiero gdy wszyscy odjechali, wezwał karetkę. Wiedziała tylko mama, ale i ona nie chcąc psuć mi przyjęcia i nocy poślubnej, poinformowała mnie o śmierci babci dopiero nazajutrz. W sumie i tak nie miała czego zepsuć, bo mój pierwszy seks ze ślubnym mężem trwał mniej więcej tyle, co demakijaż jednego oka. Tak mi się czasowo skojarzyło, bo mimo iż nie miałam chęci na małżeńskie „igraszki”, jako lojalna, prawowita żona przygotowałam się do tego bardzo starannie: wzięłam prysznic, nasmarowałam ciało wonnym balsamem, włożyłam seksowną koszulkę i na wszelki wypadek użyłam też nawilżającego żelu intymnego. Tak więc, gdybym miała porównać czas samego aktu do czasu moich ablucji, wyszłoby właśnie mniej więcej tyle, ile zmycie makijażu z jednego oka.

Tedi najwyraźniej zapomniał już, jak to jest kochać się z normalną kobietą, i korzystając pewnie przez lata z usług „tirówek”, nabrał nawyku, by wszystko odbywało się szybko, skutecznie i bez żadnych ceregieli. Toteż gdy tylko skończył, bez słowa odwrócił się do mnie tyłem i prawie natychmiast zaczął chrapać.

Nie oczekiwałam, że będzie przyjemnie, ale mogło być chociaż miło... Gdyby Tedi okazał mi wtenczas odrobinę czułości, przytulił, pogłaskał, powiedział jakieś ciepłe słowo, dałby mi powód, żebym się zaczęła starać coś do niego poczuć... Miał tylko jedną zaletę w tej sferze: niczego ode mnie nie oczekiwał, nie musiałam więc nawet udawać orgazmu.

Małżeństwo z Tedim bardzo szybko stało się dla mnie koszmarem. Poza tym, że on okazał się zwykłym prostakiem, nie spełniło żadnych pokładanych w nim oczekiwań. Nie liczyłam na to, że ja będę szczęśliwa u jego boku, myślałam jednak, że będzie dobrym tatą dla Maciusia. Nie był. Nie robił mojemu synkowi krzywdy, ale też zupełnie jakby nie docierało do niego, że stanowimy rodzinę trzyosobową. Czasem kupił mi jakąś zabawkę i tylko do tego się ograniczał. Jeśli chodzi o jego wkład finansowy w utrzymanie domu, mój małżonek wykalkulował sobie, że będzie się dokładał tylko wówczas, gdy będzie w nim przebywał. W efekcie kasę dawał mi tylko w weekendy, na które zjeżdżał z trasy. Wymagał za to solidnych domowych obiadków, prowiantu w słoikach na kolejny wyjazd i mojego ciała do dyspozycji. Przywoził mi też górę prania, z którą musiałam się uporać do jego wyjazdu, a lubił, gdy wszystko było czyste, pachnące i porządnie wyprasowane. On przecież nie miał warunków, by się tym samemu zająć...

Nie żaliłam się nikomu i nie narzekałam, pchając w cichości wózek, który sama sobie załadowałam badziewiem, myśląc naiwnie, że to pełnowartościowy towar. Robiłam wszystko, by nikt nie zorientował się w mojej głupocie, zwłaszcza Marcysia i mama, oraz żeby tatko nie wpadł w poczucie winy. Właściwie gdybym była przesądna, uznałabym, że wszystkie znaki na niebie i ziemi zwiastują, że małżeństwo z Tedim to poroniony pomysł. Nawet biedna babcia Kundzia wołała chyba nie dożyć tej chwili. Byłam zupełnie sama ze swoim dramatem, bo przecież Maciuś, jakkolwiek bardzo mi go osładzał, nie mógł być dla mnie żadnym wsparciem. Przeciwnie, to ja musiałam być dla niego opoką i trwać przy nim niewzruszenie, choćby mój własny świat miał lec w gruzach.

## ROZDZIAŁ XVIII

### Wszystkie nasze dzieci

Jeszcze nigdy dotąd nie zdarzyło mi się dokonać tak szczegółowej retrospekcji mojego życia... Fala wspomnień, jaka mnie dzisiejszego wieczoru nasza, miała być może na celu chwilowe odsunięcie na bok aktualnych problemów, niestety, kiedyś musiała przyjść pora na powrót do rzeczywistości. Otuliłam się szczelniej kocem, w kominku dogasało i zrobiło się chłodno. Wszyscy spali, dochodziła druga po północy, a wcześniej rano trzeba było wstać. Co prawda nie musiałam iść do pracy, bo lekarz, który zdiagnozował u mnie gripę, wystawił mi zwolnienie lekarskie, ale przecież miałam dziecko i męża, którymi trzeba było się zająć...

Wypiłam ostatni łyk zimnej już herbaty i podreptałam do sypialni, o mało nie przewracając się o sanki pozostawione na środku salonu przez Tadka. Zakląłam w duchu i przesunęłam je nogą pod ścianę. Mój mąż spał jak dziec-ko, pochrapując i ciamkając przez sen. Położyłam się obok ostrożnie, żeby go nie obudzić, bo z pewnością przyszedłoby mu natychmiast do łba, by powtórnie skorzystać z okazji. Sen jednak nie nadchodził. Oczy zaczęły mi się kleić dopiero wówczas, gdy zadzwonił budzik w mojej komórce. Tedi dziś wyjeżdżał w trasę, więc śniadanie musiało być wcześniej. Wygramoliłam się niechętnie z ciepłej pościeli, mając wrażenie, że od chwili, gdy się kładłam, upłynęło raptem kilka minut. Postawiłam wodę na herbatę, pokroiłam w plastry boczek i wrzuciłam na rozgrzaną patelnię. Jajecznica na boczku była bowiem potrawą, którą mój małżonek jadał z rana zawsze, gdy był w domu. Tadek zaczął dzień jak zwykle od wizyty w toalecie, nie do końca rozbudzony tradycyjnie obszczał deskę, zapominając ją uprzednio podnieść. Dawno już przestałam reagować na jego różne obleśne zachowania, bo na najdelikatniejsze nawet uwagi reagował złością i wrzaskami.

– Cześć, dzióbuś. – Cmoknął mnie w szyję na powitanie. – Ale pachnie! Twoja jajecznica jest najlepsza na świecie, wiesz?

– Nie wiem, bo innej nigdy nie jadłam – odparłam i zabrałam się do krojenia chleba.

– Nie w humorku? – spytał. – A czemuż to, jeśli można wiedzieć?

– Chora jestem i źle się czuję, wiesz przecież o tym.

– Już tam, chora. Kilka kresek gorączki więcej niż zwykle to żadna choroba. Nie rozczulaj się nad sobą, zabciu. Nie jesz?

– Nie mam apetytu.

– Mogę twoją porcję? – spytał i nie czekając na odpowiedź, nałożył sobie

resztę jajecznicy.

– Możesz – odpowiedziałam, nie wiem po co.

– Spakowałaś mi żarcie i ciuchy? – zapytał, usiłując strącić z brody jajecznego gluta, ale nie udało mu się bez użycia lustra.

– Zaraz to zrobię, dopiję tylko kawę.

– Kawa nie zajac, rybeńko, rusz swoją śliczną pupcią, chcę wyjechać jak najprędzej, bo drogi są ośnieżone. Chyba w nocy padał śnieg.

Miałam powiedzieć, że owszem, padał, a wiem to, bo nie zmrużyłam oka, ale zmilczałam. Wyjęłam z lodówki słoiki z golonką własnej roboty, smalcem ze skwarkami i piersią z kurczaka w sosie curry. Przytaskałam z salonu jego spakowane wieczorem rzeczy, słoiki powkładałam do mocnej, lnianej siatki.

– Daj jeszcze kawałek sernika – powiedział, obserwując kątem oka moje działania.

– A właśnie, zanim wyjedziesz... – przypomniało mi się. – Zostaw mi trochę więcej pieniędzy, trzeba będzie wymienić kabinę prysznicową.

Nie wspomniałam, że to Tadeusz wyrwał kiedyś w kabinie drzwi z prowadnic, założył je co prawda z powrotem, ale teraz od czasu do czasu wypadały już samoistnie.

– Powiedziałem ci przecież, że nie będę inwestował w ten dom, dopóki nie będę figurował w papierach jako jego współwłaściciel – odparł Tedi, wstając od stołu.

– To nie jest żadna inwestycja, tylko... koszty amortyzacji! – nie wytrzymałam i podniosłam głos.

Tadek podszedł do mnie, ujął w dłonie moją twarz tak mocno, aż mi chrupnęło w szczęce, i pocałował mnie w usta.

– Ja tutaj niczego nie amortyzuję, dziobuś. Gościem tu bywam jedynie.

Zabrał walizkę, siatkę z żarciem, które szykowałam mu wczoraj przez pół dnia, ledwo stojąc na nogach, i wyszedł.

\* \* \*

Byłam żoną Tediego czwarty miesiąc i każdego dnia spośród tych czterech miesięcy, każdej godziny żałowałam tego kroku. Trudno, taka karma. Byłam już właściwie pogodzona z tym, że będę znosić u swego boku kolejnego typu z przypadku, z tą różnicą, że związanego ze mną małżeństwem. Dopijałam kawę i poszłam spojrzeć na Maciusia. Mój kochany synek spał snem tak beztroskim, jakie miewa się tylko w dzieciństwie. Oddychał miarowo, na jego spokojnej buźce malował się zdrowy rumieniec. Wczorajsza przejażdżka na sankach dobrze mu zrobiła, w przeciwieństwie do mnie, ale to już mniej istotne. Po chwili obok mnie stanął tatko, równie zachwycony jak ja tym sielskim widokiem.

– I tylko on nam się, córeczko, w życiu udał – szepnął smutno. – Gdyby nie

ten brzdąc, chyba mi się już wszystkiego odechciało...

– Mnie też – odparłam, czując dokładnie to samo co on.

Zamknęłam cicho drzwi i przeszliśmy do kuchni. Rozmowa się nie kleiła, bo i o czym tu rozmawiać? Oboje wychodziliśmy z założenia, że jeśli jedynym tematem, jaki można w pewnych okolicznościach poruszyć, jest biadolenie na los, lepiej w ogóle nic nie mówić. Kilka minut po siódmej wstała Marcysia i również zaczęła szykować się do wyjazdu, na co dzień mieszkała bowiem w akademiku w Krakowie, gdzie od jesieni studiowała weterynarię. Moja siostra jako jedyna spośród dorosłych mieszkańców naszego domu wносиła do niego trochę życia. Zazwyczaj tryskała dobrym humorem i tak było też teraz.

– Cześć, smęciochy – powiedziała na dzień dobry. – Na jaką okoliczność takie ponure miny, jeśli można spytać?

– Nie ponure, tylko niewyspane – odpowiedziałam za siebie i tatkę.

– Ciebie jeszcze rozumiem, mąż zawitał, było w nocy co robić. – Roześmiała się. – Ale tatuś chyba mógł spokojnie spać?

– I spał – odparł tato. – Ale się jakoś nie wyspał.

– Czyżby to Aga krzyczała zbyt głośno w miłosnych uniesieniach? Ja niczego niestety nie słyszałam, mam twarde sen.

– Zaraz cię pacnę. – Pomachałam jej pięścią przed nosem. – I ty zaczniesz krzyczeć w uniesieniach.

Marcysia bywała w domu równie rzadko jak mój mąż, ale niekoniecznie w te same weekendy. Dlatego dość łatwo było mi ukrywać przed nią faktyczną kondycję mojego małżeństwa, poza tym moja siostra miała ostatnio na głowie tyle własnych spraw, że nie za bardzo zagłębiała się w moje życie. A skoro kiedyś tam powiedziałam jej, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, widać tak jej już zostało.

– No proszę cię! – powiedziała z udawanym oburzeniem moja siostra. – Ja tu się z uznaniem wyrażam o fizycznej kondycji tego niezbyt już młodego, bądź co bądź faceta, a ty mi pięścią wygrażasz! To co najmniej... nieetyczne.

– Nieetyczne jest, by taki szczył jak ty interesował się sprawami damsko-męskimi – odgryzłam się jej.

– Jestem już pełnoletnia, moja droga. A ty najwyraźniej straciłaś poczucie czasu. I humoru – nadąsała się Marcysia.

Na szczęście zajęła się w końcu jedzeniem i porzuciła drażliwy dla mnie temat. Tato w międzyczasie zrobił jej kilka kanapek do zabrania ze sobą, co pozwoliło mu się legalnie wyłączyć z naszej rozmowy. Marcysia wybiegła z domu jak zwykle na trzy minuty przed odjazdem autobusu, a zaraz po jej wyjściu zjawiała się u nas matka, która lubiła czasem robić nam podobne niespodzianki. Nieproszona sprzątnęła po naszym śniadaniu, nakroiła na talerzyk tatusiowego ciasta i zaparzyła sobie kawę.

– Wezmę Maciusia na spacer, jak się tylko obudzi – oznajmiła. – A ty się połóżysz i nie wstaniesz aż do obiadu. Nie wyglądasz najlepiej, wiesz?

– Wiem – odpowiedziałam niechętnie.

– Kiedy wracasz do pracy?

– Jutro.

– To nie jest najlepszy pomysł. – Mama spojrzała na ojca w oczekiwaniu na poparcie.

– Ja też tak uważam – powiedział tatek. – Ale co jej zrobisz, skoro się uparła?

– Właśnie skończyłam zażywać antybiotyk, więc kuracja skończona. Poza tym nie mogę sobie pozwolić na dłuższe chorowanie, nie nadgonię potem zaległości.

– Sama widzisz. – Tata wzruszył ramionami. – Przegrana sprawa.

Być może mama nadal by mnie przekonywała do dłuższego pozostania w domu, ale akurat Maciuś się obudził, przydreptał na bosaka do kuchni i wgramolił mi się na kolana.

– Choć tu do babci, smyku. – Mama zabrała go ode mnie. – Bo ona cię zarazi i będą nici z zabaw na śniegu.

– Nici? – Maciuś spojrzał zdziwiony na swoją babkę. – Lacedo nici?

– Tak się mówi, jak coś nie wyjdzie.

– Lacedo nie wyjdzie?

– Bo jak się zarazisz od swojej mamy, to będziesz chory. A jak będziesz chory, nie pójdziemy na sanki.

– Lacedo nie pójdziemy? – Maciuś dopiero co nauczył się formułować pytania i korzystał z tej umiejętności w nadmiarze.

– Bo jak się jest chorym, to się nie wychodzi na dwór, zwłaszcza w zimie – odpowiedziałam mu rozbawiona niepewną miną matki.

Pewnie wyczerpały jej się już odpowiedzi i nie wiedziała, jak sobie dalej z tym tematem poradzić.

– Siedź, ja mu zrobię śniadanie – powiedział tata, widząc, że się podrywam z miejsca. – A potem pójdziemy we trójkę lepić bałwana.

– Lacedo bałwana? – spytał Maciuś i roześmiał się w głos.

\* \* \*

Po wyjściu rodziców z Maciusiem wzięłam gorący prysznic, wypłam kubek herbaty z sokiem z malin i położyłam się do łóżka. Zasnęłam niemal natychmiast. Miałam jakieś koszmarnie sny, śniła mi się babcia Kundzia, Tadek jeżdżący po mieszkaniu rowerem, ruiny i zakonnice. Nie pamiętam konkretnie, w każdym razie i one, i kuracja gorącymi płynami sprawiły, że spociałam się jak mysz. Gdy się obudziłam, było już ciemnowo, chciałam szybko wyskoczyć z łóżka, by zobaczyć,

co się dzieje z moim synkiem, ale poczułam gwałtowny zawrót głowy i z powrotem upadłam w pościel. Po raz drugi zabrałam się do tej czynności wolniej i ostrożniej. Moje dziecko zastałam w salonie, siedzące razem z babcią i dziadkiem na podłodze i turlające z nimi piłkę. Cała trójka była w szampańskim humorze. Przez chwilę bez słowa patrzyłam na tę scenkę, napawając się rodzinną sielanką.

– Wstałaś już? – Pierwsza dostrzegła mnie mama. – Jak się czujesz?

– Całkiem dobrze – odparłam niemal zgodnie z prawdą. – Chyba nie mam już gorączki i głodna jestem jak cholera.

– To nieźle rokuje – roześmiał się tata. – Zaraz ci nałożę spaghetti. *Spécialité de la* twoja matka, z ogromną ilością oregano i lekką nutką spalenizny.

– Dawaj, jestem skłonna zeżreć absolutnie wszystko.

– Z lekką nutką srutką – wymamrotała urażona matka. – Ale od serca, a to się chyba najbardziej liczy...

Zabrałam się do jedzenia. Byłam tak wyposzczona, że żadne „nutki” nie były w stanie obrzydzić mi tej potrawy. Nagle zachciało mi się płakać.

– Czemu, do kurwy nędzy, zawsze nie mogło tak być? – spytałam ze spuszczoną nad talerzem głową, a łzy obficie kapały mi do makaronu. – Dopiero teraz, gdy już na wszystko za późno?

Rodzice milczeli.

– Ktoś się musiał rozchorować, ktoś inny umrzeć, kogoś innego los przeczołgać bezlitośnie, żebyście wreszcie docenili, jakie życie jest ważne? Jak ważna jest rodzina, dom, dzieci?

Rozzaliłam się na amen. Żał mi się zrobiło niewyobrażalnie tych wszystkich lat, które straciliśmy w idiotyczny sposób, żał mi było matki przez całe życie szukającej gruszek na wierzbie, wiecznie samotnego ojca, chowającej się samopas Marcysi i żał mi było mnie. I Maciusia, który być może mógł przyjść na świat w pełnej, kochającej się rodzinie. Chlipałam, jedząc, a moje spaghetti nabierało powoli smaku łez.

– Lacemu płacesz? – spytał Maciuś, który jako pierwszy dał głos.

– Bo babcia ugotowała strasznie niedobre jedzenie – odpowiedział mu tatko, widać nie mając lepszego pomysłu.

Maciuś podreptał w stronę lodówki, chwilę podumał i spytał:

– Chcesz metoda?

– Jakiego metoda? – spytałam, opanowując szloch.

Mój synek wyjął z lodówki serek truskawkowy i położył go przede mną na stole.

– Na głoda – odparł bardzo z siebie zadowolony.

Rozbawił mnie tak bardzo i tak nagle, że jeszcze nie skończyłam płakać, a już zaczęłam się śmiać. Po chwili wszyscy rzeliśmy jednogłośnie, górował nad

nami zdecydowanie piskliwy rechot Maciusia.

– I co ja mam ci na to wszystko powiedzieć, córeczko? – spytała mama ze łzami w oczach, nie wiadomo, czy ze śmiechu, czy ze wzruszenia.

– Nic. Nie oczekuję od was żadnej odpowiedzi, ja po prostu... musiałam to z siebie wyrzucić – odpowiedziałam, bo chyba zwyczajnie mi ulżyło.

Spojrzałam na siedzących obok siebie rodziców i pomyślałam, że być może jeszcze kiedyś do siebie wrócą, ale prędko doszłam do wniosku, że oni należą do tych par, które nie potrafią żyć ani ze sobą, ani bez siebie. W takiej sytuacji układ, jaki się między nimi wytworzył, był najlepszym z możliwych.

– Najadłaś się? – spytał tatko.

– Tak.

– Więc szoruj do łóżka.

– No co ty? Dopiero wstałam.

– Nie szkodzi. Jeśli rzeczywiście chcesz iść jutro do pracy, musisz wykorzystać okazję, że ma się kto zająć Maciusiem, i dać sobie ostatnią szansę na dojdzie do siebie.

Osobiście uważałam, że jestem już zdrowa, czułam się nieźle i byłam w miarę silna, ale na głos przyznałam ojcu rację i wróciłam do sypialni. Bardzo chciałam zasnąć, ale w moje myśli wkradły się sprawy związane z pracą, w której mnie nie było ponad tydzień, i miałam teraz lekką treść przed jutrzejszym dniem. Bo od czasu, gdy wpadłyśmy na siebie z Anetą w przychodni, w biurze naszej firmy zrobiło się dziwnie cicho. Nigdy nie panował w nim co prawda radosny gwar, ale od czasu do czasu ktoś z kimś kilka zdań zamienił. Byłam przekonana, że Aneta wypaplała koleżankom o swoim odkryciu, choć z drugiej strony uważałam to za niezbyt logiczne, bo jeśli i ona miała dziecko z Czarkiem, musiałyby się im przy okazji sama do tego przyznać. No, chyba że one już o tym wiedziały... Ba, może wszyscy wiedzieli oprócz mnie? Ciekawa byłam, czy i jej Czarek co miesiąc podrzuca pięćset złotych do szuflady, nie mogłam jednak o to zapytać, bo tak jakoś wyszło, że obie się zachowywałyśmy, jakby nic się nie stało. Być może taki stan rzeczy powinien mnie cieszyć, ale mnie męczył. I ta jakby złowroga cisza w powietrzu...

Już w półśnie podjęłam decyzję, że muszę coś z tym zrobić. Nie cierpiałam niejasnych sytuacji, zdecydowanie wolałabym kłótnię, awanturę, a nawet mordobicie, bo to dawało jakąś szansę na oczyszczenie atmosfery.

\* \* \*

Nazajutrz, gdy weszłam do pracy, powitała mnie ta sama przytłaczająca cisza. Zająłam się intensywnie pracą, zaległą oraz bieżącą, i tak zleciał mi czas do przerwy na lunch. Ale gdy moje koleżanki w milczeniu zaczęły jeść drugie śniadanie, nie wytrzymałam. Przyjrzałam się najpierw każdej po kolei, próbując

dociec, cóż to za mroczne myśli malują się na ich twarzach, próbowałam nawiązać z którąkolwiek kontakt wzrokowy, niestety, ich oczy utkwione były w pozywieniu.

– No dobra – powiedziałam, a mój niezbyt donośny zresztą głos rozległ się w czterech ścianach niczym dzwon. – Aneta, mów, co masz do mnie, nie krępuj się. Tu, teraz i przy wszystkich.

Ruda spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– A co ja... do ciebie niby mam?

– Myślę, że dobrze wiesz, i pora najwyższa sobie coś wyjaśnić.

Dziewczyny zaczęły patrzeć na nas zaciekawione. To była dla mnie tylko woda na młyn.

– Nie uważasz, że nasze dzieci nie są niczemu... – zaczęłam, ale Aneta nie pozwoliła mi skończyć.

– Zamknij się, idiotko – warknęła, podbiegła do mnie, złapała za ramię i niemal siłą wywlokła na zewnątrz. – My chyba rzeczywiście musimy pogadać – powiedziała, ciągnąc mnie w stronę kibla.

Byłam tak zaskoczona, że pozwoliłam się jej prowadzić jak cielę. Na miejscu Aneta sprawdziła wszystkie kabiny, po czym usiadła na parapecie okna, robiąc miejsce i dla mnie.

– To nie jest właściwe miejsce na rozmowę, muszę ci jednak z grubsza nakreślić, w czym rzecz, zanim narozrabiasz jak pijany zając w kapuście... Nie chodzi o żadne dzieci, to dla mnie nie nowina. Domyślałam się, wszystkie się domyślałyśmy, w co się pakujesz i z kim zaszłaś w ciążę.

– Jak to? – zdziwiłam się, bo przecież mój romans z Czarkiem przebiegał bardzo dyskretnie.

– Tak to. Każda z nas przez to przeszła, numery wobec nas stosował dokładnie te same i nawet jeśli ktoś spoza naszego biura nie domyślił się, co was łączy, dla nas pewne symptomy były oczywiste.

– Wszystkie... wszystkie trzy byłyście jego kochankami? – spytałam, nie siląc się na delikatniejsze sformułowanie.

– Owszem. Czarek żadnej babie nie przepuści, zwłaszcza jak mu się sama nawinie pod rękę.

Po tym, co powiedziała Aneta, poczułam się upokorzona o wiele bardziej niż przez wszystkie chamskie gesty Czarka razem wzięte. Zachciało mi się płakać.

– Tylko nie rycz. – Aneta trąciła mnie łokciem. – Inne mają gorzej.

– Na przykład? – spytałam, intensywnie mrugając oczami, by powstrzymać napływające do nich łzy.

– Aneta. My jesteśmy panienkami, ale jej się małżeństwo rozwaliło. Oni od lat starali się o dziecko, bez skutku niestety, a gdy Aneta w końcu zaszła, oboje byli wniebowzięci. Wyszło jednak przypadkiem, że jej mąż jest bezpłodny. A Czarek ma niestety takie geny, że każdy jego potomek jest jego lustrzanym odbiciem.

– Czarna też ma z nim dziecko? – wyszeptałam, bo zdumienie niemal odebrało mi głos.

– Tak. Tylko Marceli nic nie zmajstrował, bo była cwańsza od nas. Posłuchaj mnie, Aga, nie możemy tu siedzieć w nieskończoność, a niestety trzeba pewne sprawy porządnie omówić. Musimy się spotkać na neutralnym gruncie. Najlepiej jeszcze dziś.

– My?

– Wszystkie cztery – doprecyzowała Ruda. – I nie masz się co migać, dla swojego własnego dobra. Gdzie i o której?

– Może... u mnie?

– Nie. To nie jest neutralny grunt. Proponuję jakąś kawiarnię, najlepsza będzie Jagódka, mniej więcej wszystkie mamy do niej taką samą drogę.

– Dobrze – mruknęłam, bo najchętniej w ogóle pominęłabym temat milczeniem. Niestety, sama zaczęłam, więc musiałam być teraz konsekwentna.

– O dziewiętnastej?

– O dziewiętnastej – zgodziłam się i wróciłyśmy do pracy.

Praca nie szła mi już teraz, ciągle się myliłam i musiałam bardzo się skupiać nad dokumentami, żeby nie odwalić jakiejś fuszerki. Przed końcem dniówki Czarek wychylił głowę ze swojego gabinetu i poprosił mnie do siebie. Wybierałam się do niego z ociąganiem, dopiero gdy po raz drugi mnie zawołał, dostałam przyśpieszenia.

– Jak tam? – spytał, zamykając za mną drzwi.

– Z czym? – odpowiedziałam pytaniem.

– W pracy rzecz jasna. O nic innego bym cię przecież nie pytał – odrzekł niemiło.

– Normalnie.

– Czyli?

– Czyli pracuję – odparłam podobnym tonem.

– Dziwnie tajemnicza jakaś jesteś. A konkretniej?

– Nie jestem tajemnicza. Jestem oszczędna w słowach, bo szkoda mi tracić energię na tego typu rozmowy.

Czarek spojrział na mnie ze złością.

– Jesteś bezczelna, wiesz? Szef się ciebie o coś pyta, weź to pod uwagę.

– Biorę i odpowiadam, krótko i rzeczowo, jak szefowi przystało – odparowałam.

– Odpowiedz mi więc jeszcze, co to za konszachty miewasz z Anetą w sraczu.

A zatem skądś się już dowiedział, że wyszłyśmy razem na kilka minut. Zastanawiałam się, czy sam to zauważył, czy któraś z koleżanek mu o tym doniosła. Postanowiłam go zbyć za pomocą podobnej elokwencji.

– Jak sugeruje nazwa, której sam użyłeś, poszłyśmy oddać stolec.

– Razem? – Uśmiechnął się złośliwie.

– Nie, w oddzielnych kabinach.

Szef na chwilę zaniemówił.

– Zejdź mi z oczu, głupia babo! – Wskazał palcem na drzwi. – Uważaj tylko, żebyś się nie wpakowała w coś, czego możesz gorzko pożałować!

Nie bardzo zrozumiałam, o co mu w ostatnim zdaniu chodziło, ogólnie jednak byłam z siebie zadowolona, gdyż udało mi się go porządnie wkurzyć.

– Czego chciał od ciebie? – spytała szeptem Ruda, jak tylko usiadłam z powrotem przy biurku.

– Sama nie wiem. Miałam wrażenie, że mi groził, ale pojęcia nie mam, o co mu chodziło.

– Myślę, że ci się nieco umysł rozjaśni po wieczornym spotkaniu – powiedziała i zaczęła zamykać komputer, bo właśnie nadeszła piętnasta.

\* \* \*

Powiedziałam tatusiowi, że zostałam zaproszona przez koleżanki z pracy na kawę, ot tak, bez okazji, i poprosiłam, żeby zajął się dziś Maciusiem trochę dłużej. Oczywiście nie opowiadałam mu, czego może dotyczyć nasze spotkanie, nie chciałam go martwić ani denerwować. Tatko zgodził się bez mrugnięcia okiem, choć trochę się zdziwił, bo odkąd zostałam matką, nie wychodziłam z domu w celach towarzyskich. Sam mnie nawet namawiał, żebym od czasu do czasu się rozerwała, ale ponieważ nigdy nie chciałam, w końcu przestał.

Kawiarnia Jagódka mieściła się w samym rynku, jakieś półtora kilometra od mojego domu, pojechałam więc do niej autem. Kiedyś byłby to dla mnie problem, bo nie mogłabym się napić alkoholu, teraz jednak było mi to obojętne, bo napoje wysokokowe przestały mnie pociągać. Chyba się ociupinkę spóźniłam, bo dziewczyny już siedziały przy stoliku.

– Myślałyśmy już, że nie przyjdiesz – powiedziała Ruda.

Spojrzałam na zegarek.

– Sześć po siódmej dopiero – powiedziałam, siadając.

– Ale dobrze, że w końcu jesteś – stwierdziła Marcela. – Co pijesz?

– Wezmę jakiś sok. – Spojrzałam w kartę.

– Z czym?

– Z niczym, po prostu sok.

– No cóż, jak chcesz tak na żywca, bardzo proszę...

Dziewczyny złożyły zamówienie. Byłam wśród nich jedyną abstynentką.

– Jak już wiesz od Anety, nie jesteś jedyną naiwną, która dała się złapać Czarkowi na lep słodkich słówek – zaczęła Czarna. – Ale właściwie nie w tym rzecz. My już przebolewałyśmy ten fakt, przebolejesz i ty. Teraz chodzi o to, że kroi

się znacznie grubsze świństwo, bo robienie dzieci nie jest przynajmniej karane więzieniem.

– To znaczy? – Omal nie zachłysnęłam się sokiem.

– Czarus od pewnego czasu robi w firmie niezłe wałki, za niezłą kasę. Niestety, wszystkie jesteśmy w to w jakimś stopniu umoczone i żeby wyjść z opresji cało, musimy stanowić jeden front.

– Jesteście... umoczone? Jak? Jakie wałki? – zasypałam ją pytaniami.

– Nie jesteście, tylko jesteśmy, bo ty też – powiedziała Ruda.

– O, nie, nie! – zaprotestowałam. – Ja żadnych wałków nie robiłam!

– Świadomie nie – wtrąciła Marcela. – Ale robiłaś.

– Nie! – zaprzeczyłam jeszcze bardziej zdecydowanie.

– Posłuchaj, naiwniaczko. – Ruda pochyliła się w moją stronę. – Pamiętasz, jak Czarek szukał w popłochu raportu dla Grostalu, który robiłaś jakiś czas temu?

– Owszem. Znalazł?

– Nie. I w tobie nasza jedyna nadzieja.

– Nie rozumiem...

– No, że buchnęłaś tę kopię niechcący – wsparła koleżankę Marcela. – I że masz go jeszcze w komputerze, oryginał znaczy się.

Byłam coraz bardziej oszołomiona, w ogóle nie potrafiłam załapać, o czym one mówią. Patrzyłam więc na nie kolejno baranym wzrokiem.

– Niczego nie buchałam. – Tylko tyle byłam w stanie powiedzieć.

– Tego jeszcze nie wiesz, bo na pewno nie szukałaś – oznajmiła Marcela. – To co, masz?

– Jak mam mieć, skoro nie szukałam? – Czułam się coraz bardziej ogłupiała.

– W komputerze czy masz.

– W komputerze mam, bo nie usuwam żadnych dokumentów...

Marcela westchnęła z ulgą.

– Weź się więc za szukanie papierowej wersji Czarusia.

– Pa... papierowej wersji... Czarusia?

– Protokołu Czarusia – sprostowała Czarna.

– Ale przecież to jest ten sam protokół. Nawet się dziwiłam, że nie kazał mi go jeszcze raz wydrukować, zamiast miotać się w poszukiwaniach – zauważyłam logicznie. – Ale nie chciało mi się mu podpowiadać.

– I tu się grubo mylisz. – Ruda pociągnęła sporego łyka ze szklanki.

Postanowiłam przestać tracić swój cenny czas na idiotyczne przebąkiwania, jeszcze bardziej utrudniające mi zrozumienie sprawy.

– Słuchajcie, niech mi któraś z was powie, ale tylko jedna, o co tu chodzi. Najlepiej w miarę po kolei.

– Dobra, ja się postaram – powiedziała Ruda, która była najbardziej spośród nich ogarnięta.

– Zamieniam się w słuch.  
– Wiesz, że bez certyfikatu wystawionego przez naszą firmę żadna część maszyny nie zostanie dopuszczona do sprzedaży. Takiego na przykład kombajnu górniczego...

– Wiem.  
– Producentom takich części natomiast zależy, żeby sprzedać każdą partię, więc te certyfikaty są im koniecznie niezbędne. Zdarza się jednak, że wypuszczają z taśmy jakieś buble niespełniające norm i to jest dla nich strata wielkiej kasy. Nadążasz?

Nadażałam. Mało tego, chyba już na tym etapie pojęłam, w czym rzecz.

– Czarus... wystawiał za łapówki fałszywe ekspertyzy? – spytałam.  
– Dokładnie. Nasi eksperci wyniki swoich badań przysyłali ci na biurko, a ty pisałaś raporty, na podstawie których Czarek mógł wystawić certyfikat. I tak robił, z tym że gdy coś było nie tak, najpierw dokonywał niezbędnych zmian w swoim komputerze. A potem podsuwał ci do podpisu, co oczywiście nie podejrzewając niczego, robiłaś.

– Niemożliwe... Skąd o tym wiecie?  
– Bo najpierw robił takie numery z nami. Wtedy nie doszło do żadnej tragedii, ale teraz się szczęście od Czarusia odwróciło, bubel dał o sobie znać i sprawa się ryła. Tyle dobrze, że obyło się bez ofiar w ludziach, straty tylko finansowe któraś kopalnia poniosła.

– I co?  
– Na razie nic. Z tego, co przeniuchałyśmy, Czarusiowi może się upiec, bo udało mu się jakimś cudem doprowadzić do zaginięcia dokumentu, który Grostal od nas otrzymał. Pewnie nasz szef przekupił u nich kogoś.

– Albo uwiódł – podrzuciła Marcela.  
– I to jest całkiem możliwe – zgodziła się Ruda. – Gdyby się jednak znalazła kopia fałszywki z jego podpisem i pieczętkami, a także oryginalnie brzmiący protokół, choćby tylko w wersji elektronicznej, rzecz miałaby się już inaczej.

– Rozumiem. – Skinęłam głową. – Chcecie na niego donieść, tak?  
– Chyba nie jesteś tym oburzona?  
– No, nie wiem – zastanowiłam się.  
– To co, jesteś z nami czy przeciw nam? – zażądała określenia mojego stanowiska Czarna.

– Nie wiem jeszcze, zastanowię się. Przede wszystkim nie sądzę, żebym była w posiadaniu papieru, o który wam chodzi. Ale poszukam.

To powiedziawszy, zebrałam się i mimo protestów dziewczyn wyszłam. Nie miałam im na razie nic do powiedzenia, musiałam naprawdę rzecz solidnie przemyśleć, zanim dokonam jakichkolwiek deklaracji.

## ROZDZIAŁ XIX

### Wigilia i inne tradycje

Dokument, o którym mówiły moje koleżanki, ku mojemu ogromnemu zaskoczeniu znalazł się jednak u mnie. Był w teczce z badaniami lekarskimi, które robiłam na krótko przed porodem, i wszystko wskazywało na to, że sama go tam w jakimś amoku włożyłam. Nie powiedziałam o tym koleżankom, żeby nie zaczęły wywierać na mnie presji, musiałam dać sobie czas do namysłu, czy mam ochotę wspólnie z nimi mścić się na byłym kochanku. Rozważając tę sprawę, zrozumiałam przy okazji, na czym polega relacja łącząca obie Anety i Marcelę, która zawsze była dla mnie tak wielką zagadką. Teraz wszystko było jasne jak słońce: dziewczyny się wyraźnie nie lubiły, ale mimo to trzymały się razem. A właściwie trzymała je razem nienawiść do Czarka. To, że nadal u niego pracowały, było rodzajem transakcji związanej: one nie odeszły z firmy, bo miały go w jakiś sposób w garści, a on nie mógł ich zwolnić z dokładnie tego samego powodu.

Okazało się bowiem, że Marta, konkubina Czarka, nawet jeśli nie była miłością jego życia, miała inne atuty, dzięki którym tak naprawdę nigdy w życiu by jej nie porzucił. Otóż cały ich majątek formalnie należał do niej. I dom, i luksusowe samochody, i firma. On ją co prawda powołał do życia i rozkręcił, ale to Marta wyłożyła kasę na ten cel. Czarusia zrobiła prezesem zarządu, jednak większość udziałów należała do niej. Taką miała gwarancję, że jej buchający testosteronem facet nigdy jej nie zostawi, ona zaś, gdyby zalał jej za pazury, mogła wykopać go ze swojego życia w każdej chwili. Miał sporo szczęścia, że do tej pory żadnej z jego byłych pańienek nie przyszło do głowy, by namieszać mu w życiu. Niestety przegiął, włączając je w swoje machlojki, co zaczynało robić się coraz bardziej niebezpieczne. Dziewczyny najwyraźniej nie chciały czekać, aż z powodu jego przekrętów dojdzie do dramatu, i postanowiły same zgłosić problem w prokuraturze.

Każdego ranka, gdy pojawiałam się w firmie, spoglądały na mnie z nadzieją, ja zaś spokojnie, jakby nigdy nic, zabierałam się do roboty. Nie pytały o nic, wychodząc z pozornie słusznego założenia, że gdybym miała im coś do powiedzenia, powiedziałabym niepytana. Pewnie dłużej trzymałabym je w niepewności, bo ten stan sprawiał mi nawet pewnego rodzaju satysfakcję, ale wkrótce wydarzyło się coś, sprawiło, że zaczęłam działać natychmiast.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia i wszyscy wokół żyli zakupami, porządkami oraz pieczeniem pierników i ciast. Ja też, bo po śmierci babci Kundzi nie można było już w naszej rodzinie liczyć, że ktoś podrzuci do domu gotowe,

w dodatku najlepsze w świecie wypieki. Feralnego wieczoru miał zjechać do domu Tedi na kilka dni, starałam się więc mieć już te całe przygotowania z głowy, żeby nie słuchać jego dobrych rad i pouczeń. Jego matka bowiem robiła zawsze wszystko najlepiej, więc mój ślubny, jak tylko miał okazję, szczerze dzielił się ze mną doświadczeniami życiowymi swojej rodzicielki.

Pierwszym ogniwem łańcucha dramatycznych wydarzeń wieczoru było to, że nie mogłam znaleźć cukru pudru, który jak mi się wydawało, kupiłam, a był mi on niezbędny do wykonania lukru na pierniczki. Włożyłam szybko kozaki oraz płaszcz i zbiegłam na dół do sklepiku Sowińskich, modląc się w duchu, żeby jeszcze był czynny. Nie był. Widocznie jego właścicielka też uwijała się ze świątecznymi pracami. Załamana zrobiłam w tył zwrot i wówczas pod sklep podjechał Karol. Sklep mieścił się na parterze domu, w którym mieszkali jego rodzice, i chyba właśnie ich syn przyjechał na święta.

– Potrzebujesz czegoś? – spytał.

– Już niczego, bo zamknięte – odparłam, próbując go ominąć.

– Spokojnie, zaraz otworzę, poczekaj chwilę.

Miałam do wyboru: odejść z niczym albo zaciągnąć u chłopaka kolejny dług wdzięczności, którego nigdy nie spłacę. Na myśl o Tedim snującym wywód na temat pierniczek bez lukru zdecydowałam się jednak na to drugie. Karol pobiegł do domu po klucz i już po chwili stał za ladą.

– Cukier puder poproszę – powiedziałam grzecznie, jak klientka do sprzedawcy.

Karol skasował należność, a potem zapytał, co u mnie słysząc.

– Normalnie, jak to u mnie. Słyszałam, że wyjechałeś za granicę – spróbowałam zmienić temat.

– Wyjechałem, wróciłem, na tym polega moja praca. Na wyjazdach i powrotach. – Uśmiechnął się smutno.

– Nie wyglądasz na radosnego – zauważyłam. – Nie cieszą cię święta w rodzinnym gronie?

– Owszem, cieszą, niezmiennie jak każdego roku, ale mam inny powód, by nie skakać z radości.

Podziękowałam mu za otwarcie dla mnie sklepu i żeby nie wdać się w niepotrzebną rozmowę, skierowałam się do wyjścia.

– Nie spytasz jaki? – Karol wyszedł zza lady i podszedł do mnie.

– Jaki? – zapytałam niechętnie.

– To przecież za mnie miałaś wyjść za mąż – powiedział cicho i wyciągnął rękę, jakby chciał pogłodzić mnie po policzku.

Zrobiłam zręczny unik.

– Chyba oszalałeś – prychnęłam ze złością.

– Oszalałem – przyznał. – Bo liczyłem na to, że tak się właśnie stanie.

Na chwilę odebrało mi głos ze zdumienia i wściekłości. Bo gówniarz miał czelność wrócić do naszej idiotycznej rozmowy sprzed ponad dwóch lat, której do dzisiaj się wstydziałam. Tej, w której mu zaproponowałam, żeby się ze mną ożenił. To był żart, cyniczny i gorzki, którego natychmiast pożałowałam.

– Proszę, nie rób sobie jaj, nie jestem w nastroju – powiedziałam i wyszłam, a on za mną.

– Ja nie żartuję. Wtedy też nie żartowałem – powiedział, przytrzymując mnie za ramię. – Wiem, że już na wszystko za późno, ale ja naprawdę ożeniłbym się z tobą. I na pewno byś tego nie żałowała.

– Poważnie? – zapytałam kpiąco. – Znałeś mnie wtedy krócej niż tę czekoladę, którą u ciebie kupiłam. Czymże wywarłam na tobie aż takie wrażenie?

– Mylisz się. Znałem cię o wiele dłużej. Być może nie pamiętasz okoliczności, w których przyszło nam się spotkać po raz pierwszy, a może po prostu nie kojarzysz ich z moją osobą. Powiem ci tylko tyle, że tamto zdarzenie zaważyło na całym moim późniejszym życiu, a ty jesteś tą osobą, która na zawsze zostanie w mojej pamięci, bez względu na to, jak się nasze losy potoczą.

– Chyba twoje, bo moje się już potoczyły. – Wyszarpnęłam ramię z jego uścisku i szybkim krokiem ruszyłam przed siebie.

Tedi był już w domu, przyjechał akurat w tym czasie, gdy poszłam po cukier.

– Cześć. – Uśmiechnęłam się do niego i nadstawiłam policzek do ucałowania. Zawsze witaliśmy się w ten sposób.

Tadek odsunął mnie od siebie bez słowa.

– O co chodzi? – spytałam zdziwiona.

– Nie wiesz?

– Nie.

– To się, kurwa, domyśl! – wrzasnął.

– Ejże, może spokojniej trochę – skarcił go tatko, wchodząc do salonu z Maciusiem na rękach.

– Spokojniej? Może i masz rację. Nie powinienem podnosić głosu, tylko od razu dać jej w gębę.

– Uważaj, gościu, bo gdybym nie miał wnuka na rękach, inaczej byśmy pogadali!

Ojciec, podobnie jak i ja, nie miał pojęcia, o co Tadekowi chodzi, cokolwiek by to jednak było, nie dawało mu prawa odzywać się do mnie w ten sposób.

– Może w takim razie ty ją zapytaj, co to był za gnój, z którym się obściskowała pod sklepem. Tatusiowi na pewno powie.

– Z nikim się nie obściskowałam! – Wreszcie mogłam zacząć odpierać zarzuty, wiedząc już teraz, w czym rzecz. – Przystanęłam na chwilę z właścicielem sklepu, ot co.

– A ja widziałem coś innego – warknął.

– W takim razie miałeś zwidy. – Zniosłam do kuchni cukier i poszłam się do przedpokoju rozebrać.

Tata, Maciuś i Tadek zostali w salonie. Nie wiem, o czym rozmawiali, w każdym razie gdy skończyłam lukrować pierniczki, mój mążonek był już udobruchany. Nałożyłam kilka na talerzyk i położyłam przed nimi na stole. Stała tam już butelka wódki, przepitka i zagrycha. Widocznie tatko postanowił rozwiązać problem „po męsku”. Trochę się zdziwiłam, bo Tedi w ogóle nie tykał alkoholu, nie pił nawet na naszym ślubie, tłumacząc, że to taka etyka zawodowego kierowcy. Niestety, ani tatko, ani ja nie wiedzieliśmy, że mój mążonek jest niepijącym alkoholikiem, tego wieczoru też jeszcze nic nam w głowach nie zaświtało. Tadek nagle zaczął tryskać dobrym humorem, a potem, jak zwykle zaraz po powrocie do domu, wzięło go na amory. Ojciec domyślnie zadeklarował, że to on dziś uśpi Maciusia, a ja zaczęłam szykować się do spełnienia obowiązku. Mój mąż popadł w jakiś skrajnie odmienny nastrój, zrobił się nadzwyczaj wylewny, a nawet czuły, co objawiło się tym, że po stosunku, zanim odwrócił się do mnie tyłem i zasnął, ucałował mnie w ramię.

Nazajutrz zaraz po śniadaniu Tadek zaproponował mi i tatce drinka, ale ponieważ wykręciliśmy się pierwszym lepszym powodem, nalał sobie sam i wypił. Nie miałam nic przeciwko temu, skoro alkohol wprawiał go w tak dobry nastrój. Jeszcze wówczas uchodził w moich oczach za abstynenta, więc ten mały wyjątek od reguły w ogóle mnie nie zmartwił. Był to dzień Wigilii, miałam mnóstwo roboty, wolałam więc, żeby Tedi nie płatał się koło mnie, dyktując, co i jak mam robić.

Dochodziło południe, mój mąż gapił się w salonie na telewizor, tata z Maciusiem ubierali choinkę, a ja jednocześnie smażyłam karpia i lepiłam uszka. Gdy rozległ się dzwonek do drzwi, wytarłam tylko dłonie w fartuch i pobiegłam otworzyć, przekonana, że ktokolwiek by to był, zaraz sobie pójdzie. Za drzwiami stała elegancka kobieta odziana w futro z prawdziwych norek i spoglądała na mnie... wcale nieświętecznie. Popchnęła mnie do wewnątrz i sama wpakowała się do środka.

– Nie, no oczom nie wierzę – syknęła złowrogo. – Mój facet najwyraźniej schodzi na psy!

– Kto przyszedł? – krzyknął do mnie Tadek.

– Nie wiem – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

Mój mąż pofatygował się zobaczyć gościa osobiście.

– Pan pewnie mąż, jak się domyślam? – zapytała kobieta.

– Mąż – bąknął skonsternowany. – A o co się pani rozchodzi?

– O nic. Chciałam ją sobie tylko obejrzeć. – Wskazała na mnie palcem w skórkowej rękawiczce. – I może trochę popsuć jej święta, tak jak ona popsowała

moje. I wie pan co? Rozczarowana jestem. Myślałam, że ujrzę przed sobą jakieś cudo, a tu proszę, takie... coś.

Rzeczywiście, może w upačkanej podomce i domowych łapciach nie prezentowałam się najlepiej, ale byłam u siebie w domu i miałam prawo wyglądać, jak chcę. Ale przede wszystkim miałam prawo wiedzieć, kim jest ta baba i czego ode mnie chce.

– Mogłaby pani się przedstawić i wyjaśnić, w czym rzecz? – spytałam wciąż jeszcze grzecznie.

– Na imię mam Marta i sądzę, że to ci powinno wystarczyć. A sprowadza mnie tylko jedna sprawa: zaraz po świętach zwolnisz się z pracy, rozumiano?

– Bo co? – spytałam hardo.

Faktycznie, wystarczyło mi imię, by się zorientować, kim jest ta kobieta. Wkurzyła mnie jednak takim postawieniem sprawy, a zwłaszcza bezczelnością, do której się posunęła, przychodząc do mojego domu.

– Bo pożałujesz, że się urodziłaś, kurewko!

– Lucego kulewko? – spytał Maciuś, który ni stąd, ni zowąd pojawił się między nami.

Marta spojrzała na niego i zastygła. Chciała coś chyba jeszcze powiedzieć, ale obecność dziecka jej na to nie pozwoliła, zrobiła więc w tył zwrot i wyszła.

– Kto to był? – zapytał Tadek z marsową miną.

– Kobieta ojca Maciusia – odparłam, nie przypuszczając nawet, jakie ta wizyta rozpęta piekło.

Tadek wiedział przecież, że mój synek począł się z krótkiego związku z facetem, który jak się to mawia, wykorzystał mnie i porzucił, nigdy jednak nie wnikał w szczegóły.

– Czy ja dobrze zrozumiałem, że masz się zwolnić z roboty?

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo ta pani nie życzy sobie, żebym nadal pracowała z jej partnerem. Jest chyba zazdrosna.

Tadek spojrzał na mnie zdumiony.

– To ty... przez cały czas pracujesz razem z nim? – spytał, groźnie marszcząc brwi.

– Owszem, bo czemu niby miałabym się zwalniać? Dobrze zarabiam, lubię to, co robię, więc nie widzę ku temu powodu.

– Lubisz to, co robisz, tak? – wysapał Tadek, złapał mnie rękami za szyję i przydusił do ściany. – I dobrze ci, kurwa, szefunio za to płaci, tak?

Maciuś uciekł z przedpokoju z głośnym płaczem, a Tedi coraz mocniej na mnie napierał, ziejąc mi w twarz wypitą gorzałą. Gdyby tatko nie przybiegł zobaczyć, co się dzieje, nie wiem, jak by się to skończyło. Nagle znalazła się

w jego dłoniach dawno nieużywana siekiera, z którą ruszył na dwa razy większego od siebie, rozjuszonego zięcia.

– Puść ją natychmiast, bo ani chwili się nie zawaham – uprzedził go po dzentelmeńsku.

– Nawet nie próbuj – odpowiedział mu Tadek, zaciskając mocniej palce na moim gardle. – Ja sobie nie pozwolę rogów przyprawiać byle komu. Jelenia sobie, kurwa, znaleźli, tatuś i córunia! Mąż tyra na wyjazdach, ciężko zarobioną forszę ładuje w cudzy dom i cudzego bachora, a jego żonka w tym czasie innemu dupy daje! Ja teraz rozumiem, czemu z ciebie w łóżku taka suka zimna!

Tego było za wiele, miałam wielką ochotę napluć mu w ten czerwony pysk i wygarnąć, co o tym wszystkim myślę, ale nie byłam w stanie. Nie mogłam złapać powietrza, zaczynało mi się robić ciemno przed oczami. Na pewno zaraz straciłabym przytomność, a ojciec porąbałby Tadka siekierą, gdyby po raz drugi nie wyratował mnie z opresji mój synek. Nagle zobaczyłam przez uchylone drzwi stojącego na środku salonu przerażonego Maciusia i to dodało mi sił. Wykrzesalam z siebie tyle energii, żeby walnąć Tediego kolaniem w przyrodzenie. Zareagował książkowo: skulił się we dwoje, złapał dłońmi za bolące klejnoty i zaczął jęczeć. Odepchnęłam go od siebie i podbiegłam do dziecka.

– Ty dziwko – wysapał Tadek. – Nie daruję ci tego, już jest po tobie...

Z trudem się wyprostował i przytrzymując się ściany, ruszył w moim kierunku.

– Zabierz dzieciaka i uciekaj, ja sobie poradzę – powiedział tatko i zagroził mu drogę.

Tedi odepchnął go z taką siłą, że ojciec upadł na podłogę. Ból Tadekowi chyba powoli przechodził, bo jedyną emocją, jaka malowała się teraz na jego twarzy, była bezgraniczna wściekłość. Złapałam synka na ręce i zaczęłam wiać w stronę sypialni.

– Nie tam, uciekaj z domu – zawołał tatko i złapał mego męża za nogę, wskutek czego teraz już leżeli obaj.

Wykorzystałam ten moment i wybiegłam z synkiem na zewnątrz. Panicznie bałam się o tatę, ale instynkt macierzyński kazał mi przede wszystkim ratować dziecko. Biegłam w dół, ślizgając się w kapciach na śniegu, i jakimś cudem mimo wszystko nie upadając. Nagle na mojej drodze pojawił się Karol, wziął ode mnie Maciusia i o nic nie pytając, poprowadził nas do siebie. Trzęsłam się jak osika, nie byłam nawet w stanie płakać. W drzwiach stała pani Sowińska, która również o nic nie pytając, objęła mnie ramieniem i wprowadziła dalej. Posadziła mnie w fotelu, Karol podał mi dziecko i okrył nas oboje kocem.

– Zrobie herbaty – powiedziała jego matka i wyszła.

– Widzieliśmy oknem, jak biegniesz – wyjaśnił Karol i złapał mnie mocno za rękę. – Zaraz napijecie się czegoś gorącego, może jak się trochę uspokoisz,

powiesz nam, co się stało.

– Nie, ja muszę tam wrócić – zaprotestowałam, bo przecież tatko był teraz w domu sam na sam z niebezpiecznym furiatem. – Zostawię tylko u was na chwilę dzieciaka... Oni się pozabijają!

– Mowy nie ma, nigdzie nie pójdziesz – powiedział Karol. – Nie wiem, o co chodzi, ale jeśli ktoś jest w niebezpieczeństwie, trzeba zadzwonić po policję. Mam to zrobić za ciebie?

– Nie zdążą przyjechać. Idę – oznajmiłam kategorycznie.

– W takim razie pójdziemy razem.

Maciuś, chyba pod wpływem nadmiaru wrażeń, zasnął w moich ramionach. Ułożyłam go ostrożnie w fotelu i otuliłam kocem. Pani Sowińska akurat weszła z herbatą i zorientowawszy się szybko w moich zamiarach, zapewniła, że zajmie się chłopcem. Dała mi ponadto swój płaszcz i botki.

Zbliżałam się do domu z bijącym sercem, Karol wyczuwając mój strach, trzymał mnie mocno za rękę. Pomyślałam, że gdy Tadek zobaczy nas razem, wpadnie w jeszcze większy szal, ale nie miałam odwagi wejść do środka sama. Uchyliłam ostrożnie drzwi, wewnątrz panowała całkowita cisza. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam, były nogi leżącego na wpół w przedpokoju, na wpół w salonie Tediego. Obok niego siedział ojciec, na szczęście żywy, z siekierą w ręce i w gotowości do ataku. Tadek też był żywy, powalony raczej pijackim snem niż siekierą tatki.

– Na szczęście ofiar śmiertelnych nie ma – powiedział Karol. – Dzwoń po policję. To nie wygląda dobrze, powinni go zabrać na izbę wytrzeźwień co najmniej.

– Nie wezmą go – odparł tatko. – Przecież śpi.

– Wezmą – powiedziałam i zadzwoniłam na numer alarmowy.

Gdy zobaczyłam pod oknem migający światłami radiowóz, zabrałam tacie siekierę i włożyłam ją do ręki Tadekowi.

– Wyjdź po nich, proszę – poprosiłam Karola.

– Ty ciulu! – ryknęłam małżonkowi nad głową.

Tadek powoli otworzył oczy.

– Co? – spytał półprzytomnie.

– Ciul jesteś i kutas ostatni, wypierdek, złamas i pederasta – rzucałam pośpiesznie inwektywami.

Na szczęście w odpowiedniej chwili zdążył oprzytomnieć i zareagować, dzięki czemu policjanci zastali go goniącego mnie z siekierą po domu, rzucającego pod moim adresem ordynarnymi wyzwiskami oraz groźbami karalnymi. Funkcjonariusze się nie patyczkowali, zakuli go w kajdanki, wpakowali do radiowozu i zabrali ze sobą.

– Rany boskie, co tu się stało? – zapytał Karol, ogarniając wzrokiem

panujące wokół poboju.

Widocznie w czasie, gdy byłam poza domem, rozegrała się tu jakaś dramatyczna walka, krzesła były powywracane, na podłodze wałało się mnóstwo różnych rzeczy, włącznie z moimi uszkami do barszczu i surowymi dzwonkami karpia w panierce.

– Nie wiem. Mój małżonek nagle jakiejś białej gorączki dostał – powiedziałam i powtórzyłam w nagłym olśnieniu – białej gorączki...

Spojrzałam na opartego o ścianę i bladego jak ona sama tatkę.

– Tato, czy Tadek dawniej pił alkohol? – spytałam, bo przecież znał go podobno od dawna.

– No pewnie, że pił, wcale nie mało zresztą. Ale nagle sporządniał, nawet piwa nie tykał, gdyśmy razem ten kurnik budowali.

– A dzisiaj wypił sam prawie całą butelkę wódki – powiedziałam. – Po coś ty go, do jasnej cholery, częstował?

– Chciałem, żeby mu się humor poprawił – wyznał ojciec z wyraźnym poczuciem winy. – Nie wiedziałem, że ma z tym problem...

– Trudno – powiedziałam. – Co się stało, to się nie odstanie, a może nawet i dobrze. Szkoda tylko, że w takim dniu. To już drugie takie święta w naszym życiu.

– Drugie? – zapytał Karol ciekawie.

– Nie chce mi się teraz o tym mówić – powiedziałam ze łzami w oczach na wspomnienie naszego spalonego domu. – W ogóle nic mi się nie chce... Powinnam pójść po Maciusia, twoja mama ma na pewno jeszcze dużo pracy przed wigilią.

Postawiłam jedno z przewróconych krzesel, usiadłam i rozbeczałam się z bezsilności. Spojrzałam na siebie i choć nie był to czas na myślenie o wyglądzie, na widok za dużych o kilka numerów botków mamy Karola, brudnej nieziemsko podomki widocznej spod rozpiętego płaszcza i dłoni wciąż jeszcze oblepionych ciastem – roztkliwiłam się jeszcze bardziej.

– Hej, wszystko będzie dobrze – powiedział Karol, kucając u moich kolan. – Zaraz pomogę wam to wszystko ogarnąć, a potem zabieram was do siebie na wigilię.

– Nie, zostaniemy u siebie – zdecydował za nas oboje tatko. – Nie będziemy uciekać z placu boju, jak te szczury z tonącego okrętu.

– Co ty opowiadasz, tatuś – roześmiałam się przez łzy. – Jakiego placu boju?

– A jak wypuszczą tego skurczybyka? Trzeba stać na straży i być przygotowanym na wszystko!

– Na pewno go nie wypuszczą – powiedział Karol. – Nie dzisiaj w każdym razie.

– Ja też tak sędzę, ale mimo to zostaniemy u siebie – powiedziałam. – A teraz pójdę po Maciusia.

– Idź – powiedział tatko. – Ja tu w międzyczasie trochę uprzątnę.

– Pomogę panu – zaoferował się Karol i nie czekając na nic, zabrał się do roboty.

Mój synek wciąż jeszcze spał, wzięłam go więc na ręce i zawiniętego w koc pani Sowińskiej przyniosłam do domu.

– Dziękuję za wszystko – szepnęłam, wychodząc. – I przepraszam za kłopot.

– Żaden kłopot, mały nawet na chwilę się nie przebudził – odszepnęła sąsiadka, otwierając mi drzwi. – Mam nadzieję, że już wszystko u was w porządku, ale gdyby co, proszę przyjść, miejsce się znajdzie.

Nie było takiej potrzeby, dom mimo krótkiego czasu zastałam całkiem porządnie sprzątnięty. Okazało się, że w kuchni zostało trochę niesponiewieranych potraw i jakieś dwie godziny do pierwszej gwiazdki, by spróbować nadrobić stracony czas. Zwłaszcza że nie musiałam się już tak spinać, bo wieczerza miała być tylko dla naszej trójki. W piekarniku było kilka kawałków upieczonej już ryby, na kuchence stała niedokończona grzybowa i podgotowana kapusta. Przy dobrych wiatrach, razem z ciastkami mielibyśmy pięć wigilijnych potraw... Podjęłam wyzwanie i przystąpiłam do rzeczy.

– Wpadnijcie do nas chociaż po wigilii połamać się opłatkiem – zaproponował Karol, zbierając się do wyjścia.

– Dzięki, ale chyba dziś będziemy chcieli po prostu odpocząć. Odespać to wszystko i obudzić się rano w innej rzeczywistości. – Uśmiechnęłam się i przytuliłam do niego odruchowo.

Karol uściśnął mnie bardzo, bardzo mocno i nic już nie powiedział. Poszedł do domu.

\* \* \*

W pierwszy dzień świąt nie mieliśmy żadnych wieści na temat Tadeusza. Nie pokazał się w domu, nie zadzwonił, nie dał znaku życia. Nie żebym za nim tęskniła, ale chciałam choć z grubsza wiedzieć, co się z nim dzieje i jak to będzie wyglądało dalej. Drugiego dnia świąt zaraz po śniadaniu wparowała do naszego domu teściowa, wściekła jak stado os.

– A mówiłam, mówiłam mojemu synkowi, żeby się nie żenił z panną z dzieckiem! – wypaliła na powitanie. – Bo skoro nie chciał jej jego tatuś, coś tu na pewno jest na rzeczy!

– Może pani sprecyzować jaśniej, o co się rozchodzi? – spytałam łagodnie, bo od dwóch dni byłam na środkach uspokajających.

Na szczęście nigdy nie zaczęłam mówić do niej mamo.

– Dziecko żeście mi zniszczyli! On się leczył, nie pił już dwa lata, ale jak tylko wszedł w ten wasz przeklęty dom, wszystko na nic!

– Mógł powiedzieć, że się leczy, tobym go alkoholem nie częstował –

powiedział równie łagodnie tatuś, bo był na tych samych środkach co ja. – A poza tym nikt mu wódki do paszczy na siłę nie wlewał.

Teściowa jakby go w ogóle nie słuchała. Strzelała oczami na boki, bezgłośnie poruszając ustami.

– ...ale niedoczekanie wasze – kontynuowała na głos jakąś rozpoczętą w głowie myśl. – Wezmę wszystko, co Tadziu zainwestował, przez pięć miesięcy ładował w was forszę, nadwyreżał siły! I jego noga więcej tu nie postanie.

– Proszę bardzo. – Postawiłam przed nią jego walizkę, której jeszcze nie zdążył rozpakować, a potem wręczyłam jej pamiętne sanki. – To wszystko, co Tadziu w nas zainwestował.

– A co do jego nogi, to bardzo dobrze, że nie postanie – dorzucił tatko. – Zaraz po świętach piszemy pozew o rozwód.

– My też piszemy! – odszczeknęła teściowa. – A w ogóle, ten telewizor z salonu jest mi bardzo znajomy.

– Pani mu pewnie też, w każdym razie z widzenia – odparłam. – Ale jest mój, ja go kupiłam, zanim wyszłam za pani syna.

Kobieta rozejrzała się jeszcze raz dookoła, zabrała walizkę, sanki i warknęła na odchodne:

– Sąd rozstrzygnie, co tu jest czyje.

Maciuś na szczęście bawił się w swoim pokoju prezentami, które dostał pod choinkę, nie był więc świadkiem kolejnego burzliwego wydarzenia. Paradoksalnie nas z tatusiem wizyta teściowej nie zmartwiła kompletnie, była bowiem zwiastunem odzyskania przeze mnie w niedługim czasie wolności.

## ROZDZIAŁ XX

### Solidarność jajników

Ostatnie wydarzenia sprawiły, że postanowiłam odciąć się definitywnie od swojej przeszłości, prywatnej i zawodowej. Zakończyć także raz na zawsze sprawę Czarka, żeby mi się już nigdy byle kto nie plątał po domu i nie wyzywał od kurewek. Zaraz po świętach, już bez najmniejszych skrupułów, położyłam na biurku rudej Anety pismo, na którym jej tak bardzo zależało.

– Masz, znalazło się – powiedziałam.

Ruda spojrzała na pismo, potem na mnie i rzuciła mi się na szyję.

– Ale... jest jeszcze jedna sprawa... – powiedziała, pochmurniejac nagle na twarzy.

– Jaka? – spytałam.

Marcela podeszła do mnie, stąpając na palcach, i szepnęła:

– To ty będziesz musiała zgłosić sprawę do prokuratury.

– O, nie, dziękuję bardzo. Macie, coście chciały, a teraz radźcie już sobie same.

– Nie damy rady bez ciebie – jęknęła Ruda. – Tylko ty jesteś w stanie udowodnić jego przekręty, my oczywiście zostaniemy świadkami, gdy zajdzie taka potrzeba, ale niczego więcej nie możemy zrobić...

– Myśmy podpisywały te raporty na tyle dawno, że już zdążyło się przedawnić, a poza tym tylko ta fałszywa ekspertyza poskutkowała konkretnymi zdarzeniami – dorzuciła również szeptem czarna Aneta.

– Zwalniam się. Dziś jeszcze – oznajmiłam. – I mam w nosie, co tu się będzie działo, jak mnie już nie będzie.

Dziewczyny spojrzały na mnie zdumione, a potem kolejno na siebie.

– Jak to? Tak nagle? – spytała Marcela. – Nigdy wcześniej o tym nie wspominałaś...

– Bo nigdy wcześniej nie napadła na mnie konkubina Czarka.

– Co... takiego?

– To właśnie. Wpadła do mnie rano w Wigilię i rozpętała taki dym, że choćbym miała trawę jeść, pieprzę tę robotę.

– Nie ma trawy, jest śnieg... – wyrwała się Marcela.

– Więc będę jadła śnieg, ale zdania nie zmienię – odpowiedziałam jej hardo.

– Nie wiem, skąd się o mnie dowiedziała, i jest mi to obojętne, więcej już taka sytuacja nie nastąpi.

– Pewnie szperała mu w komórce, musiał idiota nie wykasować wszystkich

starych wiadomości.

– Nieważne. W dupie to mam.

– A... nie usatysfakcjonowałyby cię na przykład, gdyby ona wywaliła go z domu? I z firmy? – spytała Ruda z szatańskim błyskiem w oku.

– Z firmy wyleci, jak się dobrze postaracie w prokuraturze – powiedziałam.

– A co do niej, za bardzo jest w niego wpatrzona, żeby się z nim rozejść. Sam fakt, że wyżyła się za jego romans na mnie, a nie na nim, o tym świadczy.

– Jeden romans jeszcze można wybaczyć. Ale cztery? I trójkę nieślubnych dzieci? – zastanawiała się Ruda na głos, popatrując na mnie spođe łba.

– Skoro się o was do tej pory nie dowiedziała, to już się nie dowie – skonkludowałam. – Za późno.

– Niekoniecznie. – Czarna chyba zajarzyła, co chodzi jej po głowie, i włączyła się w rozmowę.

– Chcecie... się ujawnić? – Nagle olśniło i mnie.

– A spodobałoby ci się to? – spytała Ruda.

– Pewnie – odparłam bez wahania.

– Wobec tego ty idziesz do prokuratury, a my zbieramy się w kupę i wszystkie razem, z dziećmi rzecz jasna, odwiedzimy sobie panią Martę. Taki deal. Co ty na to?

Teraz zaczęłam się wahać. Przysięgłam sobie co prawda, że na oddaniu koleżankom dokumentu moja rola w tej sprawie się skończy, ale wizja umykającego chyłkiem z domu oraz z firmy beztroskiego dzieciaroba była zaiste bardzo kusząca.

– Dobra – powiedziałam po chwili namysłu. – Zgadzam się.

Kułyśmy żelazo póki gorące, jeszcze tego samego dnia stawiliśmy się wszystkie pod domem Czarka. To ja nacisnęłam na dzwonek u drzwi i stanęłam na wprost wizjera. Po chwili po drugiej stronie na moment pojawiło się czyjeś oko i drzwi otworzyły się z impetem.

– I ty masz jeszcze czelność.... – zaczęła podniesionym głosem konkubina Czarka, ale natychmiast zamilkła.

Patrzyła teraz z obłędem w oczach na całą naszą czwórkę oraz trójkę podobnych do siebie jak krople wody dzieci: sześciolatka, czterolatka i dwulatka.

– Zastałyśmy Czarusia? – spytała słodko Ruda.

– Bo mamy do niego interes – powiedziałam.

– A w zasadzie trzy interesy – dorzuciła Czarna.

– Jak to trzy? Mój interes też był przecież w użyciu – stwierdziła z oburzeniem Marcela.

– Nie o takie interesy nam chodzi, to była przerośnia, myśl trochę czasem. – Ruda trąciła ją z łokcia.

– No więc jak, jest Czarus czy go nie ma? – spytała tym razem Czarna. – Bo

jak go nie ma, to my już chyba pójdziemy...

– Nieprawda – zaprotestowała Marcela. – Nie pójdziemy. Będziemy tu na niego czekały do usrania.

– A ja myślę, że jednak pójdziemy. Ta pani jest na tyle inteligentna, że na pewno zdażyła pokapować, czyje to dzieci – zabrałam głos w sprawie. – A przecież tylko o to nam chodziło, czyż nie?

Konkubina naszego szefa wciąż nic nie mówiła, musiała naprawdę czuć się zszokowana, bo zamknięcie ust tak wyszczekanej babie z pewnością wymagało nadzwyczajnych okoliczności.

– Okej, wobec tego idziemy – zdecydowała Marcela. – Ale jeszcze tu wrócimy – postraszyła ją na koniec.

Po skończonej misji postanowiłyśmy wpaść razem z dziećmi do cukierni i uczyć awansem spodziewany sukces.

– Kremówki? – spytała Marcela, ustawiając się przy ladzie, jako jedyna nieobarczona potomkiem.

– Wuzetki – powiedziałam.

– Serniki – zaprotestowała Ruda.

– Mogą być serniki – zgodziła się Czarna.

Skoro większość zagłosowała za sernikami, wzięłyśmy serniki, jakby każda z nas nie mogła wziąć swojego ulubionego ciastka. Ta dzisiejsza jednomyślność chyba pozbawiła nas na chwilę indywidualnych odruchów. Pośmiałyśmy się z tego, ale już wówczas, gdy nasze zamówienie stało na stoliku. Jedno nie ulegało wątpliwości: był to najlepszy wybór, gdy chodziło o nasze dzieciaki, sernik bardzo im wszystkim smakował.

– Czemu żadna z was mnie nie uświadomiła w sytuacji, widząc, że Czarek zaczyna się koło mnie kręcić? – spytałam po pewnym czasie z wyrzutem. – Być może uniknęłabym tego wszystkiego. Mówię z ówczesnej perspektywy, bo dziś bym nie chciała cofnąć czasu...

Spojrzałam czule na Macusia i ucałowałam jego zarumieniony pyziorek.

– Nie uniknęłabyś – powiedziała z przekonaniem Ruda.

– Na bank – potwierdziła Czarna. – Ja próbowałam ostrzec Marcelę, ale ona o mało mi oczu nie wydrapała. Uznała, że to z zazdrości.

– Byłam w nim do obłędu zakochana, a wtedy każdy, kto staje ci na drodze, jest twoim wrogiem – powiedziała Marcela. – Dlatego gdy przyszła kolej na następne, ja też wolałam siedzieć cicho. Przypadek sprawił, że się zgadałyśmy, ale to już wtedy, gdy nam bielmo poschodziło z oczu.

– A myślałam, w sumie do niedawna jeszcze, że straszne z was zołzy. I że też jesteście zwyczajnie zazdrosne – przyznałam szczerze.

– No więc sama widzisz, jak było. I że żadna z nas nie byłaby cię w stanie przekonać, że Czarek nie jest tym, za kogo chciałby uchodzić, tylko najzwyklejszą

świnia.

– Lacemu świniom? – spytał Maciuś cały w serniku.

– Nie mówi się lacemu, tylko dlaczemu – poprawił go czteroletni synek Rudej.

– A wcale że nie, bo się nie mówi „świnia”. – Synek Czarnej spojrział na nich obu z wyższością.

– Tylko jak? – zdziwił się synek Rudej.

– Wcale się nie mówi, bo to nieładnie – odparł chłopczyk.

Mimo różnicy wieku i poglądów na poprawność ojczystej mowy wszyscy trzej mieli dokładnie usmarowane buzie masą sernikową i czekoladą, którą udekorowane było ciasto. Chłopcy byli naprawdę do siebie podobni, i choć na ten widok wszystkie zgodnie wybuchnęłyśmy śmiechem, ten śmiech po chwili zastygł na naszych twarzach, ustępując miejsca zadumie. Wtedy chyba niemal jednocześnie sobie uświadomiłyśmy, że oto pomiędzy trzema całkiem obcymi sobie kobietami siedzi trzech rodzonych braci. Czy to nas do czegoś zobowiązywało? Z pewnością nie, obiecałam sobie jednak, że gdy chłopcy podrosną, trzeba będzie doprowadzić do ich ponownego spotkania. Niech sami zdecydują, czy chcą mieć ze sobą kontakt.

– O mój Boże, jutro na mnie kolej. – Ocknęłam się z zamyślenia, przypominając sobie, że mam w myśl obietnicy złożyć na Czarka donos w prokuraturze.

– No trudno, myśmy powiedziały „a”, ty musisz powiedzieć „b” – stwierdziła bezlitośnie Marcela.

\* \* \*

Wracaliśmy z Maciusiem do domu w świetnych nastrojach. Mojemu synkowi bardzo podobała się wycieczka, może dlatego, że nie wszystkie atrakcje był w stanie właściwie zrozumieć. Ja tryskałam zadowoleniem dlatego, że rozumiałam dokładnie, jaki skutek dziś jeszcze nasza akcja powinna odnieść względem niektórych osób. Śpiewaliśmy z synkiem w aucie jedyną piosenkę, jaką znał, czyli *Poszła żabka po wodę*. Spodobało nam się to do tego stopnia, że śpiewaliśmy ją nadal po przyjeździe na miejsce oraz po wyjściu z auta.

– Jak miło widzieć was w tak doskonałych nastrojach! – krzyknął Karol, który najwidoczniej z odległości, która dzieliła nasze podwórka, usłyszał ten ubogi repertuarowo koncert.

Spojrziałam w stronę posesji Sowińskich i pomachałam do niego. Być może zrozumiał mój gest jako zaproszenie, w każdym razie zjawił się błyskawicznie pod naszym domem.

– Ja myślę, że zemsta jest rzeczywiście rozkoszą bogów. Jestem dziś bogiem zemsty w takim razie. – Zaśmiałam się, a Maciuś mi zawtórował.

– Raczej boginią – poprawił mnie Karol. – Choć szczerze mówiąc, nie bardzo chce mi się wierzyć w twoją mściwość, to do ciebie niepodobne.

Zastanowiłam się przez chwilę nad jego słowami.

– Masz rację, źle się wyraziłam. To nie była zemsta, tylko ręka sprawiedliwości. Tak, jestem dziś ręką sprawiedliwości, ale taką... od opuszek palców po bark. – Zaśmiałam się znowu. – Może być?

– Może, nie wiem, w czym rzecz, ale wierzę ci na słowo. – Karol wpatrzył się w moją twarz z widocznym zachwytem, co jak zwykle wprawiło mnie w konsternację.

– Ej, czego się gapisz? – burknęłam z pretensją.

– Niczego. Patrzę zwyczajnie. A nawet jeśli nie zwyczajnie, tego nie możesz mi zabronić. – Puścił do mnie oko.

– Masz szczęście, że mi humor dziś wyjątkowo dopisuje. Ale... wiesz co? Może zdjąłbyś ze sklepowej półki swojej mamy jakieś dobre wino? Zdarzyło się dziś coś, co bardzo chciałabym uczcić.

– Jeśli ze mną, to zdejmę – odparł z uśmiechem. – Nawet dwa lub trzy, czy ile tam... zajdzie potrzeba.

– Dobra. Na razie leć po dwa, a potem się zobaczy.

Przed moim wyjściem na spotkanie z dziewczynami przyszła mama, była bardzo rozczarowana, że zabieram ze sobą Maciusia, i stwierdziła, że zaczeka do naszego powrotu, żeby z nim trochę pobyc. Błyskawicznie wykalkulowałam więc sobie, że oddam jej i tatce pod opiekę wnuka, sama zaś spędzę wieczór w sposób, w jaki od bardzo dawna nie zdarzyło mi się żadnego spędzić.

– Cześć wam, zaraz będę miała gościa – poinformowałam rodziców od razu po wejściu do domu.

– I bardzo dobrze – ucieszyła się matka. – Mężczyznę jakiegoś?

– Owszem, ale to tylko kolega.

– Kolega nie kolega, my z ojcem bierzemy dziecko, a ty się zajmij do woli gościem.

Dawno już nie słyszałam podobnych tekstów z ust matki, tym razem puściłam je mimo uszu. Gdy zjawił się Karol, zaprosiłam go na górę do pokoju Marcysi. Znów od dłuższego czasu stał pusty, gdyż moja siostra znalazła sobie chłopaka i zamieszkała z nim w Krakowie, nie zjawiając się nawet na święta. Po drodze złapałam dwa kieliszki i talerzyk z pierniczkami, które zostały od świąt.

– Od którego zaczniemy? – Karol wyjął z za pazuchy najpierw czerwone półsłodkie, a potem białe wytrawne.

– Zaczniemy i skończymy – sprecyzowałam. – Na pewno nie obalimy dwóch butelek. Otwórz czerwone w takim razie.

Początkowo gadaliśmy o wszystkim i o niczym, ale z czasem, gdy rozwiązał mi się język, zaczęłam mu o sobie opowiadać. Począwszy od dzieciństwa, na

czasach obecnych skończywszy, nie oszczędzając mu najdrastyczniejszych szczegółów. Nie wiem, dlaczego to robiłam, ale miałam jakąś taką dziką potrzebę wywalenia z siebie wszystkiego, co mi kiedykolwiek doskwierało lub zalegało na duszy. Wcale nie przejmowałam się tym, że Karol może sobie źle o mnie pomyśleć. Facet umiał słuchać, o czym przekonałam się już wcześniej, i był po prostu najlepszym powiernikiem, jakiego mogłam sobie znaleźć.

– To niezwykle – powiedział na koniec, gdy już powoli zaczęłam przysypiać na jego ramieniu.

– Co?

– Że jedna osoba w ciągu tak krótkiego życia była w stanie przeżyć tyle różnych dziwnych rzeczy.

– Nie takiego znów krótkiego – sprostowałam. – Za rok skończę trzydzieści lat.

– Krótkiego. W każdym razie jak na taką intensywność zdarzeń.

– Może. – Ziewnęłam.

– A teraz? Masz jakieś plany na przyszłość?

– Tak. Mam zamiar żyć aż do samej śmierci – odparłam lekko poirytowana, że wciąż wyrywa mnie ze snu. Nie przewidziałam bowiem w pijanym widzie, że w końcu zabierze swoje ramię i pójdzie razem z nim do domu, i tak będzie się musiała skończyć moja słodka drzemka.

– Sama?

– Co... sama? – ocknęłam się po raz kolejny.

– Czy zamierzasz żyć sama do końca życia?

– Owszem. No, chyba że przyjedzie po mnie księżę na białym koniu, ale taki... pr... prw... prawdziwy. Na prawdziwym koniu.

– I co wtedy? – dociekał Karol z uporem godnym lepszej sprawy.

– Wtedy zmienię zdanie. Ale najpierw muszę się rozwieść z tym, którego mam. Nie z koniem, rzecz jasna, tylko z mężem. Żadnych już facetów z odzysku, żadnych żonatych, żadnych chłystków ani pederastów. Wiesz? Księżę na białym koniu, biała suknia i ślub w kościele. I targuj się, koleś, ile chcesz, nie opuszczę ani centa...

– A jakby on naprawdę się zjawił, wyjdiesz za niego?

– No pewnie, bo kto by nie wyszedł!

– Mówisz serio?

– Przysięgam. Na babcię drypcię i na jej pypcie – odparłam bardzo uroczyście, jak mi się wydawało, chcąc wreszcie móc spać.

To były moje ostatnie słowa, jakie pamiętałam, nieco jak przez mgłę. Gdy się obudziłam, leżałam w łóżku Marcysi całkowicie ubrana, nawet w butach, a obok łóżka stały dwie puste butelki po winie i dwa kieliszki. Było mi głupio, że się tak ululałam w obecności Karola, ale czułam się na tyle skacowana, że na tym

uczuciu skupiłam się o wiele bardziej. Godzina była dość wczesna i gdybym się uparła, śmiało zdążyłabym do pracy, pod warunkiem że tatuś by mnie zawiózł. Teraz jednak już miałam w nosie, co się beze mnie w firmie będzie działo, choćby się nawet paliło i waliło, było mi to zupełnie obojętne. Zadzwoiłam więc do sekretariatu i wzięłam urlop na żądanie, zresztą skoro postanowiłam się zwolnić, i tak miałabym do wybrania kilka zaległych dni.

– I jak tam, zrelaksowałaś się? – spytał tatko, gdy zobaczył mnie schodzącą ze schodów.

– Jak cholera – odparłam, ziewając. – Zrelaksowałam się, że ci tak powiem, w nadmiarze. I nie idę dziś do roboty, wzięłam sobie „uzetkę”.

– I słusznie. Zaraz usmażę ci jajecznicę na cebuli, bo to jest najlepsze antidotum na... hm... nadmierną relaksację.

Jajecznicą owszem, trochę pomogła, ale na nogi postawił mnie dopiero rosół, który w trosce o moją kondycję ugotowała mama, zjawiwszy się w naszym domu tuż po południu. Nie był to co prawda rosół babci Kundzi, ale po doprawieniu dał się zjeść, a co najważniejsze – spełnił swoją rolę.

– Powiedz mi – spytałam ją dyskretnie, gdy tatko wyszedł na dłużej do kibelka – czy ty nie kombinujesz czasem, żeby do niego wrócić? Bez urazy, oczywiście, tak tylko pytam.

– Nie. Nawet mi to do głowy nie przyszło – odpowiedziała z powagą. – Uważam, że taki układ rodzinny, jaki mamy obecnie, jest chyba najlepszy dla nas wszystkich. Dla ojca i dla mnie przede wszystkim.

– To dobrze – przyznałam. – Bo ja też tak uważam.

– Myśmy też już na ten temat rozmawiali – przyznała mama. – I zastanawialiśmy się nawet, czy nie warto byłoby tego wszystkiego połatać, ale oboje doszliśmy do wniosku, że nie ma co kusić licha.

– O czym rozmawialiśmy? – spytał ojciec, który dosłyszał ostatni fragment rozmowy.

– O kusić licha – wyręczył nas Maciuś, który budował coś sobie na podłodze z klocków Lego.

– Aha, no tak – zgodził się tatko, nie dociekając głębiej. – Święta racja, bo licha nigdy nie należy kusić.

## ROZDZIAŁ XXI

### Odczarować pecha

Nowy rok zaczął się dla nas bardzo optymistycznie. Chyba wreszcie udało mi się odczarować pecha, a ściślej rzecz biorąc, udało się to chyba całej naszej rodzinie. Być może za wstawiennictwem u sił wyższych, na przykład za pośrednictwem babci Kundzi oraz Haneczki, które od pewnego czasu przebywały znacznie bliżej Najwyższego Urzędu niż my. Marcysia, która za sprawą swojego chłopaka została buddystką, uważa, że to wyłącznie sprawa karmy i że widać każde z nas spłaciło już swoje karmiczne długi, gdyż zaczęliśmy w pewnym momencie więcej dawać, niż brać. Tata natomiast twierdzi, że nauczyliśmy się po prostu brać sprawy w swoje ręce i działać, zamiast biadolić. I tyle, jeśli chodzi o poglądy na ten temat, realnie zaś naprawdę wszystko jakby zaczęło iść ku dobremu. Mówię „jakby”, żeby nie zapeszyć.

Najszybciej się wyjaśniła sprawa Czarka. Na drugi dzień po naszej wizycie w jego domu, zanim zdążyłam wyjść do prokuratury, zadzwoniła Ruda i powiedziała, że jeśli chodzi o nie, mogę sobie tę wizytę darować. No, chyba że sama tego chcę. Zdziwiłam się tak szybką zmianą decyzji moich koleżanek, ale się okazało, że Marta rozprawiła się ze swoim kochaniem w taki sposób, że jak stwierdziła Aneta, na razie zaniechały kopania leżącego, no chyba że się podniesie, to jeszcze może zmienią zdanie. Bo Czarek leżał, leżał i kwiczał. Zjawił się w pracy przed wszystkimi ze spakowaną walizką i pustym kartonem, nie zdążył jednak spakować swoich rzeczy z gabinetu i tak zastały go moje koleżanki. Wyglądał podobno jak sto nieszczęść, był blady, wyraźnie niewyspany, trzęsły mu się ręce i głos. Konkubina wywaliła go z domu, pracy nie stracił, stracił tylko stanowisko. Miał być od tej pory szeregowym pracownikiem w dziale podległym naszemu biur, czyli obu Anet i Marceli. Już beze mnie, bo byłam na wypowiedzeniu. Sprytne i dowcipne było to ze strony Marty, ale będąc głównym udziałowcem firmy, mogła się w ten sposób zabawić. Czarek, o dziwo, przystał na takie rozwiązanie, choć przypuszczałam, że raczej nie na długo.

Z wielką ulgą przyjąłam wiadomość Rudej, że ja sama już nie muszę robić niczego w tej sprawie, a to, co spotkało Czarka, uznałam za pierwszy widoczny w moim życiu przejaw istnienia sprawiedliwości.

Po niecałym tygodniu od tego wydarzenia okazało się, że w innej firmie o zbliżonym profilu poszukują pracownika na podobnym stanowisku. Z taką wieścią wpadł do domu pewnego razu tato, który znów poszedł do pracy i zatrudnił się w charakterze ochroniarza w tejże firmie właśnie. Tak się to jakoś

samo złożyło, bo gdy zaświtała perspektywa, że oboje przez jakiś czas możemy zostać bez pracy, tym razem tatko wziął na swoje barki utrzymanie domu. Praca w ochronie była najłatwiejsza do znalezienia, a że miał już pewne doświadczenie w tej branży, dostał zatrudnienie już po tygodniu od podjęcia decyzji. Gdy otworzyła się szansa i dla mnie, mama zadeklarowała, że zajmie się Maciusiem, żeby żadne z nas nie musiało rezygnować z pracy na rzecz drugiego. Ostatnie badania lekarskie wykazały, że z jej zdrowiem wszystko w porządku, przerzutów nie ma i gdy tylko będzie stosowała się do zaleceń lekarskich, ma dużą szansę na dożycie spokojnej starości.

Mama nie musiała pracować, miała przyznaną rentę, i choć wystarczało jej raptem na opłaty swojej kawalerki i skromne wydatki, po tym co przeszła, ceniła już wyłącznie życie samo w sobie, rezygnując bez żalu ze wszystkich dupereli i gadżetów, bez których dawniej nie potrafiła się obejść. Realizowała też ze zdwojoną energią swoją fotograficzną pasję, robiąc wnukowi mnóstwo zdjęć i osobiście je wywołując w prowizorycznej ciemni, zrobionej w jej maleńkiej łazience.

Ostatnią dobrą wiadomością, jaką dostałam pod koniec pierwszego miesiąca rozpoczynającego się roku, było wezwanie do sądu na sprawę rozwodową. Tadek i jego mamusia widać złożyli pozew jako pierwsi, bo w załączniku było pismo ich prawnika. Mało tego, sami zawnioskowali o nieorzeczenie o winie, widać ekscesy mojego byłego w obecności policji były zbyt oczywistym dowodem na to, po której stronie ona leży. Nie zamierzałam się upierać przy innej opcji, bo uznałam, że tak będzie prościej i na pewno szybciej, a ja jak najprędzej chciałam przestać być jego żoną.

– Tatus, rozprawę mamy w lutym – pochwaliłam się ojcu wieczorem, gdy wrócił ze swojej zmiany.

– Jaką rozprawę? – spytał złękniiony.

– Rozwód biorę! Nie cieszysz się?

– Bardzo się cieszę! – krzyknął z radością, ponieważ słowo „rozwód” w naszej rodzinie miało zupełnie inne konotacje niż normalnie. – Zrobimy dużą imprezę z tej okazji. Matka czegoś nagotuje... sorry, naprzypała, ja upiekę ciasto, a ty stawiasz alkohol.

– O, nie. Lemoniadę mogę zrobić najwyżej – zaprotestowałam. – Po ostatnim opilstwie do dzisiaj czuję niesmak, matka jest abstynentką, a ty jakoś przeżyjesz. Bez problemu raczej.

– No pewnie, tak mi się tylko powiedziało. – Tatko ucałował mnie w oba policzki.

Rano, gdy wyjeżdżałam do pracy, zobaczyłam Karola wsiadającego do swojego samochodu. Ukłonił mi się kunsztownie jak dawniej, a od czasu, gdy mu się zwierzyłam, jak bardzo mnie to kiedyś irytowało, jego wygibasy stały się

jeszcze bardziej fantazyjne. W ten sposób łobuz lubił droczyć się ze mną. Odkręciłam szybę, żeby mu się pochwalić nowiną.

– Rozwodzę się! – krzyknęłam w jego stronę.

– Serio? Kiedy? – spytał uradowany, widać i on jako świadek moich dramatycznych przejść był żywo zainteresowany moim jak najrychlejszym uwolnieniem się od oprawcy.

– Dziewiątego lutego pierwsza rozprawa. Pierwsza i ostatnia, jak sądzę, bo bez orzekania o winie, bez podziału majątku, bez wspólnych dzieci.

– Dasz mi znać, jak poszło?

– A co ty, do dziewiątego nie masz się zamiaru ze mną widzieć? Wyjeżdżasz gdzieś, czy jak? – spytałam, bo takie po jego pytaniu odniosłam wrażenie, a poza tym od świąt zdążyliśmy się na tyle zaprzyjaźnić, że widywaliśmy się dość regularnie, a gdy nie byliśmy w stanie się spotkać, gadaliśmy przez telefon.

– Nie, nigdzie nie wyjeżdżam – zdziwił się Karol. – Ale raczej przed dziewiątym nie będziesz znała finału sprawy, jak sądzę.

– Pewnie, że dam ci znać – odparłam z ulgą, bo naprawdę bardzo go polubiłam i jego kolejna dłuższa nieobecność sprawiłaby mi prawdziwą przykrość.

Już się przyzwyczaiłam do tego, że każdą nowinką, wątpliwością, a nawet problemem dzieliłam się najpierw z nim, a dopiero potem z kimkolwiek innym. On zawsze znajdował na wszystko radę, a jeśli nawet nie, potrafił tak ujmować sprawy, że natychmiast zyskiwały w moich oczach inną perspektywę. Poza tym lubił go również Maciuś, a on lubił jego i nie były to żadne udawane pozy dla przypodobania się mnie. Gdy patrzyłam, jak bawili się czasem klockami lub autkami, obaj z identycznym zaangażowaniem, rosło mi serce, a Karol za każdym razem zyskiwał w moich oczach. Wolałam się nie zastanawiać, czy to, co naprawdę do niego czuję, jest jeszcze „lubieniem”, czy już może czymś więcej, bo bardzo ceniłam sobie naszą przyjaźń. Nawet jeśli on, co czasem dawał mi do zrozumienia, chciałby nasze relacje zmienić na bliższe, starałam się nie dopuszczać do siebie takiej myśli. Doświadczenie mnie nauczyło, nie tylko moje zresztą, ale też innych kobiet w rodzinie, że facet jest wyłącznie wtedy możliwy do zniesienia, gdy trzyma się go na dystans.

Od czasu do czasu usiłowałam sobie przypomnieć, gdzie mogliśmy się wcześniej spotkać, oczywiście oprócz tych zdarzeń, gdy był jeszcze w wieku Maciusia, ale absolutnie nic nie przychodziło mi do głowy. Pustka, zaćma, nul. Ale przecież skoro to spotkanie wywarło na nim tak wielkie wrażenie, musiało być na tyle znaczące, żebym i ja je zapamiętała...

\* \* \*

Początek nowego roku był rzeczywiście niezwykły, nawet w przyrodzie, bo mimo iż według kalendarza powinien być środek zimy, już w lutym śnieg stopniał

z dnia na dzień, powietrze zaczęło pachnieć wiosną, ptaki od rana ćwierkały radośnie. Tatko co prawda mówił, że nie ma się z czego cieszyć, bo pogoda i tak to sobie na nas odbije, jeśli nie w kwietniu, to w maju, ale ja wbrew jego pesymistycznym prognozom radowałam się z każdego ciepłego dnia razem z ptaszkami. Nawet jeśli by za chwilę znów miało ścisnąć mrozem i sypnąć śniegiem. Jak na razie jednak mrozu ani śniegu nie było widać; przeciwnie, temperatura rosła z dnia na dzień i w dniu mojej sprawy rozwodowej wybrałam się do sądu w samym kostiumie oraz czółenkach.

– Jedna jaskółka jeszcze wiosny nie uczyni – podsumował tatko, który pojechał na rozprawę razem ze mną, żeby dodać mi otuchy.

Fakt, wszyscy inni ludzie byli jeszcze ubrani na zimowo, ale ja miałam to gdzieś. A nuż będę tą pierwszą, jedną jaskółką w historii całego świata? Z czasem jednak dobry nastrój zaczął mnie opuszczać, bo rozprawa, która odbywała się wcześniej, przedłużyła się tak bardzo, że nerwy powoli zaczęły dawać o sobie znać. Bardzo doceniłam teraz poświęcenie tatki i jego towarzystwo obok mnie na twardej drewnianej ławce. Tadek też przyszedł z rodzicielką, mamusia nieustannie szeptała mu coś do ucha, co jakiś czas spoglądając na nas spode łba. Postanowiłam nie patrzeć na nich i nie myśleć o tym, co mnie czeka. Narzuciłam sobie różne inne myśli i tą drogą doszłam do mojej znajomości z Karolem.

– Wiesz co, tatku? – Postanowiłam wykorzystać moją zagwozdkę do odwrócenia naszej uwagi od sytuacji. – Czy to możliwe, żebym się wcześniej gdzieś spotkała z Karolem, w takich okolicznościach, że on mnie sobie zapamiętał, a ja jego nie? Bo może ty pamiętasz coś, co mi umknęło z pamięci?

Tatusz spojrzał na mnie zdziwiony.

– No pewnie, że się spotkaliście... I na pewno pamiętasz tamto zdarzenie, ba, cała masa ludzi je na pewno do dziś pamięta.

– Niemożliwe. Przypomnij mi, proszę.

– To było... – zaczął tatuś, ale w tym momencie otworzyły się drzwi sali rozpraw i sekretarka wyczytała mnie i Tadka.

Poderwałam się z miejsca i ruszyłam przed siebie. Tatusz niestety nie mógł pójść ze mną, matka Tadeusza na szczęście też nie. Wobec naszej nadzwyczajnej jednomyślności stało się, jak przewidziałam i na co liczyłam, nasz rozwód został orzeczony na tej jednej rozprawie. Sąd zasądził koszty postępowania po połowie i poinformował nas, że na uprawomocnienie wyroku trzeba będzie poczekać dwadzieścia jeden dni. Rozprawa trwała mniej więcej tyle co nasz ślub, ale gdybym miała oceniać swoje samopoczucie, powiedziałabym, że w obecnej sytuacji byłam o wiele szczęśliwsza. W każdym razie, gdy wychodziliśmy z budynku sądu, czułam się dużo lżejsza, niż gdy opuszczaliśmy urząd stanu cywilnego.

– Ja teraz poprowadzę – powiedział tatko, podchodząc do auta. – Jesteś za

bardzo rozemocjonowana.

– Okej, wobec tego zadzwonię po drodze do Karola, obiecałam dać mu znać zaraz po rozprawie... A właśnie, może skończ mi najpierw opowiadać, co zacząłeś.

– O tym waszym spotkaniu? – przypomniał sobie tatuś. – Przecież to było w naszej knajpie. Pamiętasz takiego nieopierzonego młodzieniaszka, który rzucił się na takiego pijanego osiłka... zaraz, Murzin chyba na niego mówili?

– Tego... co ja mu dohulałam w końcu?

– No. Uratowałaś gówniarzowi skórę. To był Karol właśnie.

– Nie wierzę! – roześmiałam się, uznając to za żart ze strony tatki. – To było jakieś chucherko takie nieopierzone przecież.

– Zgadza się. Bo ileż on mógł mieć wtedy lat? Szesnaście? Dziś ma dwadzieścia kilka, wyrósł, zmężniał, studia zrobił w międzyczasie. Nic dziwnego, że nie zwróciłaś wtedy na niego baczniejszej uwagi, dziś to co innego, facet z niego jak się patrzy!

Spróbowałam wrócić pamięcią do tamtych zdarzeń i tylko tyle byłam sobie w stanie przypomnieć, że największy pijak i awanturnik, jaki przychodził do naszej knajpy, zaczął w pewnym momencie wyżywać się na jakimś młokosie, który robił, co mógł, żeby zniknąć mu z pola widzenia, ale gdy Murzin puścił wiązanekę pod adresem jego matki, co zawsze bywa najskuteczniejszą prowokacją, ten nie bacząc na niebezpieczeństwo, rzucił się na niego z pięściami. Mógł zginąć od jednego ciosu nieobliczalnego mięśniaka i chyba ja mu wtedy naprawdę uratowałam życie...

Po chwili zadumy wybrałam w komórce numer telefonu Karola i zadzwoniłam do niego.

– Już jestem po wszystkim, to po pierwsze – powiedziałam. – A po drugie, już wiem, jak się poznaliśmy...

– W takim razie po pierwsze, gratuluję, a po drugie, pozwolę sobie zapytać: i co?

– Co, że co?

– Nabijasz się ze mnie? Szczerze mówiąc, liczyłem na to, że nigdy sobie nie przypomnisz.

– I sobie nie przypominałam. Ojciec mi przypomniął.

Po drugiej stronie nastąpiła cisza.

– Hej, jesteś tam? – spytałam.

– Jestem.

– Nie nabijam się z ciebie. Przeciwnie, jestem pełna podziwu, że stanąłeś do walki z taką górą mięśni. To była naprawdę duża sprawa.

Karol westchnął głęboko i powiedział:

– To ty jesteś duża. A nawet wielka, pewnie nawet sama o tym nie wiesz. Nieważne. To znaczy bardzo ważne, ale nie teraz – powiedział i się rozłączył.

Dziwne to było trochę, ale szybko przestałam się zastanawiać, o co mu chodziło. Właśnie podjeżdżaliśmy pod dom i na spotkanie wyszła nam mama z Maciusiem na rękach.

– I jak? Sądząc z waszych min, wszystko poszło dobrze – spytała.

– Bardzo dobrze – odpowiedział jej tatko. – Co tam dziś przypaliłaś dla nas na obiad? Bo głodny jestem niemożliwie...

– Nic nie przypaliłam, wyobraź sobie – odparła mama z udawaną urazą.

I rzeczywiście, podała na stół całkiem udaną pomidorówkę oraz łazanki z mięsem i kapustą.

– Miałam robić schabowe, ale Maciuś chciał łazanki – tłumaczyła się z pospolitego posiłku w tak uroczystym dniu.

– I dobrze, lubię łazanki – powiedziałam, zabierając się do jedzenia od drugiego dania.

– Lubię łazanki – powiedział Maciuś, który siedział na parapecie i wyglądał przez okno.

– On już zjadł. Nawet z dokładką – oznajmiła mama. – Więcej by mu mogło zaszkodzić, kapusta jest ciężkostrawna.

– Okej, przecież się nie domaga, stwierdza tylko fakt. – Uśmiechnęłam się na widok synka wpatrzonego z uwagą gdzieś w dal.

– O, nie, ja składam reklamację – oznajmił tatko, gdy skończył jeść. – To nie była osławiona specjalność zakładu, żadnych farfocli w zupie, śmietana nieścięta, makaron w łazankach ani nierozgotowany, ani nie za twardy, ja poproszę o książkę zażaleń!

Mama już miała mu coś na to odpowiedzieć, gdy Maciuś nagle zgramolił się z parapetu i zaczął wrzeszczeć wniebogłosy:

– Mama, kuń! Mama, kuń, mama, kuń!!!

– Koń? – spytałam. Jaki koń?

Maciuś zaczął podskakiwać i rzeć, jakby chciał mi obrazowo wyjaśnić, jaki „kuń”. Wstałam od stołu i podeszłam do okna. W istocie, tuż obok tarasu stał najprawdziwszy koń, a na jego grzbiecie siedział... Karol. Wyszłam na zewnątrz, za mną wymknął się z domu Maciuś.

– Co to za wygłup? – spytałam.

– Żaden wygłup – powiedział, schodząc z grzbietu konia. – Bardzo poważna sprawa, wagi państwowej, a raczej pańskiej, jeśli chodzi o ścisłość.

– Kupiłeś sobie konia?

– Pożyczyłem.

– Ale po co?!

– Skoro dziś masz taki dobry dzień, no wiesz... na rozwody i na odświeżanie pamięci, to posłuchaj tego.

Wyjął z kieszeni swoją komórkę i przybliżył mi ją do ucha. Ze zdumieniem

usłyszałam głos Karola, a potem mój własny pijacki bełkot.

– Czy zamierzasz żyć sama do końca życia? – pytał.

– Owszem. No, chyba że przyjedzie po mnie księżę na białym koniu, ale taki... pr... prw... prawdziwy. Na prawdziwym koniu.

– I co wtedy?

– Wtedy zmienię zdanie. Ale najpierw muszę się rozwieść z tym, którego mam. Nie z koniem, rzecz jasna, tylko z mężem. Żadnych już facetów z odzysku, żadnych żonatych, żadnych chłystków ani pederastów. Wiesz? Księżę na białym koniu, biała suknia i ślub w kościele. I targuj się, koleś, ile chcesz, nie opuszczę ani centa...

– A jakby on naprawdę się zjawiał, wyjdiesz za niego?

– No pewnie, bo kto by nie wyszedł!

– Mówisz serio?

– Przysięgam. Na babcię drypcię i na jej pypcie.

Patrzyłam na Karola w zdumieniu, bo chyba przecież nie wzięłyby sobie na tyle do serca mojego głupiego gadania, by przyjechać mi się oświadczyć.

– Oszalałeś? – spytałam. – Co to ma być?

– Wszystko, czego sobie zażyczyłaś: biały koń, księżę stanu wolnego, bo jestem w stanie udowodnić szlacheckie pochodzenie Sowińskich, nie chłystek i nie pederasta, rozwód z pierwszym mężem, teraz tylko biała suknia jeszcze, ślub w kościele, a potem... żyli długo i szczęśliwie.

– Nie mówisz tego na serio, prawda? – spytałam ogłupiała.

– Bardzo na serio. Spełniłem wszystkie twoje warunki. Wyjdiesz za mnie?

– No nie, ja chyba śnię. Albo ty jesteś... stuknięty po prostu.

– Bo?

– Jak możesz proponować małżeństwo kobiecie, której praktycznie nie znasz – rzuciłam argumentem i szybko tego pożałowałam, bo Tadka znałam przecież jeszcze krócej i ochajałam się z nim w ciągu dwóch tygodni. Karol na szczęście nie podjął tego tematu.

– A co za różnica? Czasem ludzie znają się przed pół życia, a i tak cała prawda wychodzi dopiero po ślubie. Proszę cię, Aga, spójrz na mnie chociaż! Ja rozumiem, że to może brzmieć i wygląda trochę głupio, ale sam już nie wiem, co mam zrobić, żebyś zobaczyła we mnie mężczyznę. A niechby i idiotę, ale mężczyznę. Fakt, nie popisałem się przed tobą kilka lat temu, ale daj mi, do cholery, szansę! Bo ja... Kocham się w tobie od tamtej pory. Może by mi nawet przeszło, ale jakaś cholera sprawiła, że zamieszkałaś tuż pod moim nosem... I... i...

– Ja chyba śnię – przerwałam, bo cała ta dziwaczna sytuacja zaczęła mnie przyprawiać o zawrót głowy.

Spojrzałam na niego, jak chciał, i zobaczyłam w jego oczach tak wielką

determinację, że się przeleżałam. Siebie chyba, bo ta jego niespodziewana napaść na moją osobę i sposób, w jaki jej dokonał, zaczęła powoli roztapiać moje serce.

– Przestań! Nie chcę tego dłużej słuchać – zasłoniłam rękami uszy.

– I mój ostatni argument – powiedział, chwytając moje dłonie w swoje, żebym mogła go usłyszeć. – Twoja odpowiedź będzie zarazem decyzją o moim losie. Jeśli teraz dasz mi kosza i powiesz, że nigdy nie będę miał u ciebie szansy, wyjadę za granicę i osiedlę się w jednym z krajów, w którym prowadzę interesy.

– To nie jest argument, to jest szantaż – stwierdziłam załamującym się głosem, bo faktycznie postawił mnie przed dramatycznym wyborem.

Absolutnie nie chciałam, żeby wyjeżdżał z mojego powodu, ale jeśli było go stać na ten wygłup z koniem, nie miałam wątpliwości, że będzie go również stać na spełnienie swojej groźby.

– No więc? Wyjdiesz za mnie? – powtórzył po raz kolejny.

– Mama! – krzyknął w końcu poirytowany Maciuś, który przez cały ten czas przyglądał się zwierzęciu zafascynowany. – Wyjdź za konia, ja chcę!

I to przesądziło o sprawie, a właściwie stworzyło mi pretekst do podjęcia kolejnej pochopnej decyzji w moim życiu. Trudno, tak już chyba miałam.

– Daj mi czas do namysłu – powiedziałam, tłumiąc śmiech. – Do jutra chociaż, bo mi się dzieciak w końcu przeziębii. I koń się chyba denerwuje...

– Do której godziny? – spytał Karol rzeczowo.

– Nie wiem. Zadzwoń do ciebie.

– Będę czekał.

Spojrzał na konia i chyba miał zamiar go dosiąść, ale chwycił za uprzęż i obaj zeszli w dół na piechotę.

– I co? Wyjdiesz za konia? – spytał tatuś, bo jak znam życie, oboje z matką podsłuchiwali naszą rozmowę.

– Wyjdę – odparłam.

– Czemu więc mu nie odpowiedziałas od razu? – zgromiła mnie mama. – Będzie miał chłopak ciężką noc!

– Dla zasady – odparłam. – W końcu jakieś zasady trzeba w życiu mieć.

– W końcu trzeba... – podsumowała moją wypowiedź matka, nie wiadomo czy odnosząc ją do mnie, czy do siebie.

## Post scriptum

Wiem, wiem, zakończenie jest zbyt słodkie, zbyt ckeliwe, zbyt nierealne. Ale ponieważ w życiu wszystko jest możliwe, a w powieści tym bardziej, wymyśliłam je specjalnie dla Agi na zasadzie zaklinania rzeczywistości. Bo jej się książę na białym koniu należy jak mało komu, za jej całe życie, w którym pech gościł częściej niż beztroska, za heroizm samotnego macierzyństwa, za siłę i odwagę, by walczyć z przeciwnościami losu.

